

ALEKSANDRA RYBIŃSKA: NA HORYZONCIE CORAZ WYRAŹNIEJ RYSUJE SIĘ TWARDY BREXIT

CHINY, USA, IRAN – GLOBALNA GRA TOCZY SIĘ NAD WISŁĄ

KTO NAS SZPIEGUJE I CZEGO SZUKA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 3 (321) 2019
21–27 stycznia 2019
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KRYMINALISTA ZAMORDOWAŁ PREZYDENTA GDAŃSKA

ZBRODNIA

I CO DALEJ?

CO WIEMY O SPRAWCY • JAKIE BĘDĄ POLITYCZNE KONSEKWENCJE • CZY JESTEŚMY BEZPIECZNI • KTO CHCE WYKORZYSTAĆ TRAGEDIĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 03
9 772544 269908

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet

6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 7b31e575ab

Cynicznie wymyślili sobie, że zrobią z tej tragedii „mały Smoleńsk”

Czy da się wygrać Polskę wszechogarniającym pragnieniem zemsty, o czym z pasją mówiła w ubiegłym tygodniu prominentna sędzia? Czy da się spoić obóz polityczny absurdalnym obarczaniem rządzących i niezależnych od III RP mediów za kryminalny mord dokonany na prezydencie Gdańska? Opozycja najwyraźniej uznała, że tak.

Rozpoczął się makabryczny taniec polityczny, w którym słowa „mord polityczny” należą do najłagodniejszych. Owszem, był to mord na polityku, ale termin ten zawsze używany był wyłącznie w przypadkach, gdy intencja sprawcy lub zleceniodawcy wiązała się z jakąś polityczną grą. Tu nie ma na razie takich poszlak. Ze znanych nam faktów wyłania się obraz przeciwny: sprawca miał kryminalną przeszłość, był agresywny wobec otoczenia, miewał poważne problemy psychiczne, nie miał żadnego, ale to żadnego, związku z polską polityką. Nawet – jak się okazało – oglądał raczej stacje opozycyjne niż prorządowe.

Autorzy tej kampanii wiedzą, że nie ma ona podstaw. Jednak w planie wmówienia Polakom, że byli świadkami jakiegoś „małego Smoleńska”, w którym tym razem ofiarą ma być strona liberalno-lewicowa, kluczowe znaczenie ma przytłaczająca przewaga w mediach i innych zasobach społecznych. Nic dziwnego, że już w pierwszych dniach po tragedii, pod byle pretekstem, ruszyła ofensywa mająca za cel wyeliminowanie telewizji publicznej w obecnym kształcie. Silny ośrodek opiniotwórczy stawiający salonowi opór jest sporą przeszkodą w wytworzeniu psychozy strachu i nienawiści do obozu rządzącego. Swoją drogą autorów wyraźnie zachęciła dokonana właśnie po cichu korekta linii redakcyjnej Polskiego Radia.

Przez ten projekt wywołania fałszywego przełomu trzeba patrzeć na najbliższe wydarzenia. Koncerty, apele, walka z „mową nienawiści” (wyłącznie na prawicy) i nieustanne prowokacje – taki będzie krajobraz społeczny najbliższych tygodni. W obliczu tego wyzwania należy zachować spokój.

Plan ten, jeżeli nie będzie mu towarzyszyć pełny monopol medialny, ma ograniczone szanse powodzenia. Oparty jest na fałszywych podstawach (rzekoma odpowiedzialność władzy za czyn kryminalisty). Spotkał się też z mądrym przeciwdziałaniem (autentyczny udział w żałobie, próba takiej poprawy państwa, by byli więźniowie rzadziej zabijali po wyjściu z więzienia). No i najważniejsze: teza, że PiS wygrało w 2015 r. dzięki kultywowaniu pamięci tragedii smoleńskiej, jest po stronie opozycji popularna i chwytliwa, ale nieprawdziwa. Może niestety prawda jest taka, że skutkiem bezpośrednim Smoleńska była porażka w wyborach w roku 2011. Triumf odniesiony cztery lata później miał inne przyczyny: nośny społecznie i wiarygodny program, kompromitacja ekipy PO-PSL i jednoznaczne przywództwo Jarosława Kaczyńskiego.

Obóz zmiany wciąż dysponuje tymi atutami.

Michał Karnowski



SIECI spis treści



28 *Nazywam się Stefan...* *Maja Narbutt*



34 Pekin poluje w Warszawie *Marek Pyza, Marcin Wikło*



50 Nigdy nie jest za późno na miłość *Dorota Łosiewicz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MOWA MIŁOŚCI**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **NIENAWIŚĆ PO TRAGEDII**
Jan Pietrzak

15 **NIENAWISTNICY PRZECIW NIENAWIŚCI**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **HISTORIE RODZINNE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **DEESKALACJI NIE BĘDZIE**
Piotr Skwieciński

25 **PO ZAMACHU**
Stanisław Janecki

28 **NAZYWAM SIĘ STEFAN…**
Maja Narbutt

32 **DWA ŚLEDZTWA**
Wojciech Biedroń

KRAJ

34 **PEKIN POLUJE W WARSZAWIE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

37 **FAŁSZYWA ALTERNATYWA**
Konrad Kołodziejski

40 **Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM**
rozmawia Jacek Karnowski

46 **Z OSADZONĄ ANNĄ**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski

50 **NIGDY NIE JEST ZA PÓŹNO NA MIŁOŚĆ**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

53 **„KOGEL-MOGEL": TRZECIE UTARCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

57 **IRENA DZIEDZIC: KTO JĄ JESZCZE PAMIĘTA?**
Adam Ciesielski

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

62 **MON BUDUJE 18. DYWIZJĘ ZMECHANIZOWANĄ**
Artur Jagnieża

HISTORIA

65 **ŚMIERĆ ZACZYNA SIĘ W WIGILIĘ**
Wojciech Lada

ŚWIAT

68 **NIEMOŻLIWE ZADANIE THERESY MAY**
Aleksandra Rybińska

71 **ZŁY CZAS DLA ŁUKASZENKI**
Jan Rokita

GOSPODARKA

74 **Z MARCINEM CHLUDZIŃSKIM**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

78 **TECHNOLOGIA PODWYŻSZONEGO RYZYKA**
Maksymilian Wysocki

82 **KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ**
Anna Raciniewska

KUCHNIA

84 **SMAKOWITA MOZAIKA Z GOŁĄBKÓW**
Anna Monicka

86 **MOJE SMAKI: TOMASZ WOLNY**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **COŚ SIĘ ROZŁAZI W SZWACH**
Piotr Skwieciński

89 **OCALIĆ PRZED PUSTKĄ**
Maciej Pawlicki

90 **ZMIENIAM ZDANIE**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **SZAMPAN Z DIABŁEM**
Aleksander Nalaskowski

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **POSŁANNIK MIŁOŚCI**
Ryszard Makowski

97 **„NASE DOWNE ZAKOPANE"**
Leszek Długosz

98 **UDERZENIE ZŁA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

9/1218/F

eprasa.pl 7b31e575ab



Zapraszamy na wystawę

Blask orderów w 100-lecie odzyskania niepodległości

Wystwę można oglądać w Muzeum Łazienki Królewskie
do 3 lutego 2019 roku.

PZU jest mecenasem wystawy oraz Muzeum Łazienki Królewskie.

eprasa.pl 7b31e575ab



Sygnalista nadaje

Maszyneria dobrze przygotowana do najważniejszej bitwy 30-lecia. Sporo do powiedzenia ma tajny sztab złożony z bardzo doświadczonych funkcjonariuszy, i to niezwykle wysokiej rangi. Mówimy o doświadczeniu liczonym w dekadach, obejmującym także poprzedni system. Czym się zajmują? Myślą i planują, ale także testują. Powstają np. fikcyjne materiały telewizyjne opisujące różne potencjalne, dramatyczne, ale i prawdopodobne zdarzenia. A później puszczają je grupom fokusowym, sprawdzając, jaka byłaby reakcja publiczności.

Opozycji pomogą też międzynarodowe koncerny. Sztabowcy Patryka Jakiego opowiadają, że podczas ostatnich dwóch tygodni kampanii w Warszawie Facebook za darmo, i raczej przez nikogo nieproszony, eksponował wysoko posty sztabu ***Trzaskowskiego***. O tak, z sympatii podtykał uśmiechniętą twarz kandydata PO setkom tysięcy użytkowników. W 2019 r. internet nie będzie już sojusznikiem dobrej zmiany.

W obozie rządzącym z kolei w związku z Gdańskiem dominują dwie opinie. Pierwsza zakłada, że PiS rzeczywiście jest w dużych opałach i może już nie wyjść z defensywy aż do wyborów. Druga widzi sprawy bardziej optymistycznie, oceniając, że ta tragedia to mimo wszystko zdarzenie incydentalne, które niczego nie rozstrzyga. Wszyscy się zgadzają w jednym: władza zachowała się właściwie, nie wchodząc w żadne spory, okazując żal i współczucie. Bo w takim kontekście nie wygra się żadnego sporu.

Były tweety, krótkie wypowiedzi, ładne gesty, ale jednego zabrakło.

„Przeciwnicy rządzącej dziś formacji mają PiS na widelcu, zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Wydaje się niewiarygodne, aby opozycja z tej szansy nie skorzystała” – tak sytuację polityczną po tragedii w Gdańsku skomentował Mariusz Janicki z „Polityki”. Strategia wydaje się jasna: to ma być „mały Smoleńsk” opozycji, moment definiujący, który podminuje obóz rządzący, a w dłuższej perspektywie unieważni całą pisowską opowieść o Polsce. Coś jak łzy Beaty Sawickiej w 2007 r.

Bo co w takiej sytuacji zrobiłby ***Tusk***? Zwołałby swoich najlepszych ekspertów od PR, ukuł parę okrągłych, wzruszających bon motów, wyuczył się ich na pamięć i wyszedł do Polaków. Nie po to, by przekonywać, nie po to, by się kajać, ale by terapeutyzować społeczeństwo. Bo w takiej sytuacji ktoś z obozu władzy powinien być z Polakami nie tylko informacyjnie, lecz i emocjonalnie.

Co będzie dalej, wiadomo. Tusk: „Chcę ci, kochany Pawle, obiecać, że obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą”. ***Schetyna***: „Zabiła go nienawiść obłąkana i dobrze zorganizowana. Ale nie zniszczy tego, co budował”. Jarosław Kurski: „W Gdańsku doszło do politycznej zbrodni, do wyrachowanej i zaplanowanej próby zabójstwa polityka”. W tym samym tonie także Chrabota: „Atak na Adamowicza to próba politycznego zabójstwa”. Atakują także po to, by zatrzeć ślady własnej nienawiści.

A jest tej nienawiści co niemiara. W Teatrze Powszechnym, finansowanym przez platformerskie władze Warszawy, wciąż grają „Klątwę”. Elementem spektaklu jest scena, w której trakcie mówi się o zbiórce pieniędzy na wynajęcie płatnego zabójcy Jarosława Kaczyńskiego. Po zbrodni w Gdańsku artyści zdobyli się na „refleksję”: zamiast monologu w sprawie zbiórki aktorka Julia Wyszyńska zapowiedziała minutę ciszy ku czci zamordowanego prezydenta Gdańska. „To, co się wydarzyło w tym mieście, było dla nas trudne emocjonalnie do pojęcia” – tłumaczyła obłudnie, nie widząc, jak nisko upadła.

eprasa.pl 7b31e575ab

Jeden z najbardziej kuriozalnych komentarzy w związku ze zbrodnią w Gdańsku wygłosił Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej": „Zabójca Pawła Adamowicza ostatnie lata spędził w zakładzie karnym. Odkąd rządzi PiS, w placówkach publicznych puszcza się tylko TVP. Jest więc dosyć jasne, jaki przekaz do niego docierał. Aż dotarł...". Oczywiście związku między swoją retoryką a zabójstwem Marka Rosiaka czy też szczególnie obrzydliwymi wybrykami przemysłu pogardy „GW" nie widziała. Ale i to nie jest prawdą. Jak oświadczyła Służba Więzienna, skazani odsiadujący wyroki w Malborku mają do wyboru 30 kanałów. Co ciekawe, nie ma wśród nich TVP Info, ale jest TVN24.



Jednym ze skutków tragedii jest wzrost znaczenia tzw. symetrystów, których najważniejsza teza głosi: mamy dość pustej wojny polsko-polskiej, obie strony są w zasadzie siebie warte. Symetryści zwalczają więc ostro i wyrazistą opozycję, i wyrazistą prawicę. Tej pierwszej oczywiście żadnej krzywdy nie zrobią, bo jest zbyt mocna, i tak naprawdę się jej boją, ale prawicę osłabią. Dzięki temu wróci III RP, a symetryści będą mogli się oddać temu, co lubią najbardziej, czyli strojeniu faryzejskich min.



Swoimi refleksjami na temat tragedii podzielił się także były prezes TK Andrzej Rzepliński. Postawił pytanie: „Co dalej?". I odpowiedział: „Zrobimy kilka obozów koncentracyjnych, każdy na 30 tys. ludzi? Bo taka masa jest tych najbardziej zajadłych. Czy powinien powstać jakiś narodowy program? Czy to będzie tak, kiedy dochodzi do obalenia systemu autorytarnego czy totalitarnego? Potem prawnicy i politolodzy mówią o »de«. Denazyfikacji, dekomunizacji, już nie chcę powiedzieć o »depisyzacji«". Prawdziwy strażnik konstytucji. Stalinowskiej.



Zamiast gadania o „walce z mową nienawiści" (która oznacza po prostu lewicową cenzurę i zamordyzm) nasz establishment najbardziej pomógłby Polsce, rezygnując z arcykłamstwa, które głosi od trzech lat. Bo jeśli ta tragedia ma swoją społeczną przyczynę, to jest nią właśnie twierdzenie o „zagrożonej demokracji", o „dyktaturze", o „nowym totalitaryzmie". To ta bzdurna teza nakręca w Polsce atmosferę konfrontacji. Przestańcie kłamać, a będzie normalnie.

Jeśli ta tragedia była egzaminem, to jedni go zdali, a inni nie. Jerzy Owsiak chyba nie zdał. Zamiast przerwać finałowy wieczór na wieść o zdarzeniu, oświadczył, że „to jest momentami dziki kraj". I dodał: „A potem schodzę do Was i dalej lecimy z naszym scenariuszem". I poleciał. Dzień później złożył (raczej chwilową) rezygnację z szefowania WOŚP. I mówił o sobie. Właściwie tylko o sobie. Jakby inaczej nie umiał, nawet w obliczu tragedii. To jest dopiero nieszczęście.

Zachowanie Owsiaka dobrze pokazuje ważny fundament III RP: zarządzanie emocjami. „Jeżeli mnie nie będzie, może tym wszystkim szaleńcom, którzy mają nazistowskie pomysły, z plasteliną włącznie... Pani Barbara Piela, bardzo mnie pani uraziła, poczułem się jak w Auschwitz" – mówił, nawiązując do wymierzonej w niego satyry w TVP. Czy udanej, czy też nie, to inna sprawa. Ważne, że Owsiak nie zna granic. Może także on powinien pojechać na wycieczkę edukacyjną do obozu Auschwitz-Birkenau?

A może tu chodzi o zagłuszenie ważnych pytań? Sam Owsiak je postawił: „Spotkałem się z opiniami, że to nasza wina, że nie żyje człowiek, że nie żyje prezydent Gdańska Paweł Adamowicz". Sam jednak odpowiedział sobie, że to nieprawda: „Trudno winić organizatorów, to się zdarzyło na przepięknej, pokojowej, fantastycznej, bliskiej sercu wielu Polaków imprezie. Każdy, kto na nią wchodzi, kto idzie na scenę, może mieć tam różną swoją rolę, mógł nawet ktoś wejść z dwumetrową szablą, bo coś pokazywał". Mógł. Ale jeśli tak, to Owsiak nie powinien wykorzystywać tragedii do celów politycznych, co już czyni, snując opowieść o „nienawiści, która jest w ludziach i która eksplodowała w sposób maksymalny". Bo jeśli rozliczamy, to do końca i wszystkich.

Ewa Stankiewicz tragedię w Gdańsku skomentowała następująco: „Zgadzam się z opiniami, że to nie był przypadkowy atak. To był mord przemyślany, przygotowany, ciosy precyzyjne i wytrenowane. Wątpię, żeby Stefan W. przeżył powyżej dwóch lat. Zapewne popełni samobójstwo w więzieniu lub zakładzie, lub ulegnie wypadkowi". Nie tylko ona stawia takie pytania. Bo to wszystko zbyt precyzyjnie do siebie pasuje. Ale dowodów czy choćby poszlak brak.

Na minutę ciszy w Sejmie ku czci śp. prezydenta Adamowicza spóźnili się dwaj wicemarszałkowie z PiS oraz prezes Jarosław Kaczyński. „Spóźnienie na dzisiejsze posiedzenie Sejmu to czysty przypadek, proszę nie doszukiwać się w tym drugiego dna. Takie sytuacje niestety już się zdarzały i pewnie wszystkim mogą się zdarzyć; szczególnie dziennikarze pracujący tu, w Sejmie, doskonale o tym wiedzą" – tłumaczyła Beata Mazurek. Prezes PiS to naprawdę mocny zawodnik.

Fot. Andrzej Wiktor, M. Czutko, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 7b31e575ab

Mowa miłości



KRZYSZTOF FEUSETTE

Motto:
„Proszę – wyeliminujmy agresję z życia politycznego i każdego innego. Nie eskalujmy przemocy. Wiem, że gdyby prezydent Adamowicz mógł przemówić, właśnie to by powiedział. W imieniu bliskich pana prezydenta bardzo proszę, aby tej trudnej sytuacji nie wykorzystywać w jakikolwiek sposób politycznie ani ideologicznie".

Aleksandra Dulkiewicz, zastępca prezydenta Gdańska

Donald Tusk, przewodniczący Rady Europejskiej:
„Chcę ci dzisiaj, kochany Pawle, obiecać w imieniu nas wszystkich – gdańszczan, Polaków i Europejczyków – że dla ciebie i dla nas wszystkich obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą".

Jarosław Kurski, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej":
„Nazwijmy więc rzeczy po imieniu. Wczoraj w Gdańsku doszło do politycznej zbrodni, do wyrachowanej i zaplanowanej próby zabójstwa polityka wybranego w powszechnych wyborach [...]. Nie bez powodu nóż ugodził właśnie Pawła Adamowicza, wieloletniego polityka PO, organizatora i uczestnika licznych protestów w obronie konstytucji i wolnych sądów".

Bartłomiej Sienkiewicz, były minister spraw wewnętrznych w rządzie PO-PSL:
„Czy ten człowiek był zaburzony psychicznie, czy nie, nie ma żadnego znaczenia [...]. Mamy do czynienia z mordem z przyczyn politycznych i osobowość sprawcy ma tutaj pięciorzędne znaczenie".

Jacek Taylor, prawnik, były poseł Unii Demokratycznej:
„Posłuchał sobie państwowej telewizji i radia i dowiedział się, że Platforma Obywatelska to jest samo zło, jest winna wszystkiemu, co się złego wydarzyło za jej rządów".

Wojciech Czuchnowski, publicysta „GW":
„Zabójca Pawła Adamowicza ostatnie lata spędził w zakładzie karnym. Odkąd rządzi PiS, w placówkach publicznych puszcza się tylko TVP. Jest więc dosyć jasne, jaki przekaz do niego docierał. Aż dotarł".

Marek Beylin, szef Działu opinii „GW":
„Od kiedy PiS rządzi, przyzwala na to, by do sporów politycznych wprowadzać wątek fizycznej likwidacji przeciwników [...]. PiS zastąpił bowiem polityczne spory masowym odczłowieczaniem przeciwników. A na nieczłowieka łatwiej się zamachnąć".

Bogdan Borusewicz, wiceprzewodniczący PO, były marszałek Senatu:
„To nie był tylko hejt w mediach społecznościowych, były działania prokuratury, przekaz telewizji publicznej. To wszystko stworzyło tę atmosferę".

Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy, jeden z założycieli Nowoczesnej:
„Nie obchodzi mnie, co mówią teraz Andrzej Duda, Mateusz Morawiecki, Joachim Brudziński czy Zbigniew Ziobro. Bo to ich wina. To oni zniszczyli reputację sądów [...]. Kimkolwiek jest napastnik, jest ich dzieckiem – dzieckiem ich uprzedzeń i nienawiści".

Adam Mazguła, pułkownik rezerwy Wojska Polskiego, czołowy działacz KOD:
„Jarosławie Kaczyński, ty wyzwolicielu narodowego jadu i podziałów, ty siewco nienawiści, jesteś odpowiedzialny za tą i inne agresje w naszym społeczeństwie".

Mirosław Różański, generał Wojska Polskiego, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych w latach 2015–2016:
„Dzielenie społeczeństwa przez rządzących przynosi coraz bardziej drastyczne zdarzenia. Czas kończyć ten dramat".

Magdalena Środa, profesor nadzwyczajna na Uniwersytecie Warszawskim, etyk:
„Marsze nienawiści... przepraszam Niepodległości, ubóstwienie kiboli, napuszczanie jednych grup na drugie, teorie spiskowe, programowa ksenofobia, walka z różnymi grupami zawodowymi, łamanie kręgosłupów, mordy zwierząt, które ukazują lekceważenie życia i jednocześnie jakąś przyjemność z masakry i wylewanej krwi, to wszystko głęboko deformuje to społeczeństwo [...]. Przy całej tragedii, która wydarzyła się w Gdańsku, modlitwa wszystkich nienawistników (bo każdy z członków rządu – jak sami piszą – modli się obecnie) zakrawa na jakąś farsę".

Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania:
„Ja jestem za tym, żeby rozliczyć dziennikarzy Telewizji Gdańsk, żeby rozliczyć dziennikarzy telewizji publicznej za to wszystko, co spotkało Pawła Adamowicza [...]. Ktoś, kto robi tego typu rzeczy, powinien za to odpowiadać. Tak samo jak powinni odpowiadać za to również ci, którzy prowadzili różnego rodzaju śledztwa i nękali Pawła Adamowicza [...]. Uruchomiono pokłady nienawiści, zbudzono demony nacjonalizmu, straszono uchodźcami. [...] Za doprowadzenie do niedzielnej tragedii odpowiada w mojej ocenie Jarosław Kaczyński".

Krzysztof Luft, były członek PO oraz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji:
„Ktoś ten hejt na WOŚP i tę nienawiść nakręcał przez ostatnie dni. Widziałem ją dziś w oczach osób pogardliwie odmawiających młodym wolontariuszkom udziału w zbiórce. To było obrzydliwe".

Krzysztof Skiba, muzyk wspierający KOD:
„TVP i partia rządząca mogą sobie podziękować za falę nienawiści, którą rozpętali w stosunku do Adamowicza. Przeszkadzał im, więc się go pozbyli".

32/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab

Tankuj i kupuj na stacjach ORLEN, zbieraj punkty **i wygrywaj w wielkiej loterii Programu VITAY!**



Odbierz Los za 200 pkt VITAY

Rabat 10 gr/l* paliwa VERVA do każdego odebranego Losu

Wejdź na vitay.pl i weź udział w loterii

CLUB VITAY

Do Promocji można przystąpić wymieniając 200 pkt VITAY na Los na vitay.pl w okresie 03.12.2018-10.02.2019 r. lub do wyczerpania puli Losów. Promocja składa się z Loterii i Sprzedaży Promocyjnej i jest przeznaczona dla Zarejestrowanych Uczestników Programu VITAY. Szczegóły Promocji w Regulaminach dostępnych na vitay.pl
* Rabat jest rabatem minimalnym. Stacje franczyzowe mogą stosować własny rabat, nie niższy niż rabat minimalny wskazany w niniejszym materiale. Rabat obowiązuje przy jednorazowym zakupie maksymalnie 50 litrów paliwa VERVA. Rabat można zrealizować do 31.03.2019 r.

ORLEN

eprasa.pl 7b31e575ab



Pożegnanie prezydenta Gdańska

Uroczystości pogrzebowe zamordowanego przez nożownika podczas 27. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy prezydenta Gdańska rozpoczęły się w czwartek 17 stycznia od wystawienia w Europejskim Centrum Solidarności trumny z ciałem Pawła Adamowicza. Oddać hołd swojemu prezydentowi przyszły tysiące gdańszczan. Dzień później z tego miejsca ruszył kondukt żałobny, który przeszedł ulicami miasta do bazyliki Mariackiej. Tu, w najważniejszej gdańskiej świątyni, w sobotę złożono prochy Pawła Adamowicza.

Fot. Karolina Misztal/REPORTER



Związek sado-maso



Fot. Shutterstock

Uściski, buziaki, niech świat widzi, niech wie. Temu właśnie ma służyć odnowa „ślubów małżeńskich" Francji i Niemiec w Akwizgranie, złożonych 56 lat temu w traktacie elizejskim. Niemiecko-francuski sojusz ma uchodzić za wzór pojednania i współpracy. Zaiste, współpraca jest, ale oparta, co paradoksalne, na rozbieżnych interesach obu krajów.

Wykres powojennych relacji Francji i Niemiec wygląda jak sinusoida, od porozumienia do porozumienia, od kryzysu do kryzysu, w których nierzadko dochodziło nawet do zrywania konsultacji międzyrządowych, wymiany impertynencji i inwektyw. Wprawdzie de Gaulle i Adenauer paradowali razem w rządowym kabriolecie, lecz ich antypatia była tajemnicą poliszynela. Podobnie było z następcą Adenauera, Ludwigiem Erhardem, nici sympatii nie łączyły też Willy'ego Brandta i Georges'a Pompidou. Rzeczywiste zbliżenie między Paryżem a (wówczas) Bonn wymusiły właśnie interesy gospodarcze i... strach. Przełamywanie uprzedzeń – Francja i Niemcy stoczyły aż 23 wojny – zapoczątkowało dopiero chwycenie się za ręce prezydenta Mitterranda i kanclerza Kohla w Verdun, nad grobami ofiar I wojny światowej. Bez ich, co trzeba przyznać, przyjaźni, bez trzonu Francji i Niemiec utworzenie Unii Europejskiej w dzisiejszym kształcie nie byłoby możliwe.

Pozostało wszakże ograniczone zaufanie. Nawet w chwili rozbiórki muru berlińskiego Francuzi kpili, że tak kochają Niemców, iż woleliby, żeby mieli oni aż dwa państwa. Paryż obawiał się, że dotychczasowy „karzeł polityczny" po scaleniu z NRD urośnie w siłę. I słusznie, bo zjednoczone Niemcy istotnie przemówiły własnym głosem, a wymownym tego dowodem było żądanie Kohla, aby dostawiono dla jego kraju krzesło przy stole głównych decydentów o losach świata – stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. I ten postulat znajdzie się m.in. w odnowionych ślubach przez kanclerz Merkel oraz prezydenta Macrona, z tą różnicą, że tym razem Francja (dysponująca bronią atomową, w przeciwieństwie do RFN) zobowiąże się do poparcia Niemiec. Chytre, bo nie od Paryża zależy poszerzenie Rady.

Co w zamian? Zadłużona po uszy, kulejąca Francja potrzebuje wsparcia niemieckich przyjaciół w UE, a poza tym przez jakiś czas nadal będzie mogła się łudzić, że ma Berlin pod kontrolą. A nie ma, jest zinstrumentalizowana przez Niemcy, które krok po kroku realizują swą Realpolitik.

Przykładami ich zatargów można sypać. Był czas, gdy prezydent Chirac pohukiwał, że „nie dopuści do meblowania unii po niemiecku" i „germanizacji Europy" przez kanclerza Schrödera, a szef dyplomacji Vedrine nazywał Fischera, niemieckiego kolegę z urzędu, „szczurołapem" z „germańską pychą". Ostatecznie obie strony doszły po raz enty do wniosku, że razem mogą osiągnąć dla siebie więcej.

Co teraz chcą osiągnąć poprzez odnowę „ślubów małżeńskich" w tym związku sado-maso? To samo, za cenę wzajemnych ustępstw, dla zachowania decydującej roli w UE. Tyle tylko, że Europa nie jest już taka jak wczoraj...

Piotr Cywiński

Białoruś

Czytelna aluzja Łukaszenki

Zimna wojna religijna między Konstantynopolem a Moskwą zdążyła już podzielić społeczność prawosławną na całym świecie. Jej stawką pozostaje niezależność ukraińskiego prawosławia, ale konsekwencje obecnego konfliktu mogą być dalej idące.

Przypomnijmy, że patriarchat Konstantynopola uznał nieważność porozumienia z 1686 r., na mocy którego Moskwa podporządkowała sobie metropolię kijowską. Problem polega na tym, że metropolia kijowska w granicach z XVII w. obejmowała terytorium nie tylko współczesnej Ukrainy, lecz również obecnej Białorusi, Litwy, a nawet część Polski. De facto podważone zostało więc prawo patriarchatu moskiewskiego do zwierzchności nad całym prawosławiem białoruskim. Nikt jednak z pierwszoplanowych polityków do niedawna nie poruszał tego tematu publicznie.

Pierwszy zrobił to niespodziewanie prezydent Aleksander Łukaszenka, który oświadczył: „Zbyt wiele dziś (a analizuję sytuację zarówno w naszym społeczeństwie, jak i wśród Rosjan) toczy się rozmów o zjednoczeniu dwóch państw. W związku z sytuacją Kościoła na Ukrainie wiele pojawiło się teraz pytań o autokefalię naszego Kościoła na Białorusi. Uważam te pytania za głupie i wprowadzane na siłę do dyskusji w naszym społeczeństwie".

Rzecz jednak w tym, że to właśnie Łukaszenka wprowadził ów temat do dyskusji. Komentując wypowiedź białoruskiego prezydenta, rosyjski teolog Andriej Kuriajew napisał: „To jawna miękka groźba: jeśli pociągniecie kołdrę w swoją stronę, wtedy i ta mina wybuchnie w naszych stosunkach". Wygląda więc na to, że Łukaszenka w swoim obecnym konflikcie z Rosją postanowił zagrać kartą religijną. Kremlowscy włodarze wzmogli bowiem ostatnio nacisk na Mińsk, by jeszcze ściślej uzależnić Białoruś od siebie. W tej sytuacji z Mińska snuje się wizja nowej autokefalii, czyli religijnego uniezależnienia się od Moskwy. Wiele wskazuje na to, że Łukaszenka blefuje, ale ten blef świadczy, iż presję z Kremla traktuje śmiertelnie poważnie.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 7b31e575ab

Macedonia

Macedonia Północna niepokoi Rosję

Parlament w Skopje przegłosował poprawkę do konstytucji, która zmienia nazwę państwa na Republikę Macedonii Północnej.

Ta – wydawałoby się – czysto formalna zmiana może mieć duże znaczenie geopolityczne dla Bałkanów. Dzięki niej możliwe stało się bowiem porozumienie z Grecją, która sprzeciwiała się dotychczasowej nazwie Macedonia, uznając ją za swoją spuściznę kulturową i obawiając się ewentualnych roszczeń Skopje do własnej prowincji o tej samej nazwie. Sprzeciw Aten – choć wydawał się irracjonalny – miał bardzo poważne konsekwencje, uniemożliwiał bowiem członkostwo Macedonii w Unii Europejskiej i NATO. Jeśli parlament w Atenach – zgodnie z zawartym w 2018 r. porozumieniem – zaakceptuje nową nazwę Macedonii, jej droga do integracji z Europą zostanie odblokowana.

Taki obrót spraw niepokoi Rosję, która konsekwentnie – choć bez większych sukcesów – próbuje powstrzymać ekspansję NATO na Bałkanach. Po kompromitacji rosyjskich służb specjalnych w Czarnogórze, którą Moskwa, aranżując nieudany zamach stanu, bezskutecznie próbowała powstrzymać od członkostwa w Sojuszu, wysiłki Kremla skoncentrowały się właśnie w Macedonii. Według ujawnionych w 2017 r. raportów macedońskiego kontrwywiadu rosyjska siatka szpiegowska wspólnie z serbskimi służbami specjalnymi dąży do destabilizacji sytuacji w kraju, podburzając w tym celu albańską mniejszość oraz wykorzystując konflikt pomiędzy dwiema najważniejszymi partiami: rządzącymi socjaldemokratami premiera Zorana Zaewa oraz opozycyjnymi konserwatystami Nikoły Gruewskiego. Rosjanie próbowali storpedować porozumienie z Grecją, podsycając antyzachodnie nastroje w partii Gruewskiego, w czym pomógł im nieoczekiwanie... George Soros. Finansowana przez miliardera – a pośrednio przez administrację Baracka Obamy – Fundacja Open Society bardzo aktywnie włączyła się bowiem w walkę z konserwatystami Gruewskiego, co tylko zaostrzyło sytuację.

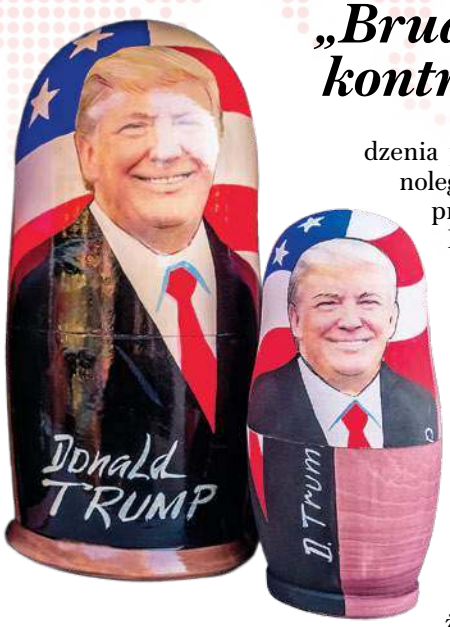
Jednocześnie Moskwa działała aktywnie po drugiej stronie granicy, penetrując grecką scenę polityczną, która również niemal po połowie podzieliła się w sprawie porozumienia z Macedonią. Ostatecznie skończyło się to w 2016 r. skandalem szpiegowskim, wydaleniem dwóch rosyjskich „dyplomatów" z Grecji i ochłodzeniem ciepłych dotąd relacji między Moskwą a Atenami.

Grecki parlament będzie głosował nad porozumieniem z Macedonią 9 lutego. Jeśli porozumienie zostanie zaakceptowane, rosyjski wywiad poniesie kolejną prestiżową porażkę.

Konrad Kołodziejski

USA

„Brudne" gliny kontra Trump



Prezydent Trump, cokolwiek by robił, nie może się pozbyć wiszącego nad nim odium współpracy z Rosją. Kwestia ta pozostaje w centrum zainteresowania amerykańskich mediów oraz śledczych.

Jak twierdzi „New York Times", FBI już w 2017 r. wszczęło postępowanie mające wyjaśnić, czy Trump nie działał w interesie Rosji, gdy wkrótce po objęciu urzędu odwołał ze stanowiska ówczesnego szefa tej agencji Jamesa Comeya. To śledztwo według gazety wciąż trwa. Rozmówcy „NYT" – byli funkcjonariusze FBI i osoby znające kulisy sprawy – twierdzą, że zwolnienie Comeya przez Trumpa wywołało tyle wątpliwości wśród pracowników kontrwywiadu, że ci wszczęli śledztwo, by ustalić, czy Trump nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego, a także czy świadomie współpracował z Rosją lub „nieświadomie" uległ jej wpływom. Według gazety wątek ten włączono także do dochodzenia prowadzonego równolegle przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie tzw. Russiagate, czyli możliwego ingerowania przez Rosję w wybory prezydenckie w USA oraz potencjalnej zmowy między osobami z otoczenia Trumpa a władzami w Moskwie.

Demokraci uporczywie utrzymują, że Trump swoje zwycięstwo wyborcze co najmniej po części zawdzięcza Kremlowi, czemu on stanowczo zaprzecza. W śledztwie FBI Trump dopatruje się zaś zemsty służb specjalnych. „Nigdy nie pracowałem dla Rosji. To hańbiące, że w ogóle mnie o to pytacie" – powiedział dziennikarzom. „Ludzie, którzy wszczęli tamto śledztwo, zrobili to, bo wcześniej zwolniłem Comeya" – dodał. Byłych przedstawicieli FBI i ministerstwa sprawiedliwości, na których powołuje się gazeta, nazwał „znanymi draniami" i „brudnymi glinami".

Atak na Trumpa przypuścił również „Washington Post". Gazeta twierdzi, że prezydent USA ukrywa przed swoim gabinetem treść rozmów z Putinem i poinstruował tłumaczy, by nie ujawniali członkom rządu informacji na ten temat. Trump kategorycznie zaprzeczył także tym doniesieniom. Ale nieprzychylne mu środowiska i tak nie odpuszczą – jest zbyt łatwym i wdzięcznym celem do ataków.

Aleksandra Rybińska

Fot. dimbar76/Shutterstock.com

eprasa.pl 7b31e575ab

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nienawiść po tragedii



Jan Pietrzak

Po tragedii w Gdańsku, kiedy to chory psychicznie kryminalista śmiertelnie ugodził nożem prezydenta miasta, rozpętała się w mediach burza na temat nienawiści. Napisałem na ten temat piosenkę przed laty, ściśle biorąc, bluesa z refrenem: „Nie rozumiem nienawiści, to jest moja słabość". Blues jest we wszystkich mediach zakazany właśnie z powodu nienawiści do mojej twórczości, zarządzonej w PRL i prolongowanej w III RP przez właścicieli mediów. Mogę też nieskromnie dodać, że jako obiekt szczególnego zainteresowania nienawistników jestem od lat oblepiany fejkiem i hejtem przy każdej najmniejszej okazji. Rozczulają mnie obecne gwiazdy zrozpaczone złośliwymi uwagami na swój temat. Ja to mam od pół wieku, od kiedy napisałem „Żeby Polska była Polską", nic mi nie będzie darowane. Z tym że jako satyryk mogę jednak odczuwać satysfakcję, kiedy doprowadzam do stanu wrzenia obiekty moich żartów. Akurat w tym zawodzie usprawiedliwiona jest tradycja kulturowa dopuszczająca pewną przesadę w opisie stanu faktycznego.

Zatem wracając do „adremu", jak mawiał pewien dzban, na nienawiść najbardziej narzekają po gdańskiej tragedii ci, którzy ją hurtowo wprowadzali do obrotu publicznego. Totalni opozycjoniści vel totalni nienawistnicy. Do tego stopnia nienawidzą Polaków, którzy odstawili ich od władzy, że gotowi są łamać wszelkie tradycyjne normy i obyczaje. Na dobrych obyczajach w Polsce im nie zależy. Wręcz przeciwnie. Starają się zohydzić sprawy godne i ludzi szlachetnych. Z upodobaniem odwracać fakty i znaczenia. Tak się dzieje od lat i również teraz, na naszych oczach.

Jeszcze nie pochowano ofiary, jeszcze nie przesłuchano napastnika, a już prezydent Poznania wie, że to wina Kaczyńskiego. Były minister kultury pisze na Twitterze „Kaczyński wy...laj". Sędzia z kasty mówi: „Ja pragnę zemsty na tej władzy". Borusewicz: „Dla mnie jest jasne, że to był mord polityczny". Jarosław Kurski: „To polityczna zbrodnia"... W wielkim pośpiechu wykorzystują śmierć Pawła Adamowicza do swojego cynicznego celu, do bezwzględnej walki politycznej. Jak z takimi ludźmi można umawiać się na „normalizację"? Czy tak samo jak po katastrofie smoleńskiej?

Na życie zawsze jest czas

Z dziennikarką i prezenterką telewizyjną Martą Manowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Pani Marto, czy życie zaczyna się po sześćdziesiątce?

Marta Manowska: Tak myślę, patrząc na bohaterów programu „Sanatorium miłości" (emisja w niedzielne wieczory w TVP1). Gdy rzucają życiu wyzwanie, gdy chcą, gdy się otwierają, gdy mają odwagę, gdy są elastyczni, młodzi... Kiedy powiedziałam, że to jest ich druga młodość, usłyszałam: „Jaka druga, to pierwsza nasza młodość".

Za sprawą programu „Rolnik szuka żony" stała się pani specjalistką od miłości. Do czego teraz nas pani przekonuje?

Do tego, żeby nie odcinać kuponów, nie osiadać na laurach, nie czekać na to, co życie przyniesie, tylko rzucać życiu wyzwanie.

W przedziale 60+ też? Na miłość zawsze jest dobry czas?



Na życie zawsze jest czas. Dla naszych bohaterów miłość oznacza też przyjaźń – to, że druga osoba jest obok. Mają za sobą często bardzo trudne doświadczenia, odprowadzili najważniejsze dla siebie w życiu osoby, przeżyli rozstania, ciężkie choroby, ale każdy z nich sobie z tym poradził, są uśmiechnięci, patrzą w przyszłość.

Czego się pani dowiedziała, prowadząc program „Sanatorium miłości", od uczestników?

Uczestnicy, seniorzy... to nie są określenia dla nich. To moi przyjaciele. Potraktowali mnie z jednej strony jak córkę, bo są w wieku moich rodziców, z drugiej – jak partnera, bo rozmowy, które prowadziliśmy, były naprawdę głębokie. Często słyszałam, że czuli się po nich, jakby zrzucili sto ton. „Sanatorium miłości" pomogło im wyznaczyć granicę wobec tego, co było przed programem, i co zdarzyło się dzięki niemu.

Fot. TVP/PIOTR MATEY/piotrmatey.com

eprasa.pl 7b31e575ab

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nienawistnicy przeciw nienawiści



Fot. Andrzej Wiktor

W świecie idealnym zabójstwo urzędującego prezydenta dużego miasta powinno wywołać refleksję i publiczne wyciszenie. Powinno prowokować do zastanowienia się nad temperaturą politycznego sporu i metodami, aby go łagodzić; powinno kazać szukać spraw niekontrowersyjnych, które umożliwiałyby oddzielenie naturalnej dla demokracji debaty od wspólnej dla wszystkich racji stanu i elementarnych norm etycznych. W świecie idealnym... ale w takim świecie nikt nie zabiłby Pawła Adamowicza.

W świecie, w którym żyjemy, zaraz po zamachu, kiedy prezydent Gdańska walczył jeszcze o życie, politycy i media totalnej opozycji oskarżać zaczęli partię rządzącą oraz wspierającą ją telewizję o to, że odpowiada za akt psychopatycznego kryminalisty. Dokonywane było to na różnym poziomie: od bezpośrednich pomówień po sprytne, bo jednoznaczne sugestie, jak ta, którą posłużył się Donald Tusk, mówiąc: „Chcę ci dzisiaj, kochany Pawle, obiecać, że dla Ciebie i dla nas wszystkich obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą". Czy Grzegorz Schetyna, który w Sejmie ogłosił: „Pawła zabiła nienawiść, nienawiść obłąkana, dobrze zorganizowana".

Przed jaką pogardą należy Europy bronić? Kto tak dobrze organizuje nienawiść?

Budowany jest ad hoc kult Adamowicza, który przedstawiany jest jako jeden z najwybitniejszych Polaków III RP, skandalicznie opluwany i prześladowany przez swoich konkurentów. Jak w takiej sytuacji powinna się zachować atakowana partia i usiłujący zachować przyzwoitość obserwatorzy sceny politycznej? Milczenie wobec bezpodstawnych oskarżeń w rzeczywistości politycznej oznaczałoby przyznanie im racji i tak zostałoby odebrane.

W odniesieniu do tej tragedii PiS nie ma powodu, aby bić się w piersi. Należy apelować, aby władza zachowała umiar w trudnej sytuacji, za co uznać można choćby mianowanie zastępcy Adamowicza, Aleksandry Dulkiewicz, na komisarza, a później p.o. prezydent miasta – rząd mógł wybrać bliskiego sobie reprezentanta – ale działania takie mają granice. Owszem, można mieć zastrzeżenia do TVP, która bezpośrednio po zamachu wyciągnęła stare, brzydkie zachowania drugiej strony. Ale przestaje to mieć znaczenie przy próbie obciążenia politycznych adwersarzy winą za śmierć Adamowicza.

Słyszymy rozumnie brzmiące wezwania, aby przestać szukać tego, kto zaczął, i zatrzymać licytację na wskazywanie gorszych postępków. Czy znaczy to jednak, że nie mamy prawa oceniać postępowania aktorów naszej sceny publicznej?

Czy nie wolno nam zestawić mianowania Dulkiewicz z zachowaniem Bronisława Komorowskiego, który nie dysponując jeszcze oficjalnym aktem zgonu prezydenta Kaczyńskiego, wbrew prawu, przejął jego funkcje? Czy nie powinniśmy porównywać postawy rządu Morawieckiego z postępowaniem rządu Tuska po zamordowaniu – ewidentnie z powodów politycznych, jak deklarował zabójca – działacza PiS Marka Rosiaka? Czy nie należy odpowiadać na oszczerstwa, że Adamowicz prześladowany był z powodów politycznych, gdy śledztwo w jego sprawie wszczęła prokuratura jeszcze za rządów PO?

Zgodzić się trzeba, że czas po zabójstwie nie jest właściwy, aby rozliczać ofiarę. Jeśli jednak dociekanie wątpliwych kart kariery Adamowicza, dokonywane za jego życia, przedstawiane jest jako nagonka, czy należy to przemilczeć? I kto ponosi odpowiedzialność za ewentualny powrót do tych nieprzyjemnych spraw, jeśli nie ci, którzy nie licząc się z niczym, wciągają prezydenta Gdańska na polityczny sztandar i każą zapomnieć o wszystkich zastrzeżeniach, które mieliśmy prawo wobec niego wysuwać?

Czy pod pretekstem łagodzenia obyczajów mamy zgodzić się na walkę z „mową nienawiści", która ma ideologiczny charakter i służy rozprawie z wszelkimi przeciwnikami dominującej dziś w Europie doktryny i porządku? Pod ową „mowę" podciągany jest każdy krytyk muzułmańskiej imigracji, każdy przeciwnik aborcji czy kolejnych roszczeń gejowskiego lobby. Propagowana w Europie walka z nią to nic innego niż próba ocenzurowania internetu na rzecz dominujących dziś ośrodków. Ci, którzy pamiętają PRL, mogą przypomnieć sobie, że w oficjalnych mediach żadnych gorszących sporów wówczas nie było. Czy o taką zgodę nam chodzi?

Czy mamy zgodzić się, aby walkę z mową nienawiści prowadzili profesorowie Krzemiński, Niesiołowski i Sadurski oraz aby zaakceptowana została formuła ideologa kontrkultury, wychowawcy obecnego establishmentu europejskiego, Herberta Marcusego, że „tolerancja oznacza nietolerancję względem ruchów prawicowych i tolerancję względem ruchów lewicowych"?

eprasa.pl 7b31e575ab

OGNIEM NA WPROST

Lustro i baba z brodą



Topowy niemiecki dziennikarz Claas Relotius, piszący dla największego i najbardziej wpływowego tygodnika opinii „Der Spiegel" („Lustro"), o nakładzie ok. 1 mln egzemplarzy, jest znany z ckliwych, ale poczytnych opowieści o przybyszach z Południa. Do najbardziej znanych należy ta o syryjskim uchodźcy Mahmoudzie Abdullahu. Kiedyś znalazł przypadkiem na ulicy książeczkę oszczędnościową z włożonymi dwoma banknotami o nominale 500 euro i odmówił przyjęcia znaleźnego: „Tam, skąd pochodzi, stwierdził, nie jesteś uczciwy po to, żeby otrzymać nagrodę, ale żeby być dobrym i sprawiedliwym człowiekiem. Mimo że Abdullah stracił dom i pracę, czyli był goły jak święty turecki, powtarzał ciągle, że nigdy nie czuł się bogatszy niż w tej chwili". No proszę. Inna opowiastka traktowała o dwojgu syryjskich dzieciach – uchodźcach Ahmedzie i Alin. Pracowały w Turcji oddzielone od siebie jako zbieracz złomu i szwaczka, a we śnie czasem pojawiała się obojgu Angela Merkel. Teraz wyszło na jaw, że redaktor Relotius od czterech lat faszerował swoich czytelników kitem, a jego niesamowite opowieści rodem z baśni tysiąca i jednej nocy pomieszane z bajkami Andersena były kłamstwem. Wsypała go 99-letnia Traute Lafrenz, kombatantka Białej Róży, grupy oporu przeciwko Hitlerowi. Pewny swojej bezkarności tak zmanipulował wywiad z nią, byle dowalić rodzimej prawicy, że babcia dostał szału i wstydliwa prawda ujrzała światło dzienne. Redakcja wiedziała o jego manipulacjach, jak szef „Gazety Wyborczej" o „wyczynach" swoich dziennikarzy, ale tolerowała to. Jak bowiem piszą Niemcy: „Relotius był dealerem, który mógł zapewnić moralnie uzależnionym redaktorom »Der Spiegel« towar o wysokim stopniu czystości". „Tak, tak ten w lustrze to niestety ja"...

W Szwajcarii nie jest tak łatwo imigrantom wyłudzać pieniądze od państwa. Helweci trzymają jeszcze jako taki fason. Pewien mężczyzna tureckiej proweniencji, widząc swojego kolegę przed dworcem kolejowym, zamiast rytualnego „Salem Alejkum" krzyknął „Allahu akbar!". Każdemu, kto usłyszał te słowa, w ułamku sekundy włosy stanęły dęba na głowie, a żołądek podskoczył do gardła. Zawołanie dotarło również do uszu stojącej obok policjantki. Ta po kilku chwilach zdziwiona, że nadal stoi cała i zdrowa, a powietrzem nie wstrząsnął potężny wybuch, podbiegła wściekła do witającego się z kumplem Turka i wlepiła mu 150 franków szwajcarskich grzywny plus 60 franków opłaty administracyjnej. Liberalno-lewicowe media próbowały syczeć, ale władza okazała się nieugięta, a przybysz z Południa o parę franków lżejszy. Za co? Za mimowolne straszenie widmem zamachu terrorystycznego.

W internecie pojawiło się wideo nagrane przez znaną aborcjonistkę, skierowane do najmłodszych. „Miła pani" rozmawia na nim z dwojgiem dzieci. Oto fragment dyskusji. „Czyli uważasz – pyta pani – że czasami to nie jest OK, żeby mieć aborcję? – Jeżeli nic złego się nie dzieje – odpowiada chłopak. – Nie zgadzam się z tobą – stwierdza prowadząca. – Czy na pewno chcemy, aby ludzie mieli te wszystkie dzieci? – Nie... – odpowiada zbity z tropu nastolatek. – To co z nimi zrobić? – drąży aborcjonistka. – Można je oddać do adopcji – poddaje rozwiązanie chłopak". Na takie dictum pani reaguje błyskawicznie: „Uważam, jeśli jestem zmuszana do stwarzania życia, to tracę prawo do mojego własnego życia. To ja powinnam decydować, czy moje ciało stworzy życie, czy nie. Nawet jeśli oddasz dziecko do adopcji, to wciąż to twoje dziecko gdzieś tam będzie". I tak „światli" uczą nasze dzieci, jak zamordować człowieka w łonie matki bez wyrzutów sumienia.

Amerykańska feministka Nova Galaxia znana jest z dwóch rzeczy. Ze swego owłosienia i niechęci do prezydenta Donalda Trumpa. Galaxia zmaga się z zespołem policystycznych jajników. Jego rzucającym się w oczy objawem jest nadmierny porost włosów na twarzy. W ostatnim wywiadzie powiedziała, że co prawda walczyła z zarostem, ale teraz daje sobie spokój i postanowiła zapuścić brodę. Według niej posiadanie brody to pożądane prawo kobiet. Po tej deklaracji wszczęła medialno-społeczną akcję pod hasłem „Januhairy" (zachęcanie do naturalności), która namawia kobiety do tego, że nie warto walczyć z owłosieniem. Przypadek pani Galaxii jest dobitnym przykładem negatywnego wpływu ideologii na urodę kobiet.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 7b31e575ab

Historie rodzinne

Z okazji Dnia Babci i Dnia Dziadka na rynku wydawniczym ukazała się oryginalna publikacja – książka do samodzielnego wypełnienia treścią. Ta wyjątkowa pozycja służyć ma zachęceniu babć i dziadków do spisywania wspomnień. Opowieść ma się zaczynać od pierwszych zapamiętanych chwil z dzieciństwa, a kończyć w obecnych czasach.

W dobie tzw. rodzin nuklearnych, czyli składających się wyłącznie z rodziców i dzieci, świadomość pokoleniowa zanika. Osobami, które zazwyczaj ją podtrzymują, są dziadkowie. To właśnie oni opowiadają dzieciom o przeszłości rodziny, a także o historii w ogóle. Są bogaci w doświadczenia i swoją mądrością życiową mogą się dzielić, stając się autorytetami dla swoich wnuków, którzy wystartują w dorosłe życie mocniejsi o ich refleksje.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Książki dziadków będą stanowić bezcenne świadectwa przeszłości, które mogą się okazać trwalsze niż wirtualne pliki zebrane w internetowych chmurach

Zwyczaj spisywania dzienników zasadniczo odszedł już do lamusa, a my, o ile zdecydujemy się odłożyć telefony, ograniczamy się do lakonicznych wpisów w kalendarzach, które zazwyczaj nie dotyczą naszych spraw osobistych, służąc wyłącznie uporządkowaniu naszych obowiązków. Dzienniki kojarzą się głównie z formą literacką, skądinąd niezwykle interesującą z uwagi na swoją różnorodność tematyczną i często wyjątkową optykę powszechnie znanych wydarzeń. W wielu polskich domach są wciąż obecne, choć pewnie nieco przykurzone, dzienniki Zofii Nałkowskiej, Marii Dąbrowskiej, Witolda Gombrowicza, Leopolda Tyrmanda czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. To bezcenne źródło wiedzy nie tylko na temat ich bohaterów, lecz całej palety przeżyć codzienności, których poznanie przybliża i urealnia naszą wspólną przeszłość.

Wielu Polaków nie ma świadomości roli ani udziału swoich przodków w historii naszego kraju. Np. o ich zaangażowaniu w wojenną działalność konspiracyjną, powojenną opozycyjną czy doświadczeniu przymusowej emigracji. Przez długie lata komunizmu z obawy o bezpieczeństwo rodziny o wielu ważnych doświadczeniach się milczało. Dziś pochłonięci pracą rodzice rzadko kiedy mają czas na opowiadanie o swoich korzeniach, dokonaniach przodków, ich charakterach, życiowych wyborach, radościach i zmartwieniach, które malują obraz rodziny, a przede wszystkim budują samoświadomość jej najmłodszych członków.

Książka dedykowana dysponującym większą ilością wolnego czasu dziadkom ma być zapisywana samodzielnie przez dorosłych lub przy udziale wnuków, stanowiąc pretekst do rozmów i wspólnej zabawy w utrwalanie zupełnie poważnej rodzinnej historii. Ułatwienie w przywoływaniu zdarzeń z przeszłości stanowią znajdujące się w niej pytania i miejsca przeznaczone na pamiątkowe fotografie.

Książki dziadków będą stanowić bezcenne świadectwa przeszłości, które mogą się okazać trwalsze niż wirtualne pliki zebrane w internetowych chmurach. Odręczne spisywanie wspomnień przez dziadków może także zachęcić wnuki do częstszego niż tylko w szkole posługiwania się piórem, które zastępowane jest przez klawiaturę telefonów, komputerów i coraz popularniejsze gotowe do użycia (sic!) pismo obrazkowe w formie emotikonek.

E-prenumerata SIECI w SIECI HISTORII
9,99 zł za miesiąc
Zamów na: SiećPrzyjaciół.pl ›
eprasa.pl 7b31e575ab

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Po taniości

Dom za 4 zł? To możliwe. I to w dodatku na Sycylii. We włoskiej miejscowości Sambuca di Sicilia domy sprzedawane są po 1 euro. Wszystko dlatego, że władze miasteczka chcą ożywić wioskę. Za podobną cenę wystawiono na sprzedaż kilkadziesiąt nieruchomości. By jeszcze bardziej zachęcić do osiedlenia się w wiosce, obiecano maksymalne uproszczenie procedur zakupu nieruchomości. Jak przypomina Onet.pl, w 2016 r. Sambuca di Sicilia otrzymało tytuł najpiękniejszego miasteczka we Włoszech przyznawany przez publiczną włoską telewizję RAI. Niestety wszystko jest zbyt piękne, by mogło być do końca prawdziwe. Oczywiście jest małe „ale". Kupujący muszą odnowić mieszkania i domy o powierzchni od 40 do 150 mkw w ciągu trzech lat, a ma to kosztować nie mniej niż 15 tys. euro. Do tego trzeba jeszcze zdeponować kaucję, która zostanie zwrócona po remoncie. Ech, te zapisy drobnym drukiem. A mogło być tak pięknie...



31 mln

– tylu turystów odwiedziło w ubiegłym roku Japonię. To rekordowa liczba.

10 proc.

– o tyle w Polsce będzie do 2023 r. rosła rocznie liczba milionerów. Tak wynika z raportu agencji Wealth-X zbierającej dane o majątkach najbogatszych ludzi świata.

40,8 mln zł

– tyle przeznaczono w budżecie na 2019 r. na Kartę Dużej Rodziny. To ponad 12 mln zł więcej niż roku temu.

Prawa otyłych?

Czy można walczyć o prawa osób otyłych? Jak się okazuje – można, bo otyli są nagminnie dyskryminowani. Tak przynajmniej uważa 26-letnia Danielle Galvin, która nazywa siebie „aktywistką na rzecz osób otyłych". Gdy większość ludzi zdobywa w mediach społecznościowych popularność, promując diety, ćwiczenia lub po prostu zdrowy tryb życia, Danielle pokazuje innym osobom, które cierpią na zaburzenia odżywiania, że można być szczęśliwym w rozmiarze XXL. „Blogerka tłumaczy, że termin »fat activism« rozumie jako uświadamianie o maltretowaniu, marginalizacji i dyskryminacji osób, które są grube" – czytamy na Wprost.pl. Okazuje się jednak, że i to może być zajęciem ryzykownym, ponieważ dziewczyna otrzymuje liczne groźby oraz życzenia śmierci. No to grubo!



A może referendum?

Brytyjska Izba Gmin odrzuciła negocjowane od dwóch lat porozumienie w sprawie brexitu, a dzień później pozostawiła u władzy premier Theresę May. Ponieważ mało kto wie, co będzie dalej, pojawił się pomysł, by powtórzyć referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii ze struktur unijnych. W UE tli się cień nadziei, że może wreszcie Brytyjczycy poszli po rozum do głowy i gdy im już brukselscy urzędnicy pokazali, gdzie raki zimują, zmienią zdanie. A jeśli nie?



eprasa.pl 7b31e575ab

Chiński show w Tatrach

W Chinach ruszyła właśnie emisja reality show „Nieustraszone dwudziestolatki". W programie bierze udział dziewczęca grupa artystyczna Rocket Girls 101. „Celem show była integracja 11 artystek girlsbandu Rocket Girls 101 i sprawdzenie uczestniczek w ekstremalnych warunkach – najpierw na pustyni, a później w wysokich, ośnieżonych górach. I właśnie ta druga część kręcona była w polskich Tatrach. Chińskie celebrytki odbyły wędrówkę w pięknej scenerii polskich gór. Część zdjęć kręcona była m.in. nad Morskim Okiem. Górska przygoda zespołu muzycznego z Chin zakończyła się w Zakopanem, gdzie uczestniczki świętowały wspólny sukces w tradycyjnej góralskiej gospodzie" – informuje Wprost.pl. Podobno teraz czeka nas zalew chińskich turystów. Zawsze to lepsze niż zalew szpiegów.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x 2), www.instagram.com/iamdaniadriana, twitter.com/101RocketGirls

Ofiarą takiego aktu terroru stał się prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Ofiarą zinstytucjonalizowanej nienawiści, z jaką mamy do czynienia w Polsce od trzech lat – powiedziała w Parlamencie Europejskim Barbara Kudrycka. I to by było na tyle w kwestii obniżania temperatury sporu politycznego.

Miłosiernie

W związku z zamordowaniem prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, podczas jednego ze spektakli „Klątwy" nie zagrano sceny zbierania pieniędzy na zabójcę Jarosława Kaczyńskiego. Zamiast tej sceny pamięć zamordowanego prezydenta uczczono minutą ciszy. Jak zaznaczają aktorzy, zmiana jest jednorazowa. Bardzo ładny gest, choć szkoda, że tylko jednorazowy. Twórcy „Klątwy" w ogóle powinni zrezygnować z odgrywania zbiórki pieniędzy na zabójstwo Jarosława Kaczyńskiego. No bo czy to aby nie jest osławione ostatnio szerzenie nienawiści?



Naszemu koledze

DOMINIKOWI ZDORTOWI

najgłębsze wyrazy współczucia

z powodu śmierci

OJCA

składają

przyjaciele z Tygodnika TVP



Dominikowi Zdortowi

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają koleżanki i koledzy z „Sieci"
i portalu wPolityce.pl

eprasa.pl 7b31e575ab

RZECZY POSPOLITE

Superwtopa saudyjska



Tomasz Łysiak

Juventus wygrał z Milanem po bramce Ronaldo. Superpuchar Włoch. Italiańcy, jak to mają w zwyczaju, zaczęli się kłócić po meczu: czy była ręka czy nie, a może był karny dla Milanu, ale nieodgwizdany? Jedna rzecz połączyła mieszkańców Półwyspu Apenińskiego – sprzeciw wobec tego, jak gospodarz meczu potraktował kobiety.

Ja również nie mogłem uwierzyć, gdy kilka tygodni temu zobaczyłem e-maila, którego otrzymałem z fanklubu Juve w sprawie sprzedaży biletów. Stało tam wyraźnie, że kobietom nie wolno kupować miejsc na większość trybun, mogą wejść jedynie na trybunę rodzinną, ale razem z mężczyzną. Oczywiście sam Juventus nie ponosi tutaj żadnej winy – umowy z Arabią Saudyjską podpisywał włoski związek Lega Serie A jego szefowie usprawiedliwiają się teraz, że deal był dogadywany, zanim Saudyjczycy zamordowali Jamala Khashoggi w Turcji. Niczego to jednak nie zmienia.

Wrażenie po Superpucharze pozostaje fatalne, choć saudyjscy realizatorzy telewizyjni stawali na głowie, aby pokazać w tłumie kibiców jakąś kobietę. Owszem, były, ale większość w hidżabach, a nawet nikabach zakrywających twarz. Notabene to muzułmańskie nakrycie głowy jest dozwolone na stadionach europejskich, co kiedyś wykorzystali kibice, którym zabroniono zakładać kominiarki – przebrali się za muzułmanki i policja mogła im nagwizdać.

Tak wygląda w praktyce europejska otwartość na muzułmańską kulturę – tracimy już nie tylko odporność na jej wpływy, lecz stajemy się jej zakładnikami. Oriana Fallaci miałaby kolejny temat do długiego tekstu, właśnie na temat futbolu. Saudyjski petrodolar łamie wszelkie opory. I oto włoski Superpuchar, w którym grają dwa wielkie włoskie zespoły, nie tylko nie jest rozgrywany we Włoszech, lecz w dodatku organizowany na modłę muzułmańską – Włoszki nie są mile widziane na stadionie. Matteo Salvini, znany z kibicowania Milanowi, wściekł się, wypowiedział bardzo ostro na temat takiego finału Supercoppa i w ramach prywatnego bojkotu nie oglądał meczu.

A w ogóle, gdy człowiek na to wszystko patrzy, tym radośniej wyczekuje mundialu w Katarze za cztery lata.

Czerwony Kapturek



Piotr Cywiński

Kiedyś była bardzo bogobojna. Musiała być, skoro pisała dla „Ozonu" – tygodnika, którego już nie ma, bliskiego Kościołowi, a który odzwierciedlał jego stosunek do tak fundamentalnych kwestii jak zabijanie na życzenie – aborcji i eutanazji – czy homoseksualizmu. Coś tam miała jeszcze wspólnego z „Gościem Niedzielnym", potem z innymi, np. z „Gazetą Polską", co jednak skończyło się jej, tzn. tej gazety, przeprosinami za zżynanie przez tęże autorkę cudzych tekstów. Zmuszona więc była znaleźć sobie miejsce gdzie indziej. I znalazła. Wreszcie się wyzwoliła, wreszcie może się obnosić, że nie lubi Kościoła, i PiS nie lubi, lubi natomiast „Gazetę Wyborczą", którą tuli do piersi. I w ogóle seks lubi, bez pruderii i bez pudru. Teraz już może nieskrępowanie prezentować swe poglądy i siebie, calusieńką, nago, w sensie intelektualnym. I prezentuje, na wizji, w Superstacji z nazwy, gdzie uchodzi za gwiazdę.

Bo ten PiS to taka omszała, skostniała partia, z którą może by i chciała pofiglować, lecz się nie dało, jako że w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Więc się z nim rozprawia i z tymi wszystkimi, cytuję: „populistami, tchórzami i karierowiczami, nieudolnie przysłaniającymi oportunizm i żądzę władzy listkiem z parodii patriotyzmu i katolicyzmu". I wali po swojemu w ten „mózg i usta pisowskiej operacji pozbawiania Polski wolności, boją się jej jak zarazy i jak zarazę chcą ją wytępić". Dlatego należy „unicestwić PiS" z przyległościami, wszystkich tych „leni, kłamców, pozorantów, populistów, krzykaczy bez dokonań i ogłady, fanatyków, szaleńców, przemocowców i arogantów" – koniec cytatu.

Teraz tylko czekam, aż zerwie Wałęsie z klapy marynarki podobiznę Matki Boskiej, która – jak twierdzi – jest „postacią anegdotyczną", ponieważ nie wiadomo, co za „facet" i jak „ją zapłodnił", a którą stawia „na równi z baśniami braci Grimm i opowieścią o Czerwonym Kapturku", ważną tylko dla „pewnego wycinka obywateli". A ona, Eliza Michalik, bo tak brzmi jej nazwisko, wycinkiem nie jest. W nawiązaniu do tragicznej śmierci prezydenta Pawła Adamowicza pani Eliza perorowała za pośrednictwem Onetu, że „za mowę nienawiści powinno się trafiać do więzienia", że trzeba to tłumaczyć, „ważąc słowa", tak „bez zajadłości, bez złości" i „nie zniżając się do pewnego poziomu". Ważę więc w Michalikowym stylu: gdyby to ona była Czerwonym Kapturkiem, bajki by nie było, bo wilk po pożarciu jej dostałby niestrawności albo czegoś więcej. Nie powiem czego, powiem tylko: a fuj...

eprasa.pl 7b31e575ab

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

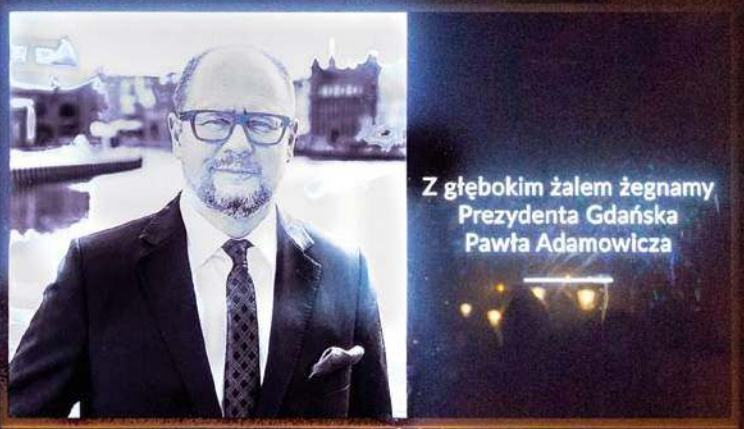
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: KAROLINA MISZTAL/POLSKA PRESS/DZIENNIK BAŁTYCKI, GRZEGORZ MEHRING/WWW.GDANSK.PL/REPORTER, JULITA SZEWCZYK, SHUTTERSTOCK (x4)

eprasa.pl 7b31e575ab



Deeskalacji nie będzie

Najgroźniejszym efektem chorobliwego stanu emocjonalnego Polski jest wpływ, jaki wojenny przekaz obu obozów wywiera na osoby najmniej psychicznie odporne. Dlatego możliwe, że będą następne ofiary

Fot. Piotr Hukało/East News

1.



PIOTR SKWIECIŃSKI

Nie dam się emocjonalnie zaszantażować.

I, skoro minął już pogrzeb, a zasada: „ciszej nad tą trumną" lub „o zmarłym tylko dobrze albo wcale" we współczesnym świecie obowiązuje właśnie do pogrzebu (inna rzecz, że niektórzy i tego okresu niestety nie uznają), nie będę czuł się skrępowany dudniącymi przez setki wzmacniaczy żądaniami, abym zamordowanego prezydenta Gdańska uznał za kogoś – przez sam fakt śmierci poniesionej z rąk szaleńca – uświęconego.

Mimo to, dla potrzeb tego artykułu, o śp. Pawle Adamowiczu będę wypowiadał się bardzo powściągliwie.

Powściągliwie, choć on sam był politykiem bardzo – powiedzmy to otwarcie – lubiącym prowokować emocjonalne reakcje przeciwników. O czym świadczy multum sytuacji. Choćby konflikt sprzed paru lat, dotyczący odrestaurowania – lub nie – napisu „imienia Lenina" nad historyczną bramą Stoczni Gdańskiej. Adamowicz ewidentnie świadomie zdecydował wówczas, że woli rolę kogoś, kto ogniskuje wrogość sporej części społeczeństwa, od roli prezydenta, który będąc być może mniej wyrazistym, stara się coś sklejać, kogoś z kimś jednać.

Podobnie jak sprawa nazwania ronda, leżącego na przedwojennej granicy miedzy Wolnym Miastem Gdańskiem a Rzecząpospolitą mianem „granicznego" – sugestia, że przebiegająca niegdyś w tym miejscu granica nadal oddziela coś od czegoś. Może nie aż Polskę od Niemiec, jak sugerowali najbardziej zażarci wrogowie Adamowicza, ale Polskę wolną od tej zniewolonej... Czy podobnie jak żenująca (ze strony władz Gdańska) szarpanina w sprawie obecności Wojska Polskiego na Westerplatte 1 września, mająca (w myśl mojej intuicji) sugerować, że od oczywistej przecież w tej dacie i w tym miejscu tradycji wojskowej istotniejsze ma być podkreślenie siły władzy miejscowego samorządu...

eprasa.pl 7b31e575ab

Dodajmy jeszcze jednoznacznie neoliberalną postawę śp. prezydenta w kwestii reprywatyzacyjnych praktyk w Gdańsku. No i, przede wszystkim, słynne 36 kont w różnych bankach. I, w sumie, dziewięć nieruchomości. Itd., itp.

Moja powściągliwość wynika z tego, że to wszystko nie jest powodem, by kogoś zabijać.

2.

Kontrowersyjność zamordowanego prezydenta nie zmienia też sytuacji, że był on jednym z liderów liberalnej opozycji. I że huraganowy atak na nią mógł kogoś podatnego na tego rodzaju perswazję skłonić do uderzenia także w niego. Podobnie jak bliźniacza nagonka na obecną władzę mogła i może skłonić jakiegoś psychicznego bliźniaka Stefana W. po stronie antypisowskiej do podjęcia próby zabicia którejś postaci emblematycznej dla obozu rządzącego.

Tej politycznej interpretacji sytuacji nie unieważnia to, że morderca to kliniczny paranoik. Doraźnie najgroźniejszym efektem chorobliwego stanu emocjonalnego Polski – sytuacji, w której już od lat zalewają ją fale politycznej nienawiści, a obie strony konfliktu mają tendencję do odczłowieczania przeciwnika i przedstawiania go jako byt skończenie zły, samo jego istnienie zaś jako praprzyczynę wszelkiego zła – jest bowiem wpływ, jaki ten obustronnie potężny i trwający już długie lata przekaz wywiera właśnie na osoby najmniej psychicznie odporne. On je uaktywnia. Ktoś bodaj tylko średnio odporny zatrzyma się na etapie co najwyżej pisania agresywnych komentarzy w internecie. Ale bardziej podatny wyciągnie z tego, co do niego dociera, wnioski ostateczne. Zabije siebie albo kogoś.

Innym, pokrewnym aspektem tej sytuacji jest łatwość, z jaką nieodporne na takie wpływy jednostki znajdują w obecnej Polsce sposób, by swoje niepowodzenia i własne – prawdziwe czy rzekome – krzywdy uogólnić. By nadać im „sens" i odnaleźć tych, których będą mogli uznać za odpowiedzialnych za owe niepowodzenia oraz, realne lub urojone, krzywdy. Obie strony konfliktu zalewają takie osoby kandydaturami na owych „winnych". „Pisowskie bestie" (autentyczne sformułowanie, pojawiające się w antyrządowym internecie), sprzedajne elity i sędziowie, politycy jednej i drugiej strony łatwo mogą być uznani za czy to osobiście odpowiedzialnych za czyjeś konkretne życiowe porażki, czy też przynajmniej za uosobienie krzywdzącego lub „krzywdzącego" kogoś zbrodniczego systemu.

Jeśli sytuacja psychologiczno-społeczna się nie zmieni, a nic na to nie wskazuje, przypadków takich jak gdański dramat może być więcej. Przy czym potencjalne ofiary mogą się sytuować po obu stronach barykady, a sprawcy kierować się nienawiścią zarówno do dawnych, jak i obecnych rządzących.

Jestem przy tym przekonany, że gdyby nie takie okoliczności jak słynna niechęć Polaków do wyciągania ostatecznych, lecz logicznych konsekwencji z wyznawanych poglądów, oraz związane ze współczesnymi trendami kulturowymi obniżenie ludzkiej gotowości do zarówno narażania się na przemoc fizyczną, jak i do posługiwania się nią, Marków Rosiaków i Pawłów Adamowiczów liczylibyśmy dziś co najmniej na dziesiątki. Jeśli nie setki. Jeżeli nie tysiące. Taki jest poziom emocji.

3.

Optymistycznie można byłoby powiedzieć, że nie jesteśmy czymś historycznie wyjątkowym. Przeżywamy coś strukturalnie podobnego do rozpadu wspólnoty narodu francuskiego na przełomie XIX i XX w., na tle sprawy Dreyfusa. Przypomnijmy – niesłuszne skazanie za szpiegostwo tego niewinnego oficera pochodzenia żydowskiego, a bardziej jeszcze późniejsze długotrwałe bronienie tego wyroku i trzymanie Dreyfusa w więzieniu w sytuacji, w której decydenci wiedzieli już, że to nie on był zdrajcą, ale chcieli go poświęcić na ołtarzu polityki (bo przyznanie się do pomyłki godziłoby w honor armii i podważyło zasadnicze elementy ówczesnej prawicowej narracji), doprowadziło do odrzucenia, ze względów moralnych, skompromitowanego konserwatyzmu przez wielu Francuzów. A także do wykopania w społeczeństwie przepaści, które tylko częściowo zasypała I wojna światowa.

Tylko że między ówczesną Francją i ówczesnymi Francuzami a dzisiejszą Polską i Polakami istnieją zasadnicze różnice. U nas bowiem za Dreyfusa uważają się obie strony. Zdolność do roztkliwiania się nad samym sobą jest w Polsce zaiste ogromna i podobna po obu stronach barykady.

Ale ważniejsze jest coś innego. Francuzi byli wtedy narodem gwałtownie się rozwijającym, ich państwo znajdowało się u szczytu mocarstwowości, w apogeum wpływowości i ekspansji. Dzisiejsza Polska jest natomiast krajem chorym, słabym, zamieszkanym przez ludność żywiącą wobec otoczenia kompleksy niższości, będącym raczej obiektem ekspansji obcych niż podmiotem ekspansji własnej. Organizm zdrowy może przeżyć nawet ciężką chorobę. Organizm zaś słaby, zaatakowany przez chorobę w sytuacji, w której i tak ledwo żyje... Nie, Polska oczywiście nie umrze. Ale podobny do sprawy Dreyfusa konflikt może zostawić na niej ślady znacznie, znacznie gorsze, bardziej długotrwałe i szkodliwe niż te będące udziałem Francji sprzed stu kilkunastu lat.

4.

Po morderstwie rząd oraz PiS przyjęli natychmiast – i realizowali dość konsekwentnie – linię na osłabianie emocji. Poszło to tak daleko, że warszawscy radni tej partii zagłosowali wręcz za uchwałą nadającą Adamowiczowi – swojemu sztandarowemu nie tylko politycznemu, lecz również ideologicznemu przeciwnikowi – pośmiertnie honorowe obywatelstwo stolicy. Oczywiście wszystko to było spowodowane słusznym skądinąd przeświadczeniem, że na tej sprawie PiS może wyłącznie stracić, i chęcią minimalizacji tych strat. Niezależnie jednak od przyczyn partia rządząca zachowała się w sposób sprzeczny z własnym stereotypem i obyczajowością, do której przyzwyczaiła nas wojna polsko-polska – choć trwałość tego zwrotu wydaje się wątpliwa.

Natomiast opozycja jednoznacznie odrzuciła formułowane w różnych ośrodkach apele o pojednanie czy bodaj zmniejszenie skali negatywnych emocji. Jej część partyjna raczej

eprasa.pl 7b31e575ab

powstrzymała się wprawdzie w większości od agresywnych komentarzy, ale to, co myśli o wszelkich propozycjach deeskalacyjnych, okazała, nie przychodząc na spotkanie zorganizowane przez prezydenta w sprawie wspólnego marszu przeciw nienawiści i nie godząc się na tę inicjatywę.

Jej część medialna zaś odrzuciła propozycje deeskalacji zupełnie wprost i nikt, kto w ciągu ostatnich dni miał do czynienia z prasą czy portalami sympatyzującymi z opozycją, nie może mieć co do tego wątpliwości. Owszem, były wyjątki, jak zwykle z najbardziej skłonnym do ważenia racji, a po śmierci prezydenta Gdańska wzywającym do ciszy i rachunku sumienia „Tygodnikiem Powszechnym" na czele, ale zdecydowanie przeważała tonacja diametralnie odmienna. Najczęściej oparta na haśle: nie ma pojednania z moralnie winnymi zabójstwa Adamowicza, bo oni dotąd pojednania nie chcieli. Hasłu temu często towarzyszyły, zwłaszcza w przestrzeni internetowej, wezwania do odrzucenia przez stronę antypisowską „uprzejmości i dyplomacji", których, dodajmy, ja osobiście dotąd jakoś nie dostrzegałem.

„Gazeta Wyborcza" postanowiła wręcz chwycić byka za rogi. I piórem Marka Beylina otwarcie postawiła tezę: oto nie można porównywać zamordowania Adamowicza z zabójstwem Rosiaka z 2010 r. A to dlatego, że PiS, podobno w odróżnieniu od Platformy, „przyzwala na to, by do sporów politycznych wprowadzać wątek fizycznej likwidacji przeciwników". W zakresie tego rzekomego odróżniania się na tym polu Platformy mamy do czynienia z oczywistą nieprawdą. Przywódcy tej partii zawsze lubowali się w krwawych metaforach, od Palikota („zastrzelimy Jarosława Kaczyńskiego, wypatroszymy i skórę wystawimy na sprzedaż w Europie"), przez Donalda Tuska („Wyginiecie jak dinozaury"), aż po, formalnie poza PO, ale ideologicznie jak najbardziej pozostającego w jej jądrze, Michała Kamińskiego (propozycja, by zabić PiS kamieniami jak mamuta). „Śmierć takiego człowieka domaga się pomsty" – pisze zaś po zabójstwie prezydenta na swoim blogu filozof Jan Hartman.

Nie skłania to do optymizmu.

5.

„Mam dosyć dziecinnego spierania się, kto pierwszy zaczął", czyli kto pierwszy rozpoczął rozkręcanie nienawiści – od takich zaklęć ludzi przerażonych tym, co się stało i w ogóle nienawiścią, huczy internet.

Otóż to jest zrozumiałe, ale do niczego nie prowadzi. Nie dlatego, żeby sensowne było licytowanie się odniesionymi krzywdami, tylko dlatego, że bez zrozumienia przeszłości, która ukształtowała teraźniejszość, nie będziemy w stanie nic zmienić.

Jeśli idzie o polską prawicę, to jej emocjonalne DNA zbudowały dwa doświadczenia. I oba są znacznie starsze niż PiS. Oczywiście doświadczenie bycia obiektem nienawistnych nagonek, bo to jednak zaczęło się w tę stronę. Bardzo dawno temu, jeszcze w 1990 r., w czasie wojny na górze, kiedy zwolennicy „przyspieszenia" usłyszeli nagle od swoich do niedawna przyjaciół, że skoro chcą rozliczenia ludzi dawnego systemu, to są faszystami. I może nawet boleśniejsze doświadczenie bycia zdradzonym. Przez tychże przyjaciół, do niedawna będących często autorytetami. Przez Lecha Wałęsę po wywalczeniu prezydentury.

Tak, to są sprawy zamierzchłe, młodsze pokolenie działaczy PiS było wtedy dziećmi. Ale są w dużej mierze ukształtowani przez powstały wówczas polityczno-kulturowy gen.

> Polacy poniżej 30. roku życia przeżywają obecny konflikt polityczny znacznie mniej emocjonalnie niż starsi. I to jest jedyne światełko w tunelu

Po 1990 r. co parę lat następowały eskalacje nienawiści. I prawica, od pewnego momentu już pisowska, również eskalowała. Nie będę twierdził, że po tej stronie nie bywało zła ani nieczystych intencji.

Tylko że aż do ostatnich czasów była to niemal zawsze strona ewidentnie słabsza. I jeśli dziś trudno odmówić słuszności tym, którzy przypominają, że PiS rządzi, a od rządzących można w kwestii kreowanego w kraju klimatu wymagać więcej, to tym bardziej ta zasada powinna się odnosić do sił, które dominowały przez zdecydowaną większość epoki III RP.

6.

Nie liczę jednak na to, aby najuczciwsze analizy zmieniły sytuację. Sprawy zaszły za daleko.

W „Siódmym wtajemniczeniu" Zbigniewa Nienackiego główny bohater odkrywa, że rzeczywistość, w którą wierzył i z którą się utożsamiał – święta wojna dwóch szkolnych gangów – jest tylko pozorem, zasłoną dymną na użytek młodych adeptów, a tak naprawdę szefowie obu grup współpracują z sobą, by realizować nieznane tym adeptom cele. Bardzo bym chciał, aby obecna polska rzeczywistość była skonstruowana tak jak świat „Siódmego wtajemniczenia", i aby najwięksi nienawistnicy, poznawszy prawdę, poczuli, że wyszli na durniów. Ale tak niestety nie będzie. To nie jest powieść Nienackiego, nienawiść jest upiornie prawdziwa, również na samych szczytach machin obu obozów.

Jeśli coś może zmienić tę sytuację, to wymiana pokoleniowa. Nie zajdzie ona szybko, bo idzie mi o najmłodszych Polaków – tych z grupy wiekowej 30 minus. Są oni dalecy od doskonałości, mają wiele cech i niepokojących, i drażniących. Ale – i to z mojego punktu widzenia najważniejsze – nie wszyscy pośród nich, ale zdecydowanie większy ich odsetek niż w grupach 30 plus, nie przeżywa wojny polsko-polskiej tak dramatycznie i emocjonalnie jak ich ojcowie oraz dziadkowie, a nawet starsi bracia. Nawet jeśli identyfikuje się z którąś ze stron tego konfliktu.

I to jest chyba jedyne światełko w tunelu. Wątłe, bo wątłe, ale jakieś.

eprasa.pl 7b31e575ab

Po zamachu



Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

Jedyną realną polityczną konsekwencją wstrząsu wokół zamachu na Pawła Adamowicza może być większa wrażliwość na tzw. mowę nienawiści



STANISŁAW JANECKI

Zamach na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, jego śmierć i pogrzeb będą politycznym oraz wyborczym paliwem, choć być nie powinny. Były tym, chociaż w małej skali, tuż po zamachu, a szczególnie po ogłoszeniu, że walka lekarzy o życie Pawła Adamowicza została przegrana, więc tym bardziej będą po pogrzebie i żałobie. Głównie dlatego, że taka tragedia stwarza okazje. A jeśli są okazje, zawsze znajdzie się ktoś, kto z nich skorzysta. Już w pierwszych dniach po śmierci prezydenta Gdańska stało się jasne, że ta broń będzie wykorzystana przeciwko rządzącej Zjednoczonej Prawicy. To w polityce broń nieetyczna i niehumanitarna, tak jak broń chemiczna czy biologiczna w konfrontacjach zbrojnych, ale często traktowana jako jedyna skuteczna i dlatego stosowana. Obecna opozycja nie ma innego programu, jak odsunięcie od władzy Prawa i Sprawiedliwości: za wszelką cenę i wszelkimi środkami. Donosy na Polskę, a szczególnie ich skutki, też były bronią nieetyczną,

choć oczywiście nieporównywalną z wykorzystaniem czyjejś śmierci, i też z tej broni skorzystano. A jeśli zdarza się mord na polityku, niezależnie od motywacji i okoliczności, zawsze jest wykorzystywany przede wszystkim przeciwko aktualnie rządzącym. Wszędzie, nie tylko w Polsce.

W niektórych demokracjach klasa polityczna oraz media potrafią narzucić sobie ograniczenia, jak było w 1990 r. w Niemczech – po zamachach na kandydata SPD na kanclerza Oskara Lafontaine'a i ministra spraw wewnętrznych Wolfganga Schäublego, czy w 2003 r. w Szwecji – po ataku nożownika na szefową MSZ Annę Lindh. Ale wcześniej, w 1986 r., po zamachu na premiera Szwecji Olofa Palmego jego śmierć była politycznie rozgrywana, choć bardziej przeciw opozycji niż rządzącym.

W Polsce zamordowanie w 2010 r. pracownika biura PiS Marka Rosiaka miało polityczne znaczenie i konteksty, chociaż głównie dlatego, że celem zamachowca był Jarosław Kaczyński. Ale ta zbrodnia nie została wykorzystana wyborczo, nie miała wpływu na wynik wyborów. Podwójne wybory w 2019 r. są przez opozycję przedstawiane jako równie ważne jak te 4 czerwca 1989 r., a odsunięcie PiS od władzy – jako czyn na miarę rewolucji francuskiej czy Jesieni Ludów w Europie Środkowej w 1989 r. Nadzieja na to, że śmierć Pawła Adamowicza nie będzie przedmiotem politycznych rozgrywek, nie ma zatem właściwie szans, żeby się spełniła. Problemem jest to, czy wykorzystanie tej nieetycznej broni będzie skuteczne.

ZEMSTA

Tuż po zamachu, a szczególnie po śmierci prezydenta Gdańska, bardzo wyraźnie zaznaczył się oddolny, obywatelski nacisk na obniżenie amplitudy i temperatury politycznego konfliktu w Polsce. Konfliktu przekładającego się na podziały w społeczeństwie, coraz głębsze, radykalniejsze i coraz bardziej wpływające na życie codzienne, pracę, relacje towarzyskie i rodzinne. Dlatego chętni do użycia nieetycznej broni jednak ryzykują, że ta broń uderzy przede wszystkim w nich. O tym może też zdecydować wstrząs moralny po zamordowaniu Pawła Adamowicza, któremu mogłaby towarzyszyć potrzeba katharsis w sensie oczyszczenia i uspokojenia polskiej polityki oraz życia społecznego. W pierwszych tygodniach po pogrzebie prezydenta Gdańska można się spodziewać zderzenia narracji wojennej (głównie opozycyjnej) z pokojową (przede wszystkim prorządową), czego początki mieliśmy już zresztą przy okazji pożegnania Pawła Adamowicza. Co weźmie górę, zależy od temperatury głównego sporu politycznego oraz przebiegu kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. W narracji opiniotwórczych zwolenników opozycji wojna już trwa, zaczęła się jeszcze w dniu ataku na prezydenta Gdańska. A skoro już mamy wojnę, kampanie wyborcze zapowiadają się, przynajmniej w wyobrażeniu niektórych polityków opozycji, jako użycie jednocześnie politycznej broni chemicznej i biologicznej oraz napalmu.

Najważniejszym politykiem opozycji, który „pękł" pierwszy, był Bogdan Borusewicz. Tuż po śmierci Pawła Adamowicza stwierdził: „Dla mnie to jest jasne, że to był mord polityczny – nie zabójstwo – dokonany z premedytacją, nakierowany tylko na prezydenta Adamowicza. [...] Miał [morderca] pretensje do Platformy i jego urojone pretensje skupiły się na tym polityku. [...] Także osoby niepoczytalne są nakręcane przez tego typu propagandę nienawiści, jakiej byliśmy świadkami. To nie był tylko hejt w mediach społecznościowych, były działania prokuratury, przekaz telewizji publicznej. To wszystko stworzyło tę atmosferę".

Borusewicz liczy zapewne na amnezję części społeczeństwa, które wskutek tego, że zamordowano polityka przez lata należącego do PO, nie będzie pamiętać o zapowiedziach zemsty czy unicestwienia obecnie rządzących, pojawiających się na wielu konwencjach PO i w wystąpieniach polityków tej partii. Już po zamordowaniu prezydenta Adamowicza (14–15 stycznia 2019 r.) w Warszawie odbywała się konferencja „Jak przywrócić państwo prawa", zorganizowana przez Fundację Batorego. Występująca tam sędzia Irena Kamińska, zwolenniczka opozycji, mówiła: „Ja będę szczera, ja pragnę zemsty". Podobnie wypowiadała się prof. Monika Płatek: „My wszyscy chcemy zemsty". Te słowa nie dotyczyły zemsty na domniemanych winnych śmierci Pawła Adamowicza, lecz generalnej zemsty na obecnie rządzących. Borusewicz już wie, kto jest winny, gdy mówi, iż ma „nadzieję, że to, co się stało, zmieni Polskę, będzie okazją do refleksji dla rządzących, którzy nie czują się współwinni w jakikolwiek sposób". W tej narracji opozycja jest wyłącznie ofiarą.

Nie wytrzymał prezydent Poznania z PO Jacek Jaśkowiak. W wywiadzie dla włoskiej „La Repubblica" powiedział: „Uruchomiono pokłady nienawiści, zbudzono demony nacjonalizmu, straszono uchodźcami. To wszystko cynicznie wykorzystano do wygrania wyborów. [...] Adamowicz i Jacek Karnowski [prezydent Sopotu] padli ofiarą goebbelsowskich wręcz metod propagandy. [...] Za to wszystko i za doprowadzenie do wczorajszej tragedii [zabójstwa Pawła Adamowicza] w mojej ocenie odpowiada Jarosław Kaczyński". Przegrany polityk opozycji Andrzej Celiński rzucił: „Jarosławie Kaczyński – wyp...j". I dodawał: „Przeproście. Albo spadajcie. W otchłań Syberii. To wasz wybór dziś podstawowy. [...] Zanim dokonacie tego wyboru, jesteście nikim. To do Kaczyńskiego, Brudzińskiego, Morawieckich obu i pozostałych". Nie wytrzymał też (w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej") sympatyzujący z opozycją historyk prof. Andrzej Friszke: „To prawomocne porównanie [z zabójstwem Gabriela Narutowicza] i samo się nasuwa. [...] Schemat jest podobny. Agresywna dehumanizująca propaganda, budowanie ciężkich politycznych oskarżeń i podatny grunt, czyli osoba zaburzona psychicznie, która postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. Chce być wykonawcą aktu sprawiedliwości dziejowej".

W gruncie rzeczy nie wytrzymał również przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, który 14 stycznia 2019 r., przemawiając w Gdańsku, powiedział: „Obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą". Tusk nie nazwał po imieniu tego, kto nienawidzi i gardzi, bo jest na to za sprytny (w przeciwieństwie do Borusewicza czy Jaśkowiaka),

eprasa.pl 7b31e575ab

ale kontekst nie zostawia żadnej wątpliwości, że to rządzący w Polsce, na Węgrzech i we Włoszech, a ubiegający się o władzę we Francji. Tak, jakby gorąca debata o przyszłości Europy miała jakikolwiek wpływ na mordercę w Gdańsku i jakby była jednowymiarowa. A tacy eurokraci jak Tusk byli tylko uosobieniem dobra oraz jedynie słusznej racji.

LEX ADAMOWICZ

O tym, jak może być wykorzystana śmierć Pawła Adamowicza, świadczy pomysł jednego z najbardziej zaangażowanych bojowników opozycji, prof. Wojciecha Sadurskiego (trzeba wziąć poprawkę na jego specyficzny styl i „poczucie humoru"): „Śmierć nie może »pójść na marne«, choć wiem, jak strasznie to brzmi. A może miesięcznice im. Pawła Adamowicza przeciw przemocy, nienawiści i łamaniu konstytucji, 13. dnia każdego miesiąca (lub w najbliższą niedzielę tego dnia)? Czegoś nauczmy się od naszych sióstr i braci z PiS".

Pomysł ten zderzył się z inicjatywą środowisk pism „Liberté" i „Więź" („Lex Adamowicz"), by doprowadzić do jakościowego, radykalnego przełomu w polskiej polityce i życiu społecznym: „Jeśli chcemy przetrwać jako wspólnota, to nie możemy nawoływać do pojednania, dokonując rachunku cudzego sumienia. Aby przerwać nienawiść, jest tylko jeden sposób: bezwarunkowe i radykalne wybaczenie. »Wybaczamy i prosimy o wybaczenie« – te słowa polskich biskupów sprzed pięćdziesięciu lat są jedynym przesłaniem etycznym mogącym powstrzymać destrukcję państwa i narodu. Wzywamy do tego wszystkich i sami to deklarujemy w swoim imieniu: wybaczamy ludziom powodowanym nienawiścią i przepraszamy, jeśli do tego płomienia dołożyliśmy od siebie paliwo. Zwracamy się do partii politycznych i ich liderów z apelem o przyłączenie się do tego aktu wybaczenia przeciwnikom – w przekonaniu, że tylko taki etyczny radykalizm jest w stanie zapobiec kolejnym nieszczęściom w przyszłości".

Jak taki przełom może wyglądać w praktyce, pokazują zachowania niektórych sygnatariuszy apelu, którzy jedną ręką podpisują się pod wybaczaniem i prośbą o wybaczanie, a drugą robią to, co wcześniej, czyli wnoszą solidny wkład w zaognianie konfliktu. Ale ten apel dowodzi, że także środowiska przeważnie sympatyzujące z opozycją dostrzegają „samobójcze" konsekwencje wojny politycznej z użyciem nieetycznych broni. Zauważył to także ważny polityk PO Sławomir Neumann (16 stycznia w rozmowie z Robertem Mazurkiem w RMF FM).

Między rachunkiem sumienia, katharsis a poprawą jest jednak ogromne pole politycznej skuteczności. A ona podpowiada (politykom oraz sprzyjającym im środowiskom), żeby używać takich środków i metod, które uprawdopodabniają sukces. A najskuteczniejsza bywała dotychczas wojna z użyciem nieetycznych broni. Pokusa skorzystania z okazji, jaką stwarza śmierć Pawła Adamowicza, z której niektórzy opozycyjni politycy i ich medialni sprzymierzeńcy chcieliby uczynić mit założycielski procesu odzyskiwania władzy (aluzje prof. Wojciecha Sadurskiego są aż nadto czytelne), była widoczna jeszcze przed pogrzebem prezydenta Gdańska, więc w przyszłości może być tylko większa i zupełnie niezakamuflowana.

> Po śmierci prezydenta Gdańska bardzo wyraźnie zaznaczył się oddolny, obywatelski nacisk na obniżenie amplitudy i temperatury politycznego konfliktu w Polsce

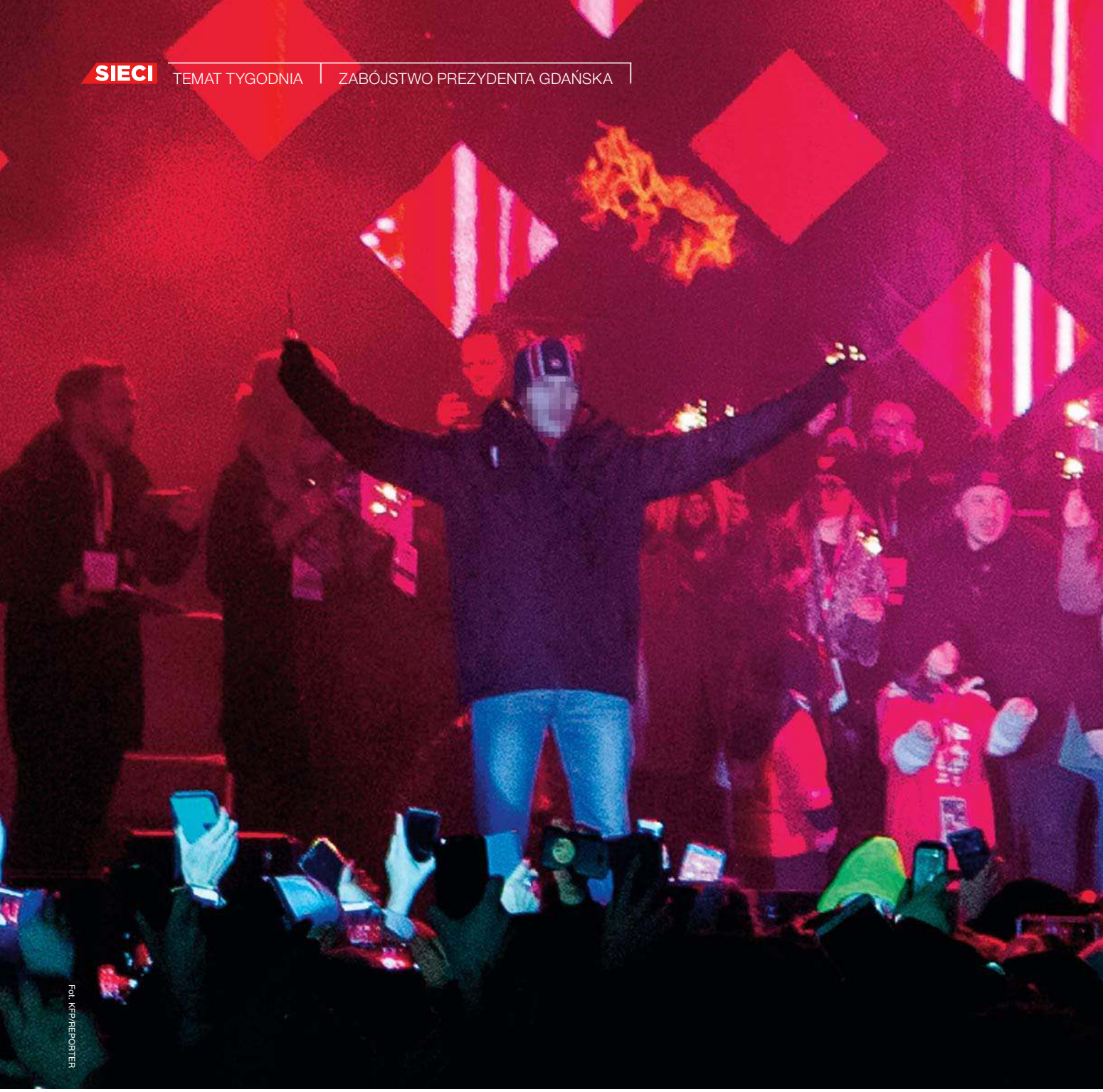
SZLACHETNOŚĆ KONTRA BRUTALNY REALIZM

Politycy i media nie doprowadzą do trwałego procesu wybaczenia i proszenia o wybaczenie, bo za ostrym konfliktem, a przez to także za bezwzględnym dążeniem do odzyskania władzy, stoją bardzo konkretne interesy, przeliczalne na dziesiątki miliardów złotych oraz na wpływy i możliwości wynikające ze sprawowania władzy. A gdy to wchodzi w grę, szlachetne zachowania stają się tylko elementem taktyki, później i tak zwycięża brutalny realizm.

Ale przez jakiś czas można, nie tylko politycznie, zdyskontować pierwszeństwo w propagowaniu idei wybaczenia i proszenia o wybaczenie. Z tym wiąże się też pewna przewaga moralna, pod warunkiem wszak, że działań sanacyjnych nie zdominują hipokryci, a tak jest przecież z częścią sygnatariuszy apelu o „Lex Adamowicz". Istnieje szansa, że przynajmniej kampania wyborcza do europarlamentu będzie w miarę powściągliwa, choć nie jest ona duża. Opozycja musi i chce odwołać się do domniemanego polexitu jako głównego argumentu w kampanii. A stąd już tylko krok do przejścia od polexitu do rozgrywania kwestii nienawiści, także w kontekście reakcji rządu i części opinii na działania przeciwko Polsce Komisji Europejskiej oraz Trybunału Sprawiedliwości UE. A jeszcze gorzej będzie w kampanii do Sejmu i Senatu, gdzie chodzi o znacznie realniejszą władzę niż w europarlamencie. Tym bardziej gdyby opozycja uzyskała niesatysfakcjonujący wynik w wyborach do PE.

Jedyną realną polityczną konsekwencją wstrząsu wokół zamachu na Pawła Adamowicza, jego śmierci i pogrzebu może być większa wrażliwość na tzw. mowę nienawiści, co wszystkim wyszłoby na dobre i zmieniło ton publicznej debaty. Pamiętać jednak trzeba, że polityczne środowiska całkiem różnie definiują mowę nienawiści i dotychczas walka z nią bywała często elementem kulturowej wojny między obozami postępu oraz reakcji utożsamianymi z lewicą i liberałami a konserwatystami i tradycjonalistami. Szansa na to, że tragiczna śmierć prezydenta Adamowicza trwale zmieni polską politykę i życie społeczne, jest jednak niewielka. Ale jest. Podobnie jak szansa na to, że użycie nieetycznych broni bardziej szkodzi, niż pomaga.

eprasa.pl 7b31e575ab



Fot. KFP/REPORTER

Nazywam się Stefan...

Zabił polityka, ale nie oznacza to, że jest politycznym fanatykiem. Motywy zabójcy prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza nie są oczywiste. Czy można było dostrzec, co planuje Stefan W. i temu zapobiec?

eprasa.pl 7b31e575ab





MAJA NARBUTT

Nigdy nie widziałem nic podobnego. Zabójca podał swoje nazwisko, przedstawił się, jakby chciał, by wszyscy go poznali. Zachowywał się jak aktor, który oczekuje na scenie na oklaski i podziw publiczności – mówi prof. Brunon Hołyst, kryminolog.

Tę scenę mogły zobaczyć na ekranach telewizorów miliony zszokowanych widzów. Stefan W. w triumfalnym geście wznosi ręce, chełpiąc się zabiciem prezydenta Adamowicza. Wykrzykuje, że siedział niewinny w więzieniu, a Platforma Obywatelska go torturowała. Cieszy się, jakby zabójstwo było efektownym i radosnym spektaklem.

Psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocha, założyciel Stowarzyszenia Psychiatrów Sądowych, uważa, że tę scenę można pokazywać studentom medycyny jako klasyczny objaw zaburzeń związanych ze schizofrenią paranoidalną. – W akademickim podręczniku psychiatrii jest zdjęcie uśmiechającego się zabójcy. Zabił matkę, zjadał zwłoki, a kiedy pytano go, dlaczego to zrobił, uśmiechał się. To się nazywa paratymia. Ujawniane emocje zupełnie nie pasują do tego, co się stało – mówi psychiatra.

Zabójstwo Pawła Adamowicza wymyka się racjonalnym próbom wyjaśnienia. Jak podkreśla dr Pobocha, zdarza się, że politycy są zabijani przez zupełnie zdrowych psychicznie zabójców, których do zbrodni popycha fanatyzm polityczny. Tak było w przypadku Ryszarda Cyby, który w 2010 r. w biurze poselskim PiS w Łodzi zabił Marka Rosiaka. Fanatykiem politycznym jest niewątpliwie Anders Breivik, sprawca masakry z wyspy Utoya, który na 1,5 tys. stron spisał swój manifest. W obu przypadkach psychiatrzy uznali, że sprawcy zbrodni są zdrowi psychicznie. A ich czyny wynikały z zakorzenionych w rzeczywistości przekonań i światopoglądu, którymi kierowali się w sposób sztywny oraz fanatyczny.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że motywy Stefana W. były urojone – trudno uznać, że prezydent Adamowicz miał jakikolwiek związek z jego uwięzieniem, a PO torturowała go w więzieniu. – Gdyby zamiast Adamowicza na scenie był minister lub poseł, prawdopodobnie to on padłby ofiarą ataku. Stefan W. chciał zabić ważną osobę z kręgów władzy – uważa dr Pobocha.

Jak przyznaje prof. Hołyst, on także się zastanawia, czy Stefanowi W. nie było obojętne, kogo zabija. Liczyło się coś innego. – To był jego wielki moment, starannie wybrał miejsce i czas. Kulminacja finału WOŚP, światełko do nieba, a on przejmuje kontrolę nad sytuacją. Krzyczy, że PO go torturowała w więzieniu. To usprawiedliwienie zbrodni, bo przecież jest niewinny i tylko wymierza sprawiedliwość, naprawiając zło, jakie mu wyrządzono – mówi prof. Hołyst.

Bardzo szybko po zabójstwie wyciekły fragmenty dokumentacji medycznej Stefana W., który w trakcie wykonywania wyroku był leczony psychiatrycznie na oddziale Psychiatrii Sądowej w Zakładzie Karnym w Szczecinie.

Z fragmentów opublikowanych na jednym z portali wynika, że Stefan W. słyszał głosy, które komentowały jego zachowanie i wydawały mu polecenia. Odnosił wrażenie, że funkcjonariusze cofają mu czas, wyznaczają zadania do wykonania. Uważał, że ma być świadkiem koronnym. Albo że jest aktorem, który odgrywa różne role.

To ostatnie urojenie złowieszczo wygląda w kontekście zabójstwa prezydenta Adamowicza, gdy Stefan W. zachowywał się jak aktor oczekujący na scenie na oklaski.

Po zdiagnozowaniu w więzieniu w 2016 r. schizofrenii paranoidalnej Stefan W. dostawał leki w maksymalnej dawce. Kiedy wychodził, zapisano mu ten sam lek, w dawce dwukrotnie mniejszej.

Można było z góry przewidzieć, że nie będzie brać lekarstwa. Ze statystyk wynika, że niewiele ponad połowa pacjentów chorych na schizofrenię w ogóle realizuje recepty. A i tak przytłaczająca większość z tych, którzy leki wykupią, przestaje je brać już po miesiącu.

JAK W „RAPORCIE MNIEJSZOŚCI”

– Jeżeli weźmiemy pod uwagę te informacje, które pojawiły się w dniu śmierci prezydenta Adamowicza, to dopuszczono się rażącego zaniedbania. Należało zastosować wobec Stefana W. ustawę o bestiach, czyli po

eprasa.pl 7b31e575ab

odbyciu kary powinien trafić do psychiatrycznego ośrodka zamkniętego. Istniały wszelkie przesłanki. Napadając na banki z bronią w ręku, popełnił przecież przestępstwo zagrożone karą większą niż 10 lat. Nie udała się też jego resocjalizacja, okazał się niebezpieczny, izolowano go z tego powodu od innych więźniów – mówi mi prof. Piotr Kruszyński, karnista. Podkreśla, że wbrew obiegowej opinii ustawy o bestiach nie wymyślono tylko dla przestępców seksualnych.

A gdyby nie zastosowano ustawy o bestiach, było inne proste rozwiązanie. Należało sięgnąć do tzw. ustawy psychiatrycznej – wypuszczonego z zakładu karnego Stefana W. psychiatra powinien skierować do psychiatrycznego ośrodka zamkniętego i zwrócić się do sądu opiekuńczego, by to zatwierdził.

Tak uważa prof. Kruszyński, kładąc na szali swój autorytet. W tej opinii jest jednak osamotniony – inni prawnicy uważają, że ustawy o bestiach absolutnie nie można było zastosować, bo Stefan W. nie odbywał kary w systemie terapeutycznym. Zresztą nie dotyczy ona osób z takimi schorzeniami psychicznymi, jakie zdiagnozowano u niego. – Jest fatalna luka w systemie, która sprawia, że ludzie tacy jak Stefan W., którzy stanowią realne zagrożenie dla innych, są właściwie poza kontrolą. Potrzebne jest nowe rozwiązanie prawne. Psychiatria poczyniła postępy – choremu na schizofrenię paranoidalną wystarczy raz na cztery tygodnie dać zastrzyk leku nowej generacji. Ale kto zdecyduje, że należy zastosować przymus? Jak zawsze w takich przypadkach podniesie się wrzawa – mówi dr Jerzy Pobocha.

Wprowadzając przymus, wkroczylibyśmy na grząski grunt ograniczenia wolności osobistych. Trzeba sobie jednak zadać pytanie: co jest ważniejsze – czy nieograniczona niczym wolność osobista, czy bezpieczeństwo potencjalnych ofiar?

Byłaby to sytuacja trochę jak z filmu „Raport mniejszości" Spielberga, w którym społeczeństwo przyszłości eliminuje przestępczość, ograniczając wolność potencjalnego sprawcy, zanim jeszcze tę zbrodnię popełni.

Żaden psychiatra nie może ze stuprocentową pewnością przewidzieć, jak zachowa się pacjent. Zależy to od wielu czynników, zwłaszcza cech charakteru, które ujawniał jeszcze przed zachorowaniem. Jak przyznają psychiatrzy, są przypadki, w których nawet kulturalny i subtelny człowiek po zachorowaniu na schizofrenię paranoidalną atakował bliskich siekierą czy nożem.

> – Gdyby zamiast Adamowicza na scenie był minister lub poseł, prawdopodobnie to on padłby ofiarą ataku. Stefan W. chciał zabić ważną osobę z kręgów władzy – uważa psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocha

Jeśli jednak pacjent już wcześniej przejawiał agresję i miał tzw. osobowość antysocjalną, to rokowania są zdecydowanie niedobre.

A taki właśnie był przypadek Stefana W. Nie tylko został skazany za cztery napady z bronią w ręku na banki, lecz również – jak wynika ze słów jego kolegów, którzy opowiadają o tym w mediach społecznościowych lub dziennikarzom – już jako nastolatek wyrywał kobietom torebki czy napadał ludzi podejmujących pieniądze z bankomatów. To był jego sposób na życie, który realizował bez skrupułów i wyrzutów sumienia.

– Zachowanie skazanego w trakcie odbywania kary oceniano jako przeciętne. Podczas pobytu w izolacji penitencjarnej nie sprawiał większych problemów wychowawczych – odpowiada mi ppłk Elżbieta Krakowska, rzecznik dyrektora generalnego służby więziennej.

Niewątpliwie to odpowiedź kamuflującą rzeczywistość. Tym bardziej że nie udaje mi się dowiedzieć, dlaczego – jak informowała sama rzecznik – Stefana W. w więzieniu aż 20 razy konsultowali psychiatrzy. Trudno sobie wyobrazić, by mogło to dotyczyć więźnia, który zachowywał się „przeciętnie".

Jest jeszcze inna sprawa, która wręcz zelektryzowała opinię publiczną. Gdańska policja poinformowała, że wysłała list do dyrektora zakładu karnego tuż przed końcem odbywania kary przez Stefana W. W liście zawarta była informacja, że na policję zgłosiła się matka Stefana W. Była zaniepokojona stanem psychicznym syna, przekonana, iż obwinia polityków o to, że został skazany. Obawiała się, co może zrobić, gdy wyjdzie na wolność.

Tymczasem służba więzienna twierdzi, że takiego listu nie było. Nie było informacji o obawach matki, jedynie prośba policji, by przeprowadzić ze Stefanem W. rozmowę, jakie ma plany związane z życiem na wolności. Taką rozmowę przeprowadzono. I podobno nic więcej nie można było zrobić.

EPIDEMIA SCHIZOFRENII

– Zdarza się, że więźniowie się radykalizują w zakładzie karnym, odrzucając możliwość zmiany postawy. Są sfrustrowani, czują się skrzywdzeni, zwłaszcza gdy nie dostają zwolnienia warunkowego. Ale to proces, który zachodzi w ich psychice. Nie przeceniajmy wpływu otoczenia: przyjaźnie w zakładzie karnym raczej się nie zdarzają, bo osadzonemu trudno komuś zaufać – opowiada kryminolog dr Joanna Stojer-Polańska.

Niemal natychmiast po zabójstwie prezydenta Adamowicza pojawiły się spekulacje, że sprawca mógł być nie tylko inspirowany przez jakieś osoby, lecz także ulec wpływowi mediów. Ściśle rzec biorąc, wpływom telewizji państwowej, bo – jak z góry założono – tylko tę telewizję mogą czy wręcz muszą oglądać więźniowie, co miało pociągnąć za sobą indoktrynację polityczną.

Ta narracja się posypała. Z wyraźną satysfakcją i tylko trochę ukrywaną ironią służba więzienna wyliczyła skrupulatnie, jakie telewizje mogą oglądać więźniowie. Lista jest długa, zawiera nawet stacje specjalizujące się w kres-

eprasa.pl 7b31e575ab



Stefan W. wyprowadzany z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, 14 stycznia 2019 r.

Fot. East News/Marcin Gadomski

kówkach. Z telewizji informacyjnych są TVN24 oraz Superstacja.

Nie ulega wątpliwości, że śledczy będą dokładnie sprawdzać, z kim kontaktował się Stefan W. w krótkim okresie, jaki minął od wyjścia na wolność do zabicia prezydenta Adamowicza.

Na pewno sprawdzą też, jak się przygotowywał do zamachu, choć akurat w tym przypadku nie musiało być to specjalnie trudne. Użył noża takiego, jakiego używają komandosi – ale wystarczy wejść na stronę popularnego serwisu internetowego, by zobaczyć, że najprostsze modele można kupić za mniej niż 50 zł. A techniki operowania nożem mógł się nauczyć także z internetu – w ciągu pięciu minut korzystania z wyszukiwarki można znaleźć precyzyjne instrukcje.

Podczas swej kryminalnej działalności Stefan W. korzystał właśnie z internetu – za pomocą Google Maps sprawdzał, jak usytuowane są oddziały banków i gdzie znajdują się postoje taksówek.

Największe emocje opinii publicznej będzie z pewnością budzić fundamentalna kwestia – poczytalności zabójcy prezydenta Adamowicza. – Ludzie nie lubią, gdy sprawa nie jest jasna. Uważają, że orzeczenie niepoczytalności zabójcy jest jakimś unikiem, nie daje satysfakcji. Chcą sprawiedliwej kary dla zabójcy. Powiedzmy, że dożywocia, choć zwykle pojawiają się też w takich przypadkach głosy o przywróceniu kary śmierci – przyznaje prof. Brunon Hołyst.

W kręgu prawników specjalizujących się w procesach karnych mówi się niekiedy, że wyroki wydają w Polsce psychiatrzy. Ich rola jest szczególnie duża – diagnoza ciężkiej choroby psychicznej, jaką jest schizofrenia paranoidalna, wyłącza z reguły odpowiedzialność karną. Tak jest u nas, choć w wielu krajach podchodzi się trochę inaczej do orzekania niepoczytalności.

Jest też inna polska specyfika – diagnoza o schizofrenii paranoidalnej zapada wyjątkowo często. Niektórzy psychiatrzy mówią wręcz o epidemii „sądowej schizofrenii", która nierzadko bywa orzekana np. u gangsterów.

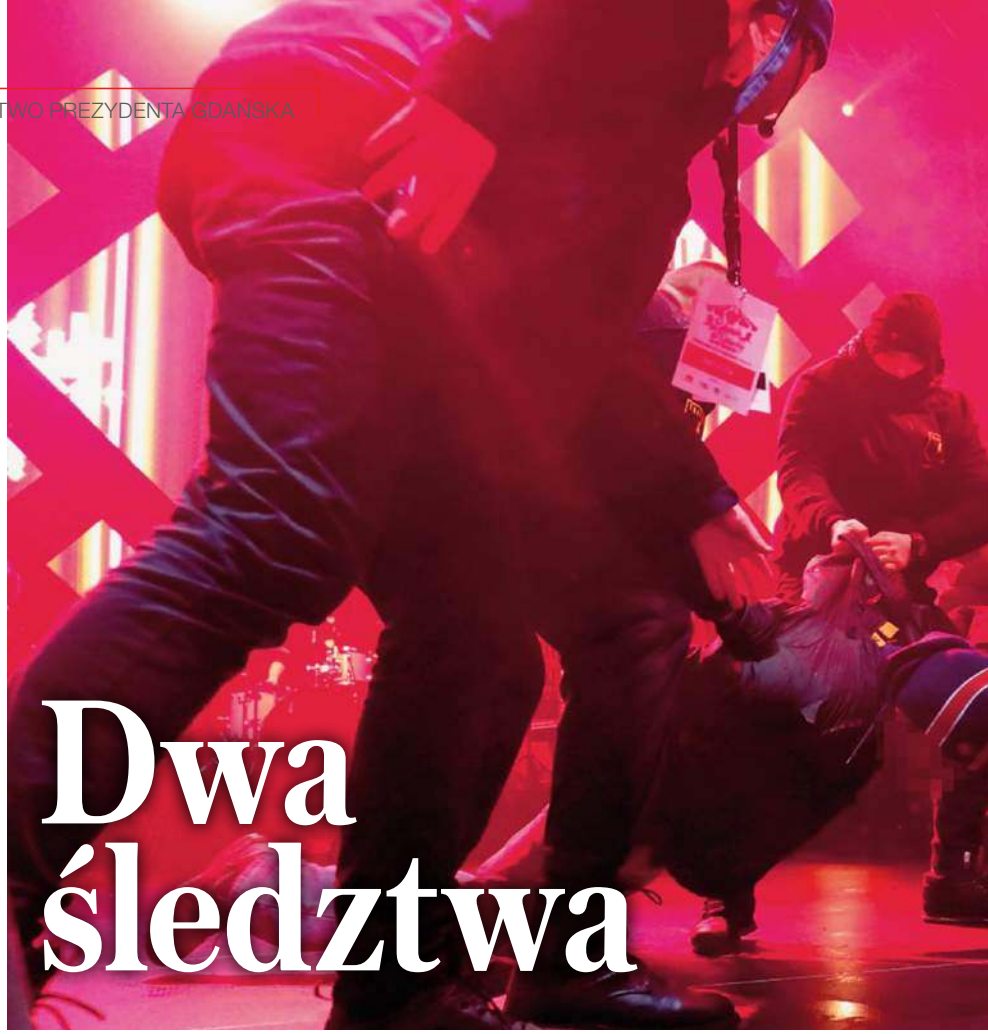
Stefan W. miał już w 2016 r. zdiagnozowaną schizofrenię paranoidalną. Teraz będą go badać kolejni psychiatrzy. – Zdarza się, że dwa różne zespoły psychiatrów wydają zupełnie inną opinię. Tak było w przypadku głośnej sprawy Kajetana P., który zabił lektorkę języka włoskiego i rozkawałkował jej zwłoki. Pierwszy zespół biegłych orzekł ciężką chorobę psychiczną i całkowitą niepoczytalność, z czym nie zgodzili się następni, bardziej doświadczeni psychiatrzy. Dzięki drugiej opinii zabójca stanął przed sądem – opowiada dr Jerzy Pobocha.

Stefan W. ma za sobą udokumentowaną i sięgającą wielu lat historię leczenia psychiatrycznego. Znalazł się na krótko w szpitalu psychiatrycznym już w wieku 13 lat. Nie przesądza to jednak o wyniku ekspertyzy. Nie ulega wątpliwości, że w przypadku tak niezwykłej sprawy, jaką jest zabójstwo prezydenta Pawła Adamowicza, diagnozę psychiatryczną muszą postawić psychiatrzy najwyższej klasy. Zależnie od jej wyniku Stefan W. trafi albo do więzienia, albo do tzw. Regionalnego Ośrodka Psychiatrii Sądowej, placówki wyjątkowo strzeżonej i o zaostrzonym reżimie.

Teoretycznie już nigdy nie powinien w takim wypadku znaleźć się poza murami szpitala psychiatrycznego. Praktyka bywa różna – przy okazji innej sprawy usiłowałam się dowiedzieć w Ministerstwie Sprawiedliwości, jak długo przebywają w szpitalach psychiatrycznych sprawcy najcięższych przestępstw. Usłyszałam, że nie ma takich statystyk.

– Stefan W. na pewno czuje satysfakcję. Zrealizował swój cel, pomścił wyimaginowane krzywdy. Stał się też sławny. Z pewnością zdobył bowiem ponurą sławę, tak jak zdobył ją kiedyś Herostrates. Nie dziwi mnie, że w czasie zeznań Stefan W. nie mówi o zbrodni, tylko użala się nad swoim życiem. On uważa, że nie ma co mówić o zabójstwie, bo ludzie i tak by go nie zrozumieli i mogli źle ocenić – dodaje prof. Brunon Hołyst.

eprasa.pl 7b31e575ab



Dwa śledztwa

Zimne opanowanie – tak można określić stan, w którym znajdował się 27-letni Stefan W. w chwili, w której dokonał straszliwej zbrodni. Trzy ciosy zadane z nieprawdopodobną siłą i precyzją przebiły serce, tętnicę w klatce piersiowej i jamę brzuszną Pawła Adamowicza. Pozbawiony przez kilka minut profesjonalnej, medycznej pomocy prezydent Gdańska przy tak poważnych ranach miał nikłe szanse, by przeżyć. Prokuratorzy wyjaśniają, jak drobny przestępca z zaburzeniami psychicznymi zorganizował i przeprowadził swoją straszliwą misję



WOJCIECH BIEDROŃ

Stefan W. trafił do więzienia w 2014 r. jako drobny przestępca, ale wyszedł z niego jako zbrodniarz ogarnięty żądzą mordu. W zakładzie karnym, gdzie odsiadywał wyrok za cztery napady na banki, przeszedł gwałtowną przemianę. W zamknięciu był leczony psychiatrycznie. To tam zdiagnozowano u niego schizofrenię. Jest wielce prawdopodobne, że to w więzieniu przeszedł bandycki kurs posługiwania się nożem. Sposób, w jaki zamordował prezydenta Gdańska, precyzja i siła, z jakimi wbijał nóż, wskazują na profesjonalne umiejętności sprawcy. Przemianę widziała też matka mordercy, która tuż przed jego wyjściem z więzienia, pod koniec listopada 2018 r., miała poinformować policjantów, że jej syn może być niebezpieczny. Czy ta informacja trafiła do zakładu karnego? Policja przekonuje, że tak. W portalu wp.pl ujawniono nawet treść policyjnej notatki, która miała zostać przekazana do więzienia. Funkcjonariusze piszą, że Stefan W. po wyjściu na wolność może zaatakować kogoś maczetą lub prawdziwą bronią.

ŚMIERTELNY WYSTĘP

Stefan W. wychodzi z więzienia 8 grudnia 2018 r. Ma plan. Rusza w trasę do Warszawy. Przepuszcza pieniądze w kasynie, dobrze się bawi i wraca do Gdańska. Już wtedy planuje zabójstwo Pawła Adamowicza. 13 stycznia prezydent przez kilka godzin w samym centrum Gdańska kwestuje na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Stefan W. nie atakuje, czeka na „lepszy" moment. Chce ze swojej zbrodni zrobić show, szuka sceny dla swojego upiornego przedstawienia. Wybiera koncert finałowy Orkiestry. Jak dostał się na scenę? Przedstawiciele firmy ochroniarskiej Tajfun, która obsługiwała gdański koncert WOŚP, utrzymują, że dostał się tam z pomocą podrobionego identyfikatora z napisem „Media". Portal wPolityce.pl dotarł jednak do treści zeznań kilku osób, które widziały Stefana W., jak przeskakuje przez barierki i w ten sposób dostaje się na scenę.

Masakra trwa zaledwie kilka sekund. Stefan W. zadaje trzy ciosy nożem o ostrzu długości 14,5 cm. Pierwszy cios trafia w serce prezydenta Adamowicza, drugi w klatkę piersiową, a ostatni w jamę brzuszną. Ze wstępnych wyników sekcji zwłok wynika, że prezydent Gdańska próbował się bronić. Świadczą o tym rany kłute na lewym przedramieniu.

Po makabrycznej zbrodni Stefan W. triumfuje. Z mikrofonem w dłoni paraduje po scenie i „przemawia". Ten potworny spektakl trwa ok. 40 s. W tym czasie ciężko ranny prezydent osuwa się na podłogę. Podbiega do niego pracownik techniczny koncertu. Próbuje ratować życie. W rozmowie z „Faktem" opowie potem, że nigdy nie zapomni

eprasa.pl 7b31e575ab



Fot. Grzegorz Mehring/www.gdansk.pl/REPORTER

> Zdaniem naszych informatorów zeznania Stefana W. wskazują na to, że żyje on w równoległej rzeczywistości. Czy jest to objaw zaburzeń psychicznych, czy tylko sprytna gra mordercy?

oczu Pawła Adamowicza, który spojrzał na niego, by już po chwili stracić przytomność. Dochodzi do krytycznego niedotlenienia mózgu. Trwa reanimacja, a potem wielogodzinna walka lekarzy o życie prezydenta.

„Bezpośrednią przyczyną zgonu był wstrząs krwotoczny, najprawdopodobniej współistniejący z niewydolnością wielonarządową, będącą następstwem krwotoku wewnętrznego z uszkodzonych narządów wewnętrznych. Wszystkie rany zadane zostały z dużą siłą nożem. Na opracowanie ostatecznej opinii musimy poczekać" – informowała rzecznik Prokuratury Okręgowej w Gdańsku Grażyna Wawryniuk.

Po swoim „występie" Stefan W. zostaje powalony na ziemię przez technika scenicznego. Dlaczego nie zrobili tego sami ochroniarze? To wyjaśnia odrębne śledztwo. Na scenie pojawiają się także policjanci, którzy widząc szamotaninę, wkraczają do akcji i przejmują Stefana W. Ten jest spokojny, poddaje się bez walki. Noc ma spędzić jednak nie w policyjnej izbie zatrzymań, ale w szpitalu. Z nieoficjalnych informacji wynika, że po zatrzymaniu miał cierpieć na podejrzane drgawki.

FANTAZJE PRZED PROKURATOREM

Przed obliczem prokuratora Stefan W. w niczym nie przypomina triumfującego mordercy z nożem w ręku. Nie przyznaje się do winy i opowiada o sobie jako o „ofierze Platformy Obywatelskiej". Większość, wciąż weryfikowanych przez prokuraturę, informacji to zwykłe konfabulacje. Stefan W. cofa się w swoich opowieściach do czasów, gdy był jeszcze nastolatkiem, ale prezentuje historie, które nigdy się nie zdarzyły. Przy okazji miesza osoby, które poznał w dorosłym życiu, z osobami, z którymi był związany w dzieciństwie. Zdaniem naszych informatorów zeznania Stefana W. wskazują na to, że żyje on w równoległej rzeczywistości. To jednak nie koniec. Zabójca Pawła Adamowicza jest przekonany o swojej głębokiej krzywdzie, jakiej miał rzekomo doznać od państwa. Stwierdził, że jego pobyt w więzieniu za napady na kilka banków to efekt spisku policyjno-prokuratorskiego.

Czy fantazje opowiadane przez Stefana W. są rzeczywistym objawem zaburzeń psychicznych, czy tylko sprytną grą mordercy? Na to pytanie mają odpowiedzieć biegli.

NA TROPIE TAJFUNU

Śledczy prowadzą także inne postępowanie związane z tragedią. Chodzi o kwestie organizacyjne finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Gdańsku. Kontrolę w tej sprawie prowadzi też resort spraw wewnętrznych. Już ustalono, że agencja ochroniarska Tajfun, która zabezpieczała gdański finał WOŚP, nie spełniała wielu wymogów formalnych. Okazało się, że adres, pod którym znajdowała się siedziba firmy, to prywatne mieszkanie, w którym nie znaleziono żadnych śladów prowadzenia działalności ochroniarskiej.

– W mieszkaniu nie było żadnej dokumentacji, sprzętu, niczego, co wskazywałoby na taki charakter działalności – mówi nam osoba znająca kulisy sprawy.

Gdy więc kontrolerzy dotarli do miejsca, w którym mieszka osoba wymieniana jako szef agencji, czyli Gracjan Zwolak, okazało się, że dopiero w jego mieszkaniu zabezpieczono dokumentację prowadzonej działalności. Szybko jednak ustalono, że brakuje jednego z kluczowych dokumentów – listy pracowników, a to może np. oznaczać, że osoby ochraniające finał WOŚP mogły nie mieć wymaganych kwalifikacji do takiej pracy.

Kolejne kontrowersje dotyczą już samych organizatorów imprezy. Tę zgłoszono nie jako imprezę masową. Wykorzystano zapis o tzw. szczególnym zajęciu pasa drogowego. W ten sposób unika się obwarowań określonych przez ustawę o bezpieczeństwie imprez masowych i w takim przypadku obostrzenia są o wiele niższe. Gdyby impreza została zgłoszona jako masowa, przy scenie obowiązkowo stać musiałaby karetka z ratownikami. Natychmiastowa i profesjonalna pomoc lekarska mogłaby uratować życie Pawłowi Adamowiczowi. Przy scenie staliby też policjanci, którzy wspólnie ze strażakami skontrolowaliby wszystkie kwestie związane z bezpieczeństwem i zabezpieczeniem koncertu już miesiąc przed jego rozpoczęciem. Za te wszystkie sprawy odpowiada, również prawnie, organizator imprezy, czyli Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

eprasa.pl 7b31e575ab

Pekin poluje w Warszawie



Fot. Bartosz Krupa/East News



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Aresztowanie szpiegów jest niewątpliwym sukcesem. Ale w tej sprawie jest dużo więcej niejasności, niż się wszystkim wydaje. Tym razem służby milczą nie tylko dlatego, by nie zaszkodzić śledztwu w wyjątkowo wrażliwym obszarze. Wciąż nie wiadomo, jak bardzo Piotr D. i Weijing W. mogli narazić na szwank bezpieczeństwo Polski

eprasa.pl 7b31e575ab

Historia zatrzymania chińskich szpiegów w Warszawie brzmi jak scenariusz filmu sensacyjnego. Rzeczywistość może nie odbiegać daleko od opowieści, którymi zazwyczaj ekscytujemy się na ekranie.

Charakterystyczni dla afery szpiegowskiej są też jej główni bohaterowie: polski ekspert od technologii teleinformatycznych, umocowany w najważniejszych instytucjach państwa odpowiedzialnych za wrażliwe obszary cyfrowego bezpieczeństwa, oraz doskonale władający językiem polskim Chińczyk, dyrektor największego w Państwie Środka koncernu produkującego urządzenia telekomunikacyjne.

ZATRZYMANIE STASZKA

Obywatel ChRLD Weijing W. używał polskiego imienia Stanisław, znajomi zwracali się do niego „Staszek". Był najprawdopodobniej oficerem prowadzącym Polaka Piotra D. 8 stycznia br. do mieszkań obu panów weszli funkcjonariusze ABW. „Z materiałów zgromadzonych przez ABW wynika, że obaj prowadzili działalność szpiegowską przeciwko Polsce" – czytamy w komunikacie wystosowanym przez Stanisława Żaryna, rzecznika prasowego ministra koordynatora służb specjalnych. Dowody przedstawione sądowi musiały być przekonujące, aresztowano ich na trzy miesiące. „W ramach prowadzonego śledztwa funkcjonariusze dokonali niezbędnych czynności procesowych, m.in. przeszukania mieszkań podejrzanych oraz zabezpieczenia dowodów. Postępowanie w całości oparte jest na materiałach niejawnych, a jego etap i charakter nie pozwalają w chwili obecnej na przekazywanie dodatkowych informacji" – informuje Żaryn.

Nagłówki gazet i portali donosiły o akcji ABW w sensacyjnym tonie: „Aresztowanie chińskich szpiegów!". W tym akurat przypadku entuzjazm nie jest przesadzony, bo efekt pracy służb należy uznać za jednoznaczny sukces. – To precedens, bo nie dość, że mamy szpiega, to jeszcze jego oficera prowadzącego. Cała operacja była bardzo skomplikowana, opierała się na misternej pracy operacyjnej i śledzeniu powiązań podejrzanych. Nie złapano nikogo na gorącym uczynku, np. w momencie przekazywania materiałów, ale poszlaki i analiza drobnych wątków pozwoliły pójść właściwym tropem – mówi nam osoba związana ze służbami. Nigdy wcześniej nie zatrzymano u nas oficera pod zarzutem pracy na rzecz chińskiego wywiadu. A polskie służby mają dodatkowy powód do dumy, bo na sukces zapracowały samodzielnie, nie jest prawdą, że szpiegów „wystawili" nam agenci USA. – Amerykanie zostali poinformowani o akcji dopiero po jej zakończeniu, przyjęli to z uznaniem – opowiada nasz rozmówca.

„Chiny są bardzo zaniepokojone tą sprawą. Domagamy się od tego kraju [Polski – przyp. red.], by zajął się sprawą zgodnie z prawem i w sposób bezstronny oraz w pełni zagwarantował osobie, której dotyczy [postępowanie], należne jej prawa i interesy" – brzmi oświadczenie chińskiego MSZ podane przez agencję AFP. Swoje stanowisko opublikowała także firma elektroniczna Huawei, jednym z dyrektorów w jej polskim oddziale był zatrzymany Weijing W.: „Spółka Huawei przestrzega wszystkich obowiązujących praw i przepisów w krajach, w których prowadzi działalność. Ponadto od każdego swojego pracownika spółka Huawei wymaga stosowania się do przepisów prawnych oraz zasad obowiązujących w krajach, w których firma ma swoje oddziały". Dzień po zatrzymaniu „Staszek" został przez firmę zwolniony z pracy, wydano kolejne oświadczenie: „Zarzucane mu czyny nie mają związku z naszą firmą".

Weijing W. ukończył polonistykę na Pekińskim Uniwersytecie Studiów Zagranicznych, który uważa się kuźnię kadr chińskiego wywiadu. W 2011 r. został zatrudniony w Huawei (ostatnio był dyrektorem sprzedaży) i wysłany ponownie do Polski. Wcześniej, w 2006 r., pracował w Konsulacie Generalnym Chin w Gdańsku.

EKSTRAWERTYCZNY EKSPERT

– To człowiek łatwo nawiązujący kontakt, robiący świetne wrażenie. Dowcipny, ekstrawertyczny. A przy tym wysoki, dobrze wyglądający, koleżanki mówiły, że przystojny. Charakterystyka idealnie pasująca do szpiega – mówi nam jeden z dawnych znajomych Piotra D. Ten 48-latek w środowisku specjalistów od cyberbezpieczeństwa był uważany za jednego z lepszych fachowców.

Jego CV robi wrażenie. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Informatyki Stosowanej i Zarządzania, Akademii Obrony Narodowej i Szkoły Głównej Handlowej. Pracował w warszawskiej Straży Miejskiej, skąd trafił do Komendy Stołecznej Policji, gdzie był bardzo ceniony. Z KSP przeszedł do komendy głównej na dyrektora Departamentu Rejestrów Państwowych. W czasie kierowania MSWiA przez Ludwika Dorna został tam dyrektorem Departamentu Infrastruktury Teleinformatycznej. Następnie Krzysztof Bondaryk ściągnął go do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Tam został zastępcą dyrektora Departamentu ds. Bezpieczeństwa Teleinformatycznego oraz doradcą Bondaryka. Z dzisiejszej perspektywy niepokoi to, że miał dostęp do Sieci Łączności Rządowej, czyli systemu niejawnego przekazywania informacji najważniejszym osobom w państwie. Jego departament nadzorował rządowy zespół specjalistów ds. cyberbezpieczeństwa, którzy monitorują rządowe komputery. To dla szpiega wymarzone uprawnienia. Czy już wtedy Piotr D. zdradzał Polskę? Tego nie wiemy.

Z ABW odszedł w 2011 r. w stopniu kapitana. Media pisały wówczas o jego możliwych powiązaniach z tzw. infoaferą (korupcją przy rządowych przetargach informatycznych). – Zarzutów nigdy mu nie postawiono, choć był w tej sprawie przesłuchiwany. Na pewno można powiedzieć, że był zblatowany ze środowiskiem stojącym za infoaferą – słyszymy od osoby znającej kulisy sprawy.

Nie oznacza to jednak, że zupełnie rozstał się z ABW. Bondaryk „schował" go w innych instytucjach – Narodowym Centrum Badań i Rozwoju (gdzie zasiadał w Komitecie Sterującym) czy Urzędzie Komunikacji Elektronicznej (szefował tam Departamentowi Kontroli, m.in. nadzorując stworzenie dodatkowej infrastruktury telekomunikacyjnej oraz niezależnej łączności służb i wolontariatu w czasie Światowych Dni Młodzieży). Jego dalsza kariera biegła poprzez sieć Orange i jednostki naukowe: WAT czy Radę Naukową

eprasa.pl 7b31e575ab

Instytutu Łączności Państwowego Instytutu Badawczego. Wykładał też na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W Katedrze Prawa Informatycznego prowadził m.in. zajęcia: Cyberbezpieczeństwo w sferze e-usług publicznych, Zarządzanie ryzykiem w ochronie informacji niejawnych czy... Nielegalny dostęp do informacji w relacjach międzypaństwowych.

W sierpniu ubiegłego roku jako pracownik Instytutu Systemów Informatycznych Wydziału Cybernetyki Wojskowej Akademii Technicznej został odpowiedzialny za realizację porozumienia między WAT a MSWiA. Umowa dotyczy „realizowania prac badawczo-rozwojowych w obszarach związanych z telekomunikacją, informatyką, kryptologią oraz cyberbezpieczeństwem, a w szczególności z sektorami obejmującymi bezpieczeństwo i ochronę zasobów informacyjnych".

> Efekt pracy służb należy uznać za jednoznaczny sukces. – To precedens, bo nie dość, że mamy szpiega, to jeszcze jego oficera prowadzącego – mówi nam osoba związana ze służbami

Na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego szkolił sędziów czy prokuratorów z białego wywiadu czy współpracy służb w zwalczaniu przestępczości gospodarczej i skarbowej.

„Brał udział w wielu procesach modernizacji teleinformatycznej państwa na poziomie strategicznym. Ma wiedzę o niejawnych systemach łączności państwa polskiego. To tajna wiedza o aspektach infrastruktury służącej zarządzaniu informacjami. Uczestniczył też w projektach międzynarodowych z naszymi sojusznikami. Do tego ma wiedzę osobową, był mocno usytuowany w środowisku ekspertów bezpieczeństwa informatycznego. To zawsze interesuje każdy wywiad na świecie" – komentował w rozmowie z portalem Forsal.pl były szef Agencji Wywiadu Grzegorz Małecki. I dodawał: „Postępowanie karne powinno znaleźć dowody współpracy. Ale to postępowanie powinno dostarczyć także wiedzy na temat skali wyrządzonych szkód. Powinniśmy ustalić, jak długo trwała współpraca, jakie informacje zostały przekazane itd.".

BEZ PRZYPADKU

Czy służby i prokuratura znają już odpowiedzi na te pytania? Z naszych informacji wynika, że nie. W sprawie jest jeszcze wiele niewiadomych. I choć samo zatrzymanie szpiegów można nazwać sukcesem, trudno miarodajnie oszacować, jaka była skala ich antypolskiej działalności.

„Staszek" działał na zasadzie nielegała, kogoś bez statusu dyplomatycznego. Wydaje się, że jego wysoka funkcja w strukturze elektronicznego giganta nie była przypadkowa. W Huawei Polska zajmował się sprzedażą urządzeń dla instytucji publicznych. Nawet jeśli to tylko spekulacje, że chiński sprzęt może umożliwiać inwigilację użytkowników, to z daleka czuć, że mamy do czynienia z aferą, której efekty mogłyby być nieobliczalne. „Chodziło o przejęcie, a co za tym idzie, kontrolę nad łącznością w urzędach państwowych: wyposażanie w telefony, huby oraz, co najgorsze, przejmowanie przesyłu sieci" – mówił „Faktowi" informator związany z kontrwywiadem. Jego zdaniem zatrzymani mieli dostęp do niemal wszystkich kluczowych informacji z zakresu polskiego cyberbezpieczeństwa.

Dziś ta opowieść to jedynie zlepek domniemań i nieoficjalnych informacji. Szczegóły, jeśli w ogóle, poznamy po latach. Konkretem na teraz wydają się rekomendacje wysłane z ABW do najważniejszych instytucji państwowych. Powstałe po analizie materiału i zatrzymaniu szpiegów zalecenia są opatrzone klauzulą „ściśle tajne". Trudno się spodziewać, by zawierały inne sugestie niż całkowitą rezygnację z urządzeń w pracy urzędów.

NIEUCHRONNA MEGAKONTROLA

Ta afera dzieje się w przededniu kolejnej technorewolucji, która już się pojawia w Polsce. Mowa o technologii 5G, która – jak zapewniają eksperci – „ma zmienić cyfrowy świat na lepszy". Ujmując to najogólniej: transmisja danych będzie się odbywać z niewyobrażalną dziś szybkością (setki razy większą niż obecnie), przepustowością (do 100 urządzeń na 1 mkw.), zrewolucjonizuje życie zwłaszcza w miastach, gdzie będzie wykorzystywana do obsługi inteligentnych budynków, sterowania sygnalizacją i ruchem, wyszukiwania miejsc parkingowych i mnóstwa innych rozwiązań (od internetu rzeczy – skomunikowania wszelkich urządzeń prywatnych i publicznych, po przeniesienie opieki medycznej ze szpitali do domów czy jeszcze bardziej futurystycznie – na ciała pacjentów, na bieżąco monitorowanych, a nawet leczonych). Do tego dojdą zwielokrotnione możliwości komunikacyjne wszelkich używanych dziś aplikacji (w przyszłości nieinstalowanych na naszych urządzeniach, lecz... trzymanych w chmurze – czyli u kogoś) i mobilnych rozwiązań technologicznych.

Krótko mówiąc, czeka nas kop jakościowy większy niż to, co wydarzyło się na przestrzeni ostatnich kilku, kilkunastu lat. Ktoś nam tę sieć autostrad do poruszania się w świecie 5G udostępni. Ktoś będzie odpowiadał za przesyłane po nich dane, a zatem będzie mógł je gromadzić, co prowadzi do wniosku o czyhającej na nas nieuchronnej megakontroli.

Nic dziwnego, że koncerny takie jak Huawei wydają miliardy dolarów na inwestycje w tę technologię. Aby zdobyć rynki (także polski) – a co za tym idzie: wpływy, pieniądze i możliwość gromadzenia danych – angażują nie tylko środki finansowe, lecz też kapitał ludzki, który w tym wypadku oznacza zarówno postacie świata nauki, jak i służb specjalnych.

eprasa.pl 7b31e575ab

Fałszywa alternatywa

Środowiska liberalnej opozycji w Polsce gotowe są dziś – przynajmniej na użytek wojny z PiS – stawiać wyżej relacje z teokratycznym Iranem i despotycznymi Chinami niż z demokratyczną Ameryką. Ale wcale nie o Iran ani Chiny chodzi, lecz właśnie o Amerykę. Im bardziej bowiem rozchodzą się drogi Donalda Trumpa i Unii Europejskiej, tym silniej wpływa to na wewnętrzne podziały w Polsce

Fot. Julita Szewczyk

Zacznijmy chronologicznie. 8 stycznia funkcjonariusze ABW zatrzymali w Warszawie dwie osoby pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Chin. Do aresztu trafił pracujący dla firmy Orange Piotr D. oraz dyrektor handlowy koncernu Huawei na Polskę Weijing W. Od samego początku wydawało się jasne, że sprawa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

jest odpryskiem znacznie szerszych działań podjętych przez Stany Zjednoczone w ramach wojny handlowej z Chinami. Chodzi m.in. o wdrażanie nowoczesnej technologii bezprzewodowej 5G, w której Chińczycy – w tym zwłaszcza koncern Huawei – uchodzą za światowych liderów. Amerykanie twierdzą jednak, że Pekin chce

eprasa.pl 7b31e575ab

za pomocą tej technologii uzyskać dostęp do poufnych danych, i naciskają na swoich sojuszników, aby trzymali się od chińskich technologii z daleka. Amerykanów poparły już Kanada (aresztując córkę właściciela Huawei pod zarzutem naruszenia amerykańskich sankcji wobec Iranu), Australia, Nowa Zelandia i Wielka Brytania. Unia Europejska zachowuje w tej sprawie dystans.

Zaledwie trzy dni później – 11 stycznia – pojawiła się inna informacja, pozornie zupełnie niezwiązana z ujawnionym skandalem szpiegowskim. Otóż Polska i Stany Zjednoczone oznajmiły, że w połowie lutego odbędzie się w Warszawie międzynarodowa konferencja poświęcona sytuacji na Bliskim Wschodzie. Jednym z jej głównych tematów ma być – wedle ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza – „szersze spojrzenie na kwestię irańską". I być może nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie to, że mocno skonfliktowany ze Stanami Zjednoczonymi Iran nie weźmie udziału w obradach. Władze w Teheranie uznały więc konferencję za zorganizowany przez Amerykanów „rozpaczliwy antyirański cyrk".

Zarówno Pekin – w sprawie aresztowanego dyrektora Huawei – jak i Teheran – na wieść o warszawskiej konferencji – zagroziły Polsce krokami odwetowymi. Zaraz potem rozpętała się w Polsce krzykliwa debata, w której zarzucono rządowi chodzenie na amerykańskim pasku i lekkomyślne narażanie z tego powodu stosunków z Chinami oraz Iranem. Mniej histeryczni krytycy PiS zwracali uwagę, że w zamian powinniśmy otrzymać od Waszyngtonu jakieś wymierne korzyści. Nie odmawiając racji temu ostatniemu argumentowi, trudno nie zauważyć, że jego zwolennicy – nie wiedzieć czemu – najwyraźniej przesądzili już, że żadnych korzyści nie uzyskamy. Pominęli też, choć zwykle tego nie robią, niezbyt miły dla nas wszystkich fakt, że Polska nie jest potęgą, która może stawiać warunki światowemu mocarstwu. Przeciwnie, mając takie, a nie inne położenie oraz potencjał, w różnych sytuacjach konfliktowych musimy dokonywać wyborów. Mając jako alternatywę Pekin i Teheran, opowiedzenie się po stronie amerykańskiej – mimo rozmaitych, często nawet uzasadnionych zastrzeżeń – powinno się więc wydawać oczywistością. Ale oczywistością nie jest, co oznacza, że polska polityka zagraniczna (w tym kluczowe dla nas kwestie bezpieczeństwa) od pewnego czasu już nie jest przedmiotem ponadpartyjnego porozumienia.

ODMIENNE STRATEGIE

Przyczyn tych różnic należy zapewne szukać w zmieniającej się sytuacji geopolitycznej wokół Polski. Szczególne znaczenie ma tu nasilający się konflikt pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską, w tym zwłaszcza z Niemcami. Nie jest żadną tajemnicą, że Niemcy, Francja, a za nimi większość państw Unii mają inne spojrzenie na politykę zagraniczną niż Biały Dom. W kwestii bliskowschodniej Bruksela opowiada się za koncyliacyjną strategią wobec Iranu i wygaszaniem sporu z Teheranem, uznając – nie bez pewnych podstaw – że to właśnie izolacja popycha Iran do rozbudowy potencjału nuklearnego i agresji. W tle są oczywiście ewentualne zyski gospodarcze, wygłodzony przez wiele lat sankcji Iran jest bardzo zainteresowany intensywną wymianą handlową z Europą, a dzięki zyskom ze sprzedaży ropy naftowej ma czym zapłacić za zakupy. O skali zamówień może świadczyć choćby kontrakt podpisany z Airbusem, na mocy którego europejski gigant lotniczy ma dostarczyć Iranowi 138 samolotów o wartości 22 mld euro.

Polityka Unii Europejskiej wywołuje gwałtowne sprzeciwy Izraela, obawiającego się wzmocnienia Iranu, oraz wspierającej go administracji Donalda Trumpa w Waszyngtonie. Prezydent USA, który w maju 2018 r. zerwał podpisane trzy lata wcześniej porozumienie nuklearne z Iranem, próbuje nie dopuścić do wyłamania się Europy z antyirańskiego frontu. Warszawska konferencja z pewnością może więc być postrzegana jako element strategii Trumpa.

IRAN A SPRAWA POLSKA

Z polskiego punktu widzenia istotny więc jest nie tyle sam Iran, ile rozgrywający się wokół tego państwa spór amerykańsko-europejski. Skonfliktowanemu z instytucjami unijnymi rządowi w Warszawie siłą rzeczy bliżej jest do Waszyngtonu. Pewną rolę mogą tu odgrywać relacje z Izraelem, mocno nadszarpnięte podczas konfliktu wokół ustawy defamacyjnej. Niewykluczone więc, że uregulowanie stosunków z Izraelem może wymagać dziś od Polski znacznie szerszego wyjścia naprzeciw oczekiwaniom Białego Domu.

Naturalnie można postawić tu zarzut, że gdyby nie zeszłoroczny spór z Izraelem, Polska miałaby mniej związane ręce, bo rząd PiS – nowelizując ustawę o IPN – sam sobie dziś zmniejszył pole manewru. Być może, ale spór wokół ustawy to przecież niejedyny czynnik w tej sprawie. Znacznie większą rolę odgrywa bowiem pęknięcie między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi. Bruksela – uruchamiając procedurę art. 7 traktatów unijnych – świadomie wkroczyła w polski spór wewnętrzny, stając tym samym po stronie antypisowskiej opozycji. Nic dziwnego zatem, że polityka zagraniczna Polski stała się kolejnym frontem na tej wojnie. Antypis nawołuje w niej do lojalności wobec Brukseli, a obóz rządowy – przeciwnie – staje po stronie Waszyngtonu. Na to wszystko nakłada się jeszcze konflikt kulturowy, antypisowi jest znacznie bliżej do liberalnej Unii niż do znienawidzonego Trumpa. Można być zresztą pewnym, że gdyby w USA władzę sprawowała liberalna Hillary Clinton, prawdopodobnie nikt z antypisu nie zarzucałby rządowi „wysługiwania się Amerykanom", zwłaszcza że obecna ekipa miałaby raczej kiepskie notowania w rządzonym przez liberałkę Białym Domu.

Tym wszystkim należy zapewne tłumaczyć zadziwiający fakt, że środowiska liberalnej opozycji w Polsce gotowe są dziś – przynajmniej na użytek wojny z PiS – stawiać wyżej relacje z teokratycznym Iranem i despotycznymi Chinami niż z demokratyczną Ameryką.

Konflikt amerykańsko-europejski jest potencjalnie bardzo groźny dla bezpieczeństwa Polski. Do niedawna obowiązywała niepisana zgoda wszystkich głównych sił politycznych, że filarami naszej polityki zagranicznej są Unia Europejska oraz NATO i Stany Zjednoczone. Gdy oba te filary zaczynają

eprasa.pl 7b31e575ab

się rozchodzić – każdy w inną stronę – grozi nam zawalenie całego opartego na nich gmachu. Być może nie jesteśmy w stanie tego zatrzymać, ale wikłając nasze bezpieczeństwo w bieżącą rozgrywkę polityczną, jedynie przyśpieszamy ten proces.

WSTAWANIE Z KOLAN

Krytycy PiS zarzucają tej partii, że nie rozumie polityki zagranicznej i ciągle gasi problemy, które sama wywołuje. To prawda, ale tylko w tym sensie, że rząd PiS pierwszy podjął próbę wzmocnienia państwa, tak aby jego położenie, potencjał i historia odpowiadały w przyszłości jego pozycji międzynarodowej. Trudno się spodziewać, aby ten ambitny plan nie budził oporów na zewnątrz. Polska nie jest tu zresztą żadnym wyjątkiem, każde wybijanie się na suwerenność i podmiotowość wywoływało w historii konflikty. Żeby nie szukać daleko, spójrzmy na Chiny i Iran – obydwa państwa wykonują dokładnie ten sam manewr, co Polska, przy czym Chiny – rzecz jasna – walczą już o miejsce na najwyższym podium.

Jeśli ktoś się łudził, że w ciągu zaledwie trzech lat Polska powstanie z kolan i raptownie rozprostuje nogi, to jest – delikatnie mówiąc – bardzo naiwny. To proces bolesny i rozłożony na dekady. Trudno tu uniknąć porażek, zwłaszcza gdy startuje się z niskiej ligi, i to w warunkach ostrego konfliktu wewnątrz kraju. Niestety ostatnie ćwierć wieku całkowicie straciliśmy. Gdy antypisowcy mówią więc, że „nasza łaska wobec Amerykanów idzie za daleko", to warto zapytać, co oni uczynili przez te lata, aby zbudować silne państwo.

Czy gdybyśmy zatem – idąc ich tropem myślenia – postawili się Amerykanom i odmówili organizowania konferencji bliskowschodniej oraz aresztowania domniemanych chińskich szpiegów, to nasze bezpieczeństwo zwiększyłoby się, a nasza pozycja międzynarodowa by wzrosła? Można w to wątpić. Presja na Polskę jest wywierana z obu stron: zarówno z Waszyngtonu, jak i z Unii. Dokonanie wyboru na rzecz jednych albo drugich nie świadczy o niezależności ani jej braku, lecz powinno wynikać z rachunku zysków i strat oraz przyjętej hierarchii celów.

WYBORU NIE MA

Dla Polski celem podstawowym jest bezpieczeństwo państwa. Nie mogą go przysłonić korzyści ekonomiczne, zwłaszcza że w tym konkretnym przypadku wydają się mocno wątpliwe. Dlatego od razu powinno się wyrzucić do kosza frazesy o wielkich interesach, które możemy ubić z Iranem i Chinami. Zarówno Teheran, jak i Pekin grają z Europą o znacznie większą stawkę, główne strumienie pieniędzy omijają Polskę i trafiają na konta największych europejskich firm, takich jak wspomniany wcześniej Airbus. Jeśli ktoś liczy na to, że Polska w zamian za poparcie Brukseli i Berlina zostanie podłączona do tych strumieni, jest równie naiwny jak ten, kto sądził kiedyś, że Amerykanie dadzą nam zarobić po inwazji na Irak w 2001 r. Powód jest prosty – takie kontrakty mogą wywalczyć sobie tylko silni gracze, a nam do najwyższej ligi jeszcze sporo brakuje.

Można być natomiast pewnym, że opowiadanie się przeciw Amerykanom zaszkodziłoby naszemu bezpieczeństwu. Oczywiście możemy się śmiać z mitycznego Fortu Trump, ale zwiększenie amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce to – jak na razie – jedyna możliwa odpowiedź na rosnące zagrożenie ze strony Rosji.

Czy Unia Europejska, grająca własną grę z Rosjanami, może być tu traktowana jako alternatywa dla Ameryki? Tak, ale tylko pod warunkiem że przekształci się w federację, a Polska rozpuści się w jej granicach. Z punktu widzenia części antypisowskiej opozycji to być może całkiem atrakcyjna perspektywa, ale nawet antypis zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma dziś w Polsce zgody na utratę suwerenności.

> Ostatnie ćwierć wieku straciliśmy. Gdy antypisowcy mówią, że „nasza łaska wobec Amerykanów idzie za daleko", to warto zapytać, co oni uczynili przez te lata, aby zbudować silne państwo

Zatem wyboru wielkiego nie ma. Amerykanie – mimo rozmaitych zastrzeżeń do naszych wzajemnych stosunków – są kluczowi dla polskiego bezpieczeństwa. To jasne, że polityka amerykańska nie budzi już u nas takiego entuzjazmu jak kiedyś. Ostatnio oliwy do ognia dolała Georgette Mosbacher, która – zachowując się jak na dyplomatkę bardzo mało dyplomatycznie – wyrządziła wizerunkowi Ameryki spore szkody. Choć jednak rozczarowanie jest zrozumiałe, nie powinno ono wpływać na trzeźwą ocenę sytuacji.

Na pewno warto zabiegać o dobre stosunki z każdym, w tym z Iranem i Chinami, jednak nie za cenę własnego bezpieczeństwa. Jest też pytanie o zapowiedziane kroki odwetowe ze strony obu państw. Na razie Iran odwołał Festiwal Filmów Polskich w Teheranie, Chińczycy mogą – choć nie muszą – zareagować ostrzej. W zeszłym tygodniu w zemście za aresztowanie w Kanadzie córki właściciela Huawei wydali w apelacyjnym procesie wyrok śmierci na obywatela Kanady skazanego wcześniej na 15 lat więzienia za przemyt narkotyków.

Takie ryzyko trzeba mieć na uwadze, ale przede wszystkim należy mieć również świadomość, że nie żyjemy w próżni. Jeśli jesteśmy członkiem NATO i jednocześnie zabiegamy o większe zaangażowanie USA w Polsce, to bilans zysków i strat każe nam opowiedzieć się po stronie amerykańskiej. Tym bardziej że ani Iran, ani Chiny nie należą – w przeciwieństwie do USA – do grona naszych strategicznych sprzymierzeńców. Przeciwnie – blisko im do Moskwy. Pekin i Teheran nie są alternatywą dla Stanów Zjednoczonych.

eprasa.pl 7b31e575ab



Nie będzie zgody na to, aby w obliczu gdańskiej tragedii zrezygnować z publicznego prezentowania swoich racji, swojej wizji Polski, kolejnych reform. Sensem istnienia Prawa i Sprawiedliwości jest zmiana kraju połączona z determinacją, a nie proste zarządzanie państwem

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Waldemarem Paruchem, szefem rządowego Centrum Analiz Strategicznych

PiS nie da się zepchnąć do narożnika

Fot. Andrzej Wiktor

„Przeciwnicy rządzącej dziś formacji mają PiS na widelcu, zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Wydaje się niewiarygodne, aby opozycja z tej szansy nie skorzystała" – tak sytuację polityczną po tragedii w Gdańsku skomentował Mariusz Janicki z „Polityki". Czy faktycznie jest to moment, który zdefiniuje rzeczywistość na długo?

Waldemar Paruch: Nie, to nie jest moment definiujący. Kluczem jest reakcja na tragiczne wydarzenia z Gdańska. Moim zdaniem obóz rządzący zachowuje się prawidłowo, tak jak należy się zachowywać w takich przypadkach. Wdrożono wszystkie niezbędne procedury, ministrowie podjęli odpowiednie działania. Zachowano się w sposób wyraźnie odmienny od tego, co widzieliśmy po zamordowaniu Marka Rosiaka przez Ryszarda Cybę.

Politycy PO pojawili się na pogrzebie Marka Rosiaka, przyjechał także prezydent Bronisław Komorowski.

Rzeczywiście, na pogrzebie byli, ale np. wdowa po zamordowanym otrzymała rentę specjalną dopiero od rządu Beaty Szydło, bo Donald Tusk jej tego odmówił. Wracając do reakcji obozu rządzącego: żyjemy w kraju chrześcijańskim, w którym każdą śmierć otacza się szacunkiem. Tu można się zachować tylko w jeden sposób, chyląc głowę i udzielając wszelkiej pomocy.

Od pierwszych godzin wokół tej sprawy toczy się jednak dyskusja polityczna.

Widać próby zbudowania związków przyczynowo-skutkowych, które nie mają oparcia w faktach. To próba zmiany opowieści o tej tragedii. Próba przekonania Polaków, że istnieje związek między tym morderstwem a atmosferą czy tłem politycznym w kraju...

...między zbrodnią a językiem debaty medialnej.

Tak. To wszystko – słyszymy – miało stworzyć warunki, które otworzyły drogę do tej śmierci. Mówią to ludzie, którzy w debacie publicznej nie raz i nie dwa wypowiadali się bardzo ostro, byli uczestnikami sporu politycznego, przekraczając niejednokrotnie wszelkie dopuszczalne granice wymiany poglądów.

Zdaniem naczelnych „Gazety Wyborczej" i „Rzeczpospolitej" w Gdańsku doszło do „politycznego mordu". Grzegorz Schetyna wspomniał w Sejmie o „nienawiści dobrze zorganizowanej", a Donald Tusk obiecał zmarłemu, że „obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą". To jest zapowiedź tego, co nas może czekać po pogrzebie?

To są wyraźne próby budowania kontekstu politycznego tej zbrodni. Znów: kontekstu, którego nie ma. Wszystko, co wiemy o mordercy, wszystko, co wiemy o jego przestępczej „karierze", o wyroku sądowym, o pobycie w więzieniu, o jego zdrowiu psychicznym, wskazuje, że tu nie ma żadnego politycznego tła. Musimy jednak pamiętać, że autorami niektórych zdecydowanych wypowiedzi są przyjaciele Pawła Adamowicza. A nie możemy odbierać ludziom prawa do reakcji emocjonalnej, także publicznej. Niestety w niektórych przypadkach widać, że chodzi raczej o efekt polityczny, a to już zachowanie bardzo niebezpieczne z punktu widzenia interesów polskiej wspólnoty politycznej. Bo to oznacza pogłębienie podziałów.

Druga strona wyraźnie buduje coś w rodzaju własnego „małego Smoleńska". To ma być moralny akt założycielski oczekiwanej zmiany władzy. A że programowo opozycja nie ma zbyt wiele do zaproponowania, to tym chętniej będzie budowała tego typu mit. Jak to wpłynie na sytuację polityczną?

Warto postawić pytanie, jak długo politycy opozycji zdołają zachować pewną powściągliwość, jak długo utrzymają ten styl, który prezentują po tragedii? Czy będą potrafili powstrzymać emocje w Sejmie, tak jak to zrobili podczas ostatniego posiedzenia? Czy są gotowi debatować merytorycznie nad nowymi ustawami, rezygnując z traktowania parlamentu jako areny totalnej opozycyjności, wojny politycznej? Bo jeśli tak, jeśli podejmą taki wysiłek, to muszą także przedstawić swoją ofertę programową, swoje własne ustawy.

Celem opozycji jest dziś, to już wyraźnie widać, unieważnienie całej opowieści PiS o współczesnej Polsce. Każda krytyka rzeczywistości staje się praprzyczyną zbrodni i ma się stać nielegalna. To ma być przełamanie tzw. narracji.

To plan niewykonalny. Bo to są ludzie, którzy sami przekraczali dopuszczalne granice w debacie publicznej. I to będzie miało znaczenie. Bo wyborcy, w tym telewidzowie, nie są irracjonalni. Owszem, pamięć społeczna jest labilna, ale jednak trwa co najmniej dwa lata. I pewnych słów, które padły z ust polityków opozycji, nie da się wymazać. To nie będzie więc projekt wiarygodny. Jeśli jednak, mimo wszystko, liderzy opozycji zdecydują się na trwałą korektę swojego zachowania, to dla Polski będzie dobry wybór i wielka korzyść dla publicznej debaty w kraju.

Pomysł jest jednak inny: opozycja ma po swojej stronie ofiarę, więc może formułować oskarżenia, natomiast obóz rządzący – obsadzony w roli „oprawcy" – nie ma prawa do odpowiedzi, może się tylko kajać.

W obliczu takiej strategii opozycji obóz rządzący nie będzie milczał. Na pewno nie będzie zgody na to, aby w obliczu tragedii zrezygnować z publicznego prezentowania swoich racji, swojej wizji Polski, kolejnych reform. Sensem istnienia Prawa i Sprawiedliwości jest zmiana kraju połączona z determinacją, a nie proste zarządzanie państwem. PiS nie da się więc zepchnąć do narożnika.

Wówczas zderzy się z zarzutem, że stosuje mowę nienawiści, hejt. Walka z mową nienawiści wsparta również przez niektóre działania obozu rządzącego jest niemal zawsze metodą lewicy na zdobycie dominacji. Zazwyczaj kończy się to najpierw nieformalną, a później całkiem jawną cenzurą.

W Polsce jest to jednak niewykonalne. Polacy nie akceptują bowiem

eprasa.pl 7b31e575ab

politycznej poprawności. Symbolicznie – próby wprowadzenia istotnych zmian w języku, np. poprzez stosowanie form „ministerka" czy „premierka", nie przyjęły się. Politycy nawet mający poparcie mediów nie są w stanie narzucić społeczeństwu takich rozwiązań, które budzą powszechny sprzeciw.

Tu byłbym nieco mniej optymistyczny. Wracając do tragedii w Gdańsku, czy obóz rządzący nie powinien wyjść poza gesty solidarności i żalu? Czy nie zabrakło jakiegoś elementu, który mógłby się stać rodzajem narodowej terapii? Jakiegoś przemówienia, które byłoby próbą zmierzenia się z traumą, której wszyscy doświadczyliśmy?

Czy jednak nie oznaczałoby to, że budujemy narrację polityczną w obliczu śmierci? Tak pewnie postąpiliby politycy opcji liberalnej lub lewicowej. Mam także wątpliwości, czy społeczeństwo zaakceptowałoby tego typu zachowanie władzy.

Nie mówię o przemówieniu politycznym, ale odwołującym się do wspólnotowości, do przeżywanych emocji.

Każde takie działanie zostałoby natychmiast spolityzowane przez drugą stronę. Wydarzenia ostatnich lat pokazują, że można spolityzować absolutnie wszystko, nawet walkę z afrykańskim pomorem świń czy walkę z kornikami w puszczy. I to w całkowitym oderwaniu np. od tego, co robią nasi zachodni sąsiedzi. Co więcej, mamy też do czynienia z w pełni świadomym wymyślaniem całkowicie fikcyjnych zjawisk, np. rzekomego polexitu. Najpierw twierdzi się fałszywie, że taka jest intencja rządzących, a później buduje się na tym tle wielką akcję sprzeciwu. Wcześniej zaś skutecznie dzielono społeczeństwo za pomocą inwektyw, pamiętamy słynne „mohery", pamiętamy ciągłe oskarżanie PiS o faszyzm czy radykalizm. To była świadoma stygmatyzacja.

No właśnie. Sam pan wskazuje, jak łatwo przychodzi obecnej opozycji kreowanie rzeczywistości, wywoływanie awantur na wybranych przez siebie polach. Czy wobec tego obóz rządzący nie powinien jaśniej mówić, o co mu chodzi? Czy nie powinien mocniej prezentować własnej agendy? Od kilku tygodni ciągła defensywa: KNF, Andruszkiewicz, dziki, płace w NBP. Dominuje opowieść opozycji.

Pamiętajmy, że najważniejsze, aby własna opowieść pojawiła się w trakcie realizacji strategii wyborczej. A do wyborów parlamentarnych jest jeszcze trochę czasu. Wyraźnie też widać, że społeczeństwo jest zmęczone ciągłą mobilizacją polityczną. To dotyczy zwłaszcza tej grupy, która nie czuje się bezpośrednio zaangażowana w walkę rządu z opozycją. Ci ludzie chcą przede wszystkim korzystać z owoców wzrostu gospodarczego, o którym ciągle słyszą. Mają za to już dość takich czy innych opowieści politycznych. Proszę zwrócić uwagę, jakim powodzeniem cieszą się wydarzenia, które nie mają żadnego bezpośredniego kontekstu politycznego, np. „Sylwester marzeń" TVP, skoki narciarskie czy sukcesy siatkarzy. Ludzie chcą zbiorowych emocji, ale już bez polityki.

> Widać próby zbudowania związków przyczynowo-skutkowych, które nie mają oparcia w faktach. To próba zmiany opowieści o gdańskiej tragedii. Próba przekonania Polaków, że istnieje związek między tym morderstwem a atmosferą czy tłem politycznym w kraju

Władza milcząca albo władza małomówna otwiera jednak przede wszystkim przestrzeń dla opozycji.

Pod warunkiem że ludzie chcą jakiejkolwiek opowieści politycznej.

Pan profesor zakłada więc, że zabiegi opozycji, która przy byle okazji szarpie władzę za nogawki, okażą się jałowe?

Mogą się okazać nieskuteczne, np. polityczne wyjaśnianie morderstwa w Gdańsku, nawet bardzo głośne, może nie zostać zaakceptowane przez większość społeczeństwa.

Czy dziś już można się pokusić o odpowiedź na to pytanie? Czy Polacy uwierzą w „mord polityczny", czy też dostrzegą rzeczywistość, a więc mordercę-kryminalistę z problemami psychicznymi?

Moim zdaniem Polacy, którzy nie są mocno zaangażowani politycznie, dostrzegą, że to było zdarzenie kryminalne. Nie mamy przecież żadnych poszlak wskazujących, że było inaczej. Mamy do czynienia z człowiekiem chorym na schizofrenię paranoidalną. To są fakty, których nie da się zakrzyczeć.

W jaki sposób ta bezprecedensowa tragedia – a więc zamordowanie znanego polityka na scenie podczas dużego wydarzenia, na oczach setek, tysięcy widzów – wpłynie na społeczeństwo? Czy nie pojawi się takie oto skojarzenie: niezależnie od przyczyn nie chcemy żyć w kraju, w którym dzieją się takie rzeczy, musimy coś zmienić, np. władzę.

Na pewno to jest szok dla milionów Polaków. Pomijając katastrofę smoleńską, to pierwszy przypadek takiej śmierci polityka powszechnie rozpoznawalnego. Polityka budzącego spore emocje. Polityka, który kilka tygodni temu wygrał wybory w swoim mieście. W tle jest jednak pytanie o to, jak w ogóle postrzegamy polityków. III RP konsekwentnie deprecjonowała i politykę, i ludzi ją uprawiających, budowała negatywne skojarzenia, często w oparciu o jakieś drobiazgi. Więź między klasą polityczną a obywatelami jest więc dość słaba. Ten stan będzie miał wpływ na

eprasa.pl 7b31e575ab

postrzeganie tragedii gdańskiej i jej konsekwencji.

Jak obóz rządzący powinien podchodzić do upamiętniania Pawła Adamowicza? Czy powinien akceptować wszystkie propozycje? Czy można wejść w dyskusję na temat oceny tragicznie zmarłego polityka?

Jeśli społeczność Gdańska będzie miała wolę upamiętnienia śp. Pawła Adamowicza, to błędem byłoby sprzeciwianie się takim propozycjom.

W chwili, gdy rozmawiamy, znamy już wyniki pierwszego sondażu poparcia dla partii politycznych po tragedii w Gdańsku: PiS 30 proc., PO 25 proc., formacja Roberta Biedronia 8 proc. To oznacza, że partia rządząca traci.

Tradycyjnie odmawiam rozmowy o jednym, konkretnym sondażu. To nie ma większego sensu. Trzeba poczekać na kolejne badania, zważyć je, wyciągnąć średnią i wówczas formułować wnioski o trendach.

Gołym okiem widać jednak, że PiS coraz częściej notuje w sondażach wyniki, które można określić jako „niskie trzydziestki".

Nie wiemy, czy wyniki partii dotyczą poparcia wśród wszystkich wyborców, czy też tylko wśród zdecydowanych, jaka jest założona frekwencja. Moim zdaniem, biorąc pod uwagę wynik wyborów samorządowych i inne dostępne wskaźniki, dziś poparcie dla obozu rządzącego wynosi ok. 40 proc. Natomiast po stronie opozycyjnej obserwujemy umacnianie się Grzegorza Schetyny w Platformie, ale kosztem Nowoczesnej. To jednak także rodzi problemy, bo część wyborców liberalnych nie chce głosować na PO.

Umieranie Nowoczesnej sprawia, że nie mają oni kogo poprzeć?

Tak. Co więcej, wynik wyborów samorządowych sprawił, że politycy PSL uwierzyli w utrzymanie swojej podmiotowości. Racjonalny byłby samodzielny start ludowców w wyborach i krajowych, i europejskich. Tylko samodzielna pozycja w Sejmie uzyskana w wyniku wyborów zagwarantuje PSL realny wpływ na kształt ewentualnego rządu opozycji. Podobną decyzję podejmie zapewne SLD. I także na tym tle trzeba widzieć szanse wyborcze PiS.



Fot. Andrzej Wiktor

Czy sukces inicjatywy Roberta Biedronia będzie dla PiS korzystny?

Arytmetycznie oczywiście tak, bo przy metodzie d'Hondta oznaczałoby to osłabienie szans opozycji na większość. Problem w tym, że na razie nie mamy żadnej „partii Biedronia". To wciąż obietnica, która się nie zmaterializowała. Nie jest łatwo zbudować listy do Sejmu, nie jest łatwo zbudować struktury. Owszem, Nowoczesnej się udało, ale wszyscy wiemy, że w Polsce są wyborcy liberalni. A do kogo odwołuje się Biedroń? Co będzie wyróżniało jego propozycję? Na razie to tajemnica. On sam na pewno nie wystarczy.

Czy aby na pewno lider nie wystarczy? Paweł Kukiz zaproponował siebie i mu się udało.

Wyborcy Kukiza są wyraźnie zdefiniowani. To ludzie o poglądach konserwatywnych, bardzo niechętnie nastawieni do PO i jej dorobku, ale jednocześnie zachowujący dystans do PiS. To daje stabilność, ale np. w wyborach samorządowych nie przyniosło sukcesu. Jeśli jednak w wyborach europejskich Kukiz'15 potwierdzi swoje poparcie na poziomie 5–7 proc., to wejdzie do przyszłego Sejmu.

Czy tzw. symetryzm – a więc dość popularna w pewnych kręgach medialnych postawa zakładająca równy dystans wobec obu największych sił politycznych – jest w stanie odegrać jakąś poważniejszą rolę w życiu publicznym? To ludzie, którzy akcentują zmęczenie konfliktem, rozglądają się za czymś nowym.

To zjawisko ograniczone do różnych salonów towarzyskich i elity intelektualnej. Nie ma ono żadnego przełożenia na zachowania wyborców. Przy urnie wyborczej najważniejsze będzie pytanie: czy chcesz przedłużenia rządów PiS, czy też nie? Czy chcesz pogłębienia zmian, czy też powrotu do sytuacji sprzed 2015 r.?

Na ile ataki na Kościół, coraz śmielsze akcentowanie antyklerykalizmu lub wręcz antychrześcijaństwa są groźne dla PiS, formacji, która odwołuje się do tradycji i chrześcijańskiego kanonu wartości?

Oczywiście, że są groźne. I to nie tylko w perspektywie najbliższych wyborów. Dekonstrukcja religii chrześcijańskiej zawsze otwiera przestrzeń albo dla ruchów totalitarnych, albo dla postaw liberalnych, także niechętnych Kościołom. Jeśli dojdzie do wypchnięcia Kościoła powszechnego z przestrzeni publicznej zgodnie z wzorcem wywodzącym się z rewolucji francuskiej, to bezdyskusyjnie ucierpią na tym partie prawicowe.

Dlaczego wobec tego PiS nie angażuje się w obronę Kościoła? Choćby przy okazji filmu „Kler" nie usłyszeliśmy żadnego protestu. Czy wynika to z obawy przed nakręceniem wojny światopoglądowej?

eprasa.pl 7b31e575ab

Nie zawsze działanie polityczne, działanie z udziałem polityków, jest najlepszą drogą do obrony pewnych postaw. Na przykład w sprawie filmu „Kler" aktywność niektórych samorządowców nie przyniosła nic dobrego, jedynie nakręcając zainteresowanie. Czy protesty polityków lokalnych w jakikolwiek sposób osłabiły wpływ tego obrazu? Moim zdaniem nie. Dalej: czy jeden film jest w stanie skutecznie uderzyć w Kościół? Mało prawdopodobne. Kościół w Polsce opiera się na bardzo mocnych podstawach. Gdyby to było takie proste, komuniści wygraliby wojnę z wiarą.

Ale jeśli uznamy, że nasze zdanie, także zdanie polityków, nie ma znaczenia, to też daleko nie zajdziemy. Są wojny, których się nie uniknie.

Tak, ale Kościół ma bardzo wiele możliwości działania w swojej obronie. Jest przecież laikat, są wspólnoty parafialne, są katolickie media.

Ale katolicy, którzy głosują na PiS, często oczekują od swojej partii obrony i Kościoła, i pewnych wartości.

I w pewnych sprawach, na płaszczyźnie politycznej, PiS reaguje, choćby przeciwstawiając się postulatom wypchnięcia religii ze szkół. Politycy muszą być jednak ostrożni, bo relacje obywateli z wiarą są sferą szczególnie delikatną. I nie jest też tak, że reakcja państwa na rzecz wiary będzie ten związek zawsze umacniała. Często skutek jest odwrotny.

To jest oczywiste. Obrona pewnej konstrukcji cywilizacyjnej jest jednak zadaniem dla polityków. Politycy lewicy nie mają żadnych wątpliwości, że ich zadaniem jest przebudowa i świadomości, i struktur społecznych, nawet tak naturalnych jak rodzina. A politycy prawicy mówią: „Nie nasza sprawa".

Myślenie lewicowe wywodzi się z oświecenia: jest wizja społeczna, wymyślona idealna konstrukcja i próbuje się iść w tym kierunku, nawet sięgając po przymus lub przemoc. Myślenie prawicowe zakłada zaś, że najpierw analizujemy rzeczywistość społeczną, poznajemy zachodzące procesy i dopiero wówczas wyznaczamy cele, do których powinna dążyć władza w oparciu o rozwiązania już sprawdzone. Władza prawicowa nie może wymyślić sobie idealnego społeczeństwa, które zbuduje.

> Ludzie, którzy działają w ramach WOŚP, którzy zbierają do puszek, rzadko robią to z powodu identyfikacji ideologicznej. A sam Jerzy Owsiak popełnia błąd, jeśli myśli, że może być równocześnie narodową figurą na polu charytatywnym i aktywnym działaczem na polu ideologii. To się nie może udać

Jak napisał na portalu wPolityce.pl Grzegorz Górny: wojna kulturowa trwa, czy PiS tego chce, czy nie. I nie może się uchylić od tego wyzwania.

Rozumowanie w kategoriach wojny kulturowej może, zwłaszcza przy nietrafnym odczytaniu postaw społecznych, bardzo obniżać efektywność polityczną. Może także zakończyć się tak jak w Hiszpanii czy Irlandii, trwałą klęską prawicy i gwałtownym przesunięciem się wahadła ideologicznego na lewo.

Czyli pana zdaniem PiS powinno się przesuwać wraz ze zmieniającym się społeczeństwem na lewo, tak jak czyniła to niemiecka chadecja? To także droga do kulturowej klęski.

Czy jednak ta klęska nie wynikała również z tego, że niemiecka chadecja sama stymulowała pewne procesy przyspieszające zmianę społeczną? To mogło być sprzężenie zwrotne. Nie da się w państwie demokratycznym, przy obecnych narzędziach społecznych, rządzić wbrew oczekiwaniom społecznym. Co nie znaczy, że nie należy prowadzić działalności formacyjnej, edukacji społecznej.

No właśnie. Politycy nie tylko słuchają wyborców, oni także wyborców wychowują.

Przede wszystkim politycy kształtują agendę debaty publicznej i w ten sposób wpływają na procesy społeczne. Do tego należy uwzględniać fale społeczne, które sprawiają, że konserwatyzm, nawet pokonany, wcześniej czy później wraca. Co widać obecnie choćby w Stanach Zjednoczonych.

Wracając do sprawy tragedii w Gdańsku: jak na tle tego wszystkiego wygląda Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy? Widzieliśmy bardzo dziwne zachowanie Jerzego Owsiaka, a więc odsuwanie pytań o bezpieczeństwo, skupienie uwagi na sobie, wreszcie dymisję, która zapewne ma charakter tymczasowy.

Najważniejsze pytanie brzmi: na ile ludzie uczestniczący w tej akcji identyfikują się z politycznymi celami tego przedsięwzięcia? Moim zdaniem w niewielkim stopniu.

Nie widzą polityczności Owsiaka?

Tak, widzą, ale dla nich najważniejsze są realne efekty w postaci wsparcia służby zdrowia. I przekonanie, że spełniło się swój obowiązek w sferze niesienia pomocy innym. W wymiarze symbolicznym, raz do roku, ale jednak.

Czyli Owsiak jest mniej skuteczny w sferze ideologicznej, niż sądzi?

Moim zdaniem tak. Ludzie, którzy działają w ramach WOŚP, którzy zbierają do puszek, rzadko robią to z powodu identyfikacji ideologicznej. A sam Jerzy Owsiak popełnia błąd, jeśli myśli, że może być równocześnie narodową figurą na polu charytatywnym i aktywnym działaczem na polu ideologii. To się nie może udać.

Autopromocja

eprasa.pl 7b31e575ab

Człowiek Wolności 2018

tygodnika SIECI

GALA Z UDZIAŁEM LAUREATA

PROF. PIOTRA GLIŃSKIEGO

WICEPREMIERA,
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO



NA ŻYWO

PONIEDZIAŁEK
21 STYCZNIA
GODZ. 19.00

W POLSCE PL



Na łańcuszku dobrych ludzi

Fot. Maciej Stysz (x2)

Z odbywającą dziesięcioletnią karę pozbawienia wolności Anną w Zakładzie Karnym w Rzeszowie rozmawia Jaromir Kwiatkowski

Aniu, poznałem cię, kiedy wraz z Pawłem Szkutnickim, 32-letnim mielczaninem sparaliżowanym czterokończynowo, bohaterem mojej książki „Cierpienie nauczyło mnie radości. Wszystkie K2 Pawła Szkutnickiego" (jej patronem medialnym jest m.in. tygodnik „Sieci" – przyp. J.K.), oraz jego mamą Krystyną spotkaliśmy się w grudniu 2018 r. w rzeszowskim więzieniu z kilkudziesięcioma osadzonymi tu kobietami. Powiedziałaś wtedy, że „jesteś w więzieniu już bardzo długo i cholernie zasłużyłaś, żeby tu być".

Anna: Bo to prawda. Zrobiłam coś bardzo, bardzo złego i mam świadomość, jak to było złe. Bardzo tego żałuję i bardzo bym chciała, żeby nigdy do tego nie doszło. Ale nie chciałabym mówić o szczegółach.

Jaki wyrok dostałaś?

10 lat. Odsiedziałam już pięć i pół roku.

Widziałem, że spotkanie z Pawłem bardzo cię poruszyło.

Już kiedy pan o nim opowiadał [Pawła nie było wtedy jeszcze na sali – przyp. J.K.], zrobił na mnie wrażenie niesamowicie pozytywnego człowieka. Takiego, który zmusza do refleksji, pokazuje inną perspektywę patrzenia na rzeczywistość. Posłuchać o nim i spróbować wyobrazić sobie świat widziany jego oczami – to już jest bardzo wielkie przeżycie. Świadomość, że jest taki Paweł, że sobie radzi i robi wokół siebie tyle pozytywnego zamieszania, że tylu ludzi do siebie przyciąga – to robi wrażenie.

Jego sytuacja jest w pewnym sensie podobna do twojej. On również jest uwięziony, tyle że we własnym ciele.

Ja jestem uwięziona przez własne błędy.

Co ci najbardziej doskwiera w więzieniu, oprócz samego faktu, że jesteś tutaj, na co – jak mówisz – zasłużyłaś?

Nie ma nic bardziej dotkliwego niż rozłąka z rodziną. Płacz z tęsknoty, świadomość, że nie mogę do nich podejść, spędzić z nimi trochę czasu, wzmocnić się przy nich, odetchnąć.

Ale pobytowi w więzieniu można nadać pewien sens. Ty podjęłaś studia na uniwersytecie. Na spotkaniu z Pawłem powiedziałaś, że w zakładzie karnym dostrzeżono twój potencjał i dano ci możliwość studiowania, którą traktujesz jak przywilej.

To, że studiuję, to nie tylko mój sukces. Jestem paciorkiem, który wisi na łańcuszku dobrych ludzi. To zaczęło się od pani kierownik penitencjarnej, mjr Simony Wójtowicz. Kiedy mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych, odpowiadam, że znam jedną taką osobę, mając na myśli właśnie panią kierownik. To ona wpadła na pomysł, by stworzyć więźniom możliwości resocjalizacji poprzez naukę, zdobywanie wykształcenia. Ona dała mi taką możliwość.

Ale kierunek studiów wybrałaś sama.

Tak. Z kilku dostępnych mogłam wskazać kierunek, na którym będę się czuła najlepiej. Wybrałam studia przygotowujące do pracy w pomocy społecznej. Po tym wszystkim, co przeszłam, nie chcę żyć sama dla siebie. Chciałabym oddać

eprasa.pl 7b31e575ab

ludziom, nawet jednej osobie, trochę tego dobra, które mnie postawiło na nogi. Chcę pomagać ludziom, po prostu.

W jakim trybie studiujesz? Według mojego wyobrażenia przenikanie z więzienia na drugą stronę nie jest rzeczą prostą.

To prawda. Dlatego składam ukłon w kierunku wychowawców i pana dyrektora, którzy każdorazowo, kiedy potrzebuję uczestniczyć w zajęciach, załatwiają wszystkie formalności, które umożliwiają mi wyjście na uczelnię i powrót, pozostają w kontakcie z moimi wykładowcami, z opiekunem roku. Mam indywidualny tok studiów, który sprawia, że wystarczy, abym była kilka razy w semestrze na zajęciach, a później oczywiście uczestniczyła w egzaminach.

A zatem główny ciężar studiowania to twoja własna praca.

Tak. Większość materiału nadrabiam sama w celi.

Jak jesteś zaawansowana w tych studiach?

Jestem na trzecim roku. W trakcie przygotowywania pracy licencjackiej.

Zdradzisz na jaki temat?

Chodzi o pracę terapeutyczną.

Kierownictwo uczelni, wykładowcy siłą rzeczy muszą znać twoją sytuację życiową. A koleżanki i koledzy z roku?

Pojedyncze osoby wiedzą. Powiedziałam im, bo często pracowaliśmy razem w grupie zadaniowej, wspólnie przygotowywaliśmy projekty i chciałam być wobec nich uczciwa.

Jaka była reakcja?

To są ludzie, którzy poprzez studia przygotowują do pracy z trudnymi jednostkami, więc reakcje były pozytywne. Dostałam od nich dużo wsparcia, pomocy, wyrozumiałości, zawiązały się między nami przyjaźnie.

Jednak przyznałaś się na spotkaniu z Pawłem, że – ze względu na trudności wynikające z trybu twojego studiowania – biłaś się z myślami, czy to ma sens i czy nie rzucić studiów.

Żaden sukces nie przychodzi łatwo. Miałam moment kryzysowy, ponieważ nadrabianie tak dużej ilości materiału przy tak ograniczonych możliwościach bywania na wykładach, w sytuacji kiedy jestem tak daleko od rodziny, powoduje, że „akumulatory" wyczerpują się momentalnie. Czasami potrzebuję więcej siły, niż jestem w stanie sama „wyprodukować". Wiedząc, że stoję u progu trzeciego roku studiów i że to będzie trudny rok, a także chcąc utrzymać naukę na bardzo dobrym poziomie, wywarłam presję na samą siebie. Miałam taki moment, kiedy powiedziałam: „Dobrze, jest presja, jest ambicja, jest chęć, ale skąd wziąć na to siły?". Zastanawiałam się, jak sobie poradzę. Wiedziałam, że aby się udało, muszę pokonywać własne słabości. I wtedy na mojej drodze stanął Paweł... Pokazał mi te moje słabości z innej perspektywy. Trochę przesunął mój horyzont i jestem mu za to bardzo wdzięczna.

Opowiadałaś, że biłaś się z myślami, czy uda ci się dokończyć studia, także w wieczór poprzedzający nasze spotkanie.

Tak. W ten wieczór uczyłam się do północy, próbowałam nadrabiać materiał trochę w ciemno. I na drugi dzień pojawił się Paweł...

Na spotkanie z Pawłem, jego mamą i ze mną poszłaś jak na każde inne, które trzeba zaliczyć, bo i tak nie ma nic lepszego do roboty?

Nawet sobie pomyślałam: „Szkoda, że to nie jest autor książek, które czytam, może by mi coś poopowiadał w zakresie przedmiotu, którego się uczę". Poszłam więc na to spotkanie jak na każde inne. Pan opowiedział o Pawle – kim on jest, co robi, jak przeżywa różne sytuacje, jaką ma wiarę, jak jego przykład oddziałuje na ludzi. Powiedział pan, że Paweł też jest jakby uwięziony – w swoim ciele. Dla nas – dla mnie, dla kobiet, które wzięły udział w spotkaniu – ta analogia była oczywista. Pomimo tego uwięzienia myślę, że wolność Pawła przekracza wiele ludzkich horyzontów. Słuchając o nim, o tym, że założył fundację, że próbował studiować, że nie poddaje się, a wręcz przeciwnie – motywuje innych ludzi, popatrzyłam na siebie i pomyślałam: „Kurczę, ja się tu użalam nad sobą, rozważam, czy dam radę, a istnieje taki Paweł, który ode mnie może mniej, ale robi więcej". Zanim pan skończył opowiadać, już postanowiłam, że zmienię myślenie. Już wtedy Paweł mnie zainspirował...

I wtedy do sali wjechał on sam...

Kiedy go zobaczyłam zaledwie kilka metrów ode mnie, natychmiast łzy mi spłynęły z oczu, dech mi zaparło, przez chwilę nie mogłam w to uwierzyć, że oto mam przed sobą odpowiedź na wszystkie moje rozterki. Że dostałam tak wyraźną odpowiedź na pytanie, czy dam sobie radę. Zrozumiałam, że skoro Paweł daje sobie ze wszystkim radę, to ja też podołam. Paweł mi „wstrzyknął" taką moc, że już wiedziałam, iż skończę te studia. Wrócił mi zapał, wróciły mi siły, by te studia sfinalizować. Chcę pomagać ludziom, którzy tej pomocy potrzebują. Podziękowałam Pawłowi, powiedziałam, że będę się starać, że zawsze będę pamiętała, iż on też próbował podjąć studia, ale z różnych przyczyn to mu się nie udało, więc będę studiować za niego i za siebie.

To trzeba ci życzyć siły i determinacji, by te plany się ziściły.

Już mi nie trzeba tego życzyć. To wszystko mam. [śmiech]

Nazwałaś swoje studiowanie przywilejem. To jest rzeczywiście tak niesamowite, że będąc tu, możesz studiować?

Tak. Pamiętam, że kiedy minęły jakieś dwa lata mojego pobytu w więzieniu, zapadłam się, straciłam nadzieję. Gdy ktoś mnie próbował pocieszać: „Kiedyś wyjdziesz, może szybciej, niż myślisz, skończysz studia", na mojej twarzy pojawiał się

eprasa.pl 7b31e575ab

jedynie grymas: „Jakie studia? Ja już nie będę mieć na to szansy. Miałam kiedyś, ale ją zmarnowałam”.

Aniu, rozumiem twoje dylematy. Student na wolności zmaga się głównie z własnym lenistwem ukrytym pod różnymi postaciami. W więzieniu tych barier jest więcej. Coś, co jest rzeczą normalną dla ludzi na wolności, może być Mount Everestem dla ludzi pozbawionych wolności. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że spotykanie się na uczelni z kolegami może być dla ciebie trudne. Oni wracają do swoich domów, ty – do celi.

Moje koleżanki i koledzy wstają rano, przygotowują notatki i po prostu przychodzą na zajęcia. Ja, kiedy chcę wyjść na uczelnię, każdorazowo muszę się z tym zwrócić do wychowawcy, co najmniej trzy osoby muszą wyrazić na to zgodę, odpowiednio wcześniej muszę się upewnić, że zajęcia na pewno się odbędą – te wszystkie procedury to dodatkowa praca dla funkcjonariuszy.

Ale spójrz na to z innej strony. Twoje współosadzone wychodzą na przepustki, by poświęcić ten czas rodzinie, co jest rzeczą dobrą i pożądaną, albo by go zmitrężyć na głupstwa. Ty wychodzisz na przepustki, by zainwestować w swoją przyszłość.

Terminy przepustek staram się dobierać tak, by pasowały do moich wyjść na uczelnię. Każdorazowo przyjeżdża po mnie tato, zawozi mnie na uczelnię, odbiera i przywozi tutaj. Robi tyle, jakby ze mną studiował. Bardzo często tato drukuje i przesyła mi materiały, chodzi w moim imieniu do uczelnianej biblioteki itd. My to traktujemy jako nasze wspólne przedsięwzięcie. Tato często mi powtarza: „Damy radę”.

Tyle że tato odwozi cię do zakładu karnego i tu musi cię zostawić. A pewnie oboje wolelibyście pojechać do domu...

Rozstania rozrywają serce. Ten moment, kiedy tato przyprowadza mnie pod bramę i wie, że musi mnie zostawić, a ja wiem, że muszę przejść przez tę bramę, jest bardzo trudny. Na początku myślałam, że to spowszednieje i że będzie łatwiejsze, ale za każdym razem ta sytuacja tak samo „gryzie”.

Masz wsparcie w koleżankach z oddziału?

To pytanie często zadają mi moi wykładowcy. Pytają, czy koleżanki nie dokuczają, nie przeszkadzają, nie zazdroszczą. Muszę powiedzieć, że przez te prawie trzy lata działy się rzeczy niesamowite. Zawsze, kiedy dziewczyny idą spać, a ja mam akurat egzaminy i muszę posiedzieć dłużej z książkami przy lampce, im to nie przeszkadza. Ściszają telewizor, nie wytykają mi tego, że świecę do późna, przynoszą mi herbatę, pytają, czy chcę coś zjeść. Są niesamowicie wyrozumiałe i bardzo mnie wspierają. Kiedy wracam z egzaminu, jako pierwsze zawsze pada pytanie: „No i jak poszło?”. Cieszą się ze mną z każdej dobrej oceny, przytulają mnie. Kiedy nie mogłam zdobyć materiałów na pewien temat, jedna z koleżanek powiedziała, że jej syn akurat świetnie się na tym zna, zadzwoniła do niego i poprosiła, by poszukał coś na ten temat, wydrukował i mi przysłał.



Czy przy tych wszystkich ograniczeniach udaje ci się być dobrą studentką?

Nigdy nie zapomnę pierwszego egzaminu, na który przyjechałam prosto z celi i do którego uczyłam się, cały czas się zastanawiając, czy się uda. Ocenę w indeksie zobaczyłam dopiero wtedy, gdy wyszłam na korytarz. Była to piątka. Pamiętam to poczucie, że mogę, że potrafię, że to się może udać. Postanowiłam wtedy, że jeżeli mam studiować, to nie mogę tego robić byle jak. W tym roku rektor nagrodził mnie stypendium naukowym.

Pełen szacun... Powiedzieliśmy wcześniej, że twoje studiowanie to inwestycja w przyszłość. Zastanawiasz się czasami, jak ta przyszłość będzie wyglądać?

Nie tylko czasami. To jest coś, co jest cały czas przed moimi oczami. Ale to nie tylko inwestycja w przyszłość, lecz także inwestycja we mnie. To nie jest nakierowane jedynie na budowanie przyszłości, ale także na naprawienie tego, co spowodowało, że zabłądziłam.

Podczas spotkania z Pawłem złożyłaś mu obietnicę, że swoją pracę w pomocy społecznej będziesz wykonywać z maksymalnym poświęceniem.

Z maksymalną wrażliwością na problemy ludzi niepełnosprawnych i z maksymalnym zaangażowaniem. Każda niepełnosprawność w jakiś sposób ogranicza. Ja znam ograniczenia z innej perspektywy, ale też ich doświadczyłam. Będę więc patrzeć, szukać, pytać...

Rozpoczniesz nowe życie?

Nie podpisuję się pod stwierdzeniem, że życie zaczyna się od nowa oraz że czas w więzieniu to czas zmarnowany. To wszystko, co tutaj się dzieje i co mnie tutaj doprowadziło, to są doświadczenia. Te doświadczenia trzeba wykorzystać. Jeżeli się je wykorzysta, to wypływa z nich jakaś nauka. Życie nie zaczyna się od nowa. Można mu jedynie nadać więcej sensu, wpuścić do niego więcej dobra, zmienić jego kierunek. Ale życie trwa cały czas.

Autor dziękuje kpt. Maciejowi Słyszowi, rzecznikowi prasowemu Zakładu Karnego w Rzeszowie, za pomoc w realizacji materiału.

35/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab



eprasa.pl 7b31e575ab



Nigdy nie jest za późno na miłość

Fot. Mat. prasowe TVP

W TVP ruszyło „Sanatorium miłości”. Program jest połączeniem reality show z dokumentalną formą, gdzie obok tematyki obyczajowej nie zabraknie zagadnień zdrowotnych, poradnikowych oraz edukacyjnych



DOROTA ŁOSIEWICZ

Początek każdego roku to czas wielkich postanowień i nadzieja na zmiany. A jak do tego dorzucimy przekonanie, że nigdy nie jest za późno na miłość, powstaje „Sanatorium miłości”, czyli nowe show TVP1. Bohaterowie programu dostaną szansę na zmianę życia, poznanie przyjaciół, dobrą zabawę, a kto wie – może nawet szybciej zabiją im serca.

„Sześć seniorek i sześciu seniorów rusza w niezwykłą podróż” – zapowiada w trailerze Marta Manowska, znana z hitu Jedynki „Rolnik szuka żony”. To niezwykle ciepła i empatyczna Manowska poprowadzi „Sanatorium miłości”. „Stać mnie na wielka miłość, czuję to” – zapewnia Cezary Mocek, jeden z bohaterów nowego show. „Sanatorium miłości – już sama nazwa mówi wszystko” – chichocze w zwiastunie Janina Busk, a Manowska dodaje: „Ja już czuję, co tu się będzie działo”. „Pokażemy, co 60 plus potrafi” – dodaje inny uczestnik show.

DWUNASTKA W USTRONIU

Janina, Joanna, Małgorzata, Teresa, Walentyna i Wiesława – sześć nieznających się wcześniej dojrzałych pań wyrusza w podróż, która może zmienić ich życie. Podobnie jak Cezary, Krzysztof, Lesław, Marek i dwóch Ryszardów. Wszyscy są samotni i pełni nadziei. Połączy ich wspólny pobyt w sanatorium Równica w malowniczym, leżącym w paśmie górskim Beskidu Śląskiego uzdrowisku Ustroń. Tam na wybraną do programu dwunastkę kuracjuszy czeka Marta Manowska i turnus naszpikowany zdrowotnymi zabiegami, atrakcjami, a może nawet miłość życia. Program jest połączeniem reality show z dokumentalną formą, gdzie obok tematyki obyczajowej nie zabraknie zagadnień zdrowotnych, poradnikowych oraz edukacyjnych.

– Cieszę się, że narodził się pomysł takiego programu. Jego bohaterowie, ludzie w jesieni swojego życia, są naprawdę w pięknym wieku. To taki moment, kiedy ma się już za sobą wychowanie dzieci, wypuszczenie ich na świat, oddanie im toru w sztafecie życia. Stąd tak wiele starszych osób mówi

32/1218/F

GOŚĆ NIEDZIELNY



JUŻ ZA TYDZIEŃ

27 stycznia

do „Gościa Niedzielnego” dołączymy film pt. „Bóg nie umarł 2”.

Jest to pasjonująca opowieść o próbie odpowiedzi na najważniejsze pytania o istnienie Boga oraz o wolność sumienia. Druga część filmu, który porusza serca.

Cena „Gościa Niedzielnego” nie ulegnie zmianie i wyniesie 5 zł

eprasa.pl 7b31


Lesław Sierakowski – jeden z uczestników programu

Fot. TVP/PIOTR MATEY/piotrmatey.com

„Wreszcie ktoś się zajął nami, czyli tymi, którzy są już po sześćdziesiątce. Do tej pory oglądaliśmy w takich programach młodzież, były różne »Big Brothery«. Ale gdzieś po cichu myślałem sobie, że mógłby być taki program dla osób starszych”

dzisiaj, że to jest ta chwila, ten czas, żeby się zacząć nim cieszyć. Iść własną ścieżką. Zacząć realizować zaniechane kiedyś marzenia czy pasje – mówi Marta Manowska.

Twórcy „Sanatorium miłości” mają nadzieję, że nowe show nie tylko dostarczy odbiorcom rozrywki i zgromadzi przed odbiornikami miliony widzów, lecz także doprowadzi do przełamania tabu i stereotypów w myśleniu o osobach przebywających na emeryturze lub będących w wieku emerytalnym. Chodzi też o przeciwstawienie się dyskryminacji osób starszych, m.in. pokazując, że jesień życia może być barwna, żywa i pełna uczucia.

– Starsi ludzie są niesamowici. Ich doświadczenie, wiedza życiowa, mądrość, ale też poczucie humoru oraz niewymuszona radość dowodzą, że mają oni w sobie coś autentycznego i dostojnego. Oni już naprawdę nic nie muszą, jedynie mogą – podsumowuje Marta Manowska.

GŁOS 60 PLUS

„Chciałem podziękować telewizji, że wreszcie ktoś się zajął nami, czyli tymi wszystkimi, którzy są już po sześćdziesiątce” – mówił podczas jednego ze spotkań promujących nowe show Lesław Sierakowski. „Do tej pory oglądaliśmy w takich programach młodzież, były różne »Big Brothery« i inne takie rzeczy. Może trochę się tym fascynowaliśmy, ale gdzieś po cichu myślałem sobie, że mógłby być taki program dla osób starszych. Dlatego jestem bardzo wdzięczny i serdecznie dziękuję za to, że tak fajnie zajęliście się nami, seniorami, pokazaliście, jacy jesteśmy naprawdę” – dodawał Lesław Sierakowski w rozmowie z „Tele Magazynem”.

„Polecam każdej kobiecie i każdemu mężczyźnie, który jest 60 plus i jest w stanie wolnym, żeby korzystał z różnych takich ofert, nie tylko »Sanatorium miłości«, są różne programy. Ale też, żeby nie siedzieć w domu, nie oglądać tej telewizji non stop, tylko ruszyć do życia, do spotkania, przytulić się do kogoś, porozmawiać, pomóc komuś, to jest piękne” – przekonywała Janina Busk.

Jednak nie wszyscy seniorzy witają show równie entuzjastycznie. Już pojawiają się komentarze, że starsi ludzie, których często nie stać na leki, nie mogą sobie pozwolić na takie kolorowe życie, o jakim mówią bohaterowie, ani na wyjazd do sanatorium, na który schorowani ludzie czekają latami. I nie jadą tam po to, by balować, ale po to, by ratować zdrowie. Choć o tym, co się dzieje w sanatoriach, krążą przecież już legendy.

„Teraz strach będzie wyjechać do sanatorium, bo zaraz ludzie będą się pytać: »I co ty tam wyprawiałaś«?” – żali się na jednym z plotkarskich portali starsza osoba, która zdrowotny wyjazd do sanatorium właśnie planuje. „Mąż już po obejrzeniu zwiastuna zapowiedział, że mnie nigdzie nie puści, bo będę balować i prowadzać się z kuracjuszami” – żali się kobieta.

Ale jeśli jesień życia miałaby się zacząć kojarzyć z czymś innym niż narzekanie, brak pieniędzy i kilogramy leków, to może warto taki eksperyment przeprowadzić.

– Płakałem ze śmiechu, gdy oglądałem pierwszy odcinek show – mówi jeden z dziennikarzy TVP. – To będzie prawdziwy hit – słyszę pełne entuzjazmu opinie.

SANATORIUM Z MARTĄ

Mocną stroną „Sanatorium miłości”, oprócz dużej dawki humoru, będzie na pewno prowadząca – Marta Manowska. Kiedyś, w rozmowie dla tygodnika „Sieci”, Manowska zdradziła mi, że bardzo angażuje się w to, co robi, w życie swoich bohaterów. Przyznała wówczas: „Jestem gąbką zbierającą emocje. Łatwo udzielają mi się nastroje drugiej osoby, która szybko staje mi się bliska. A to na planie dzieje się bardzo prędko. Później wracam po zdjęciach do domu i bardzo długo myślę o moich bohaterach. Dzwonimy do siebie. Rozmawiamy. Nie da się ot tak po prostu wpaść, zrobić zdjęcia, powiedzieć »Pa!« i zniknąć”. M.in. właśnie za to zaangażowanie pokochali Manowską widzowie. I dlatego nie brakuje opinii, że „Sanatorium miłości” może powtórzyć sukces „Rolnika”.

Zdjęcia do „Sanatorium miłości” ruszyły na początku grudnia, a emisja programu wystartowała w minioną niedzielę. Twórcy programu po cichu mówią o zawrotnym, niespotykanym wręcz dla tego typu formatów, tempie produkcji i liczą na sukces. Show będzie można zobaczyć w każdą niedzielę przez dziesięć kolejnych tygodni o godz. 21.15 w TVP1.

Przed bohaterami „Sanatorium miłości” duże wyzwanie. Pojawia się pytanie, jak poradzą sobie z ciężarem popularności, która nie zawsze bywa słodka, i czy później, gdy skończy się przygoda z programem, łatwo będzie wrócić do prozy życia. No, chyba że później nic już nie będzie takie samo...

eprasa.pl 7b31e575ab



„Kogel-mogel”: trzecie utarcie

*Trzy dekady temu publiczność pokochała **Grażynę Błecką-Kolską** za rolę sympatycznej dziewczyny, która – marząc o niezależności – postanowiła szukać szczęścia poza rodzinną wioską. Ukręciła wtedy z ekipą słodko-swojską komedię. Dziś wraca w trzeciej części filmu*

Fot. M. Gostkiewicz

eprasa.pl 7b31e575ab



Fot. HaWa

Z Grażyną Błęcką-Kolską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Spodziewała się pani, że przygoda z tą bohaterką będzie trwała tak długo?

Grażyna Błęcka-Kolska: Absolutnie nie. Kiedy z castingu trafiłam do filmu Romana Załuskiego, byłam młodą, zapracowaną osobą. W teatrze Drugie Studio Wrocławskie spędzałam czas od 10.00 do 22.00. Zdjęcia do „Kogla-mogla" zmieniły całkowicie ten rytm pracy i aktorskich zadań. Na planie początkowo czułam się oszołomiona, chociaż nie był to mój filmowy debiut, bo jeszcze na studiach stanęłam przed obiektywem kamery.

Tutaj była pani jednak w centrum uwagi, grając przecież główną rolę. Z jej powodu dla wielu widzów stała się pani po prostu Kasią.

Po pierwszej premierze jeszcze tego nie czułam. Tak na dobre wszystko rozkręcił późniejszy o rok „Galimatias, czyli kogel-mogel II". Od widzów płynęła dosłownie fala entuzjazmu, serdeczności. To było i jest nadal miłe oraz cenne. Ale też, prawdę powiedziawszy, Kasia Solska (po mężu Zawada) dawała się lubić. I wciąż daje, o czym świadczy niemalejące zainteresowanie powtórkami filmu. To fenomen.

Film podoba się też kolejnym pokoleniom?

Właśnie. Również młodym ludziom, którym w dobie internetu – gdy zacierają się środowiskowe różnice, a na wsi żyje się często wygodniej niż w mieście – trudno chyba zrozumieć, o czym pod koniec lat 80. ubiegłego wieku marzyły dziewczyny takie jak Kasia Solska. Dlaczego były tak zdeterminowane.

Za co więc dziś lubią dawną Kasię?

Za to, za co i przed laty. To serdeczna, miła dziewczyna, której każdy chciałby pomóc. I, wie pani, nastawienie do niej, wręcz miłość publiczności do bohaterki, otacza przez kolejne lata także mnie. Chroni do teraz. Odbieram ją w bezpośrednich kontaktach i w internetowych wpisach. Wciąż czuję ciepło i wsparcie.

Nic więc dziwnego, że wiele osób czeka na kolejną część filmu. Jaka jest Kasia w produkcji „Miszmasz, czyli kogel-mogel 3"?

Jest kobietą niezależną – nauczycielką i dyrektorką szkoły. Praca to jej pasja, realizuje się w niej; kocha dzieci, opiekuje się mamą i mieszka we wsi Brzózki. Uczęszcza na kurs samoobrony, gdzie trenuje karate (ta umiejętność bardzo jej się przyda). Chciałam, żeby była to kobieta dynamiczna, ale i ciepła.

Kasia ma też wielbiciela. I zjawia się kolejny. A z zagranicy wraca do kraju przystojny, dorosły syn, uwielbiany przez matkę... I nasza bohaterka musi się odnaleźć w coraz bardziej skomplikowanych okolicznościach oraz relacjach, które jeszcze bardziej gmatwa najazd gości do jej domu. Wydarzy się w nim tyle rzeczy, że trudno chwilami ogarnąć. Istny miszmasz. Warto zobaczyć, jak ta Kasia sobie poradzi w sytuacjach, które stawiają przed nią życie...

Widzowie na pewno wierzą, że i w nowych realiach odnajdzie się znakomicie, że zobaczą na ekranie bohaterkę, którą pokochali.

Mam taką nadzieję. Premiera już 25 stycznia. Reżyserem filmu jest Kordian Piwowarski, a do postaci z poprzednich części dołączyli nowi bohaterowie, więc również nowi aktorzy. Naprawdę dużo się dzieje.

„Miszmasz..." powinien wprawić oglądających w dobry nastrój, ale to niejedyny film z pani udziałem, na który czekają widzowie. „Ułaskawienie" Jana Jakuba Kolskiego przyniosło pani na minionym festiwalu w Gdyni kolejną statuetkę za najlepszą pierwszoplanową rolę kobiecą.

Jury doceniło też scenariusz Kolskiego i kostiumy Moniki Onoszko, ale oczywiście ogromnie ucieszyło mnie, że i moja aktorska praca została zauważona. Dobrze byłoby też wspomnieć, że w Chicago (na Festiwalu Filmu Polskiego w Ameryce) film otrzymał nagrodę „Society Humanitarian Award".

„Ułaskawienie" to piękny film, wzruszający, zrealizowany na podstawie autentycznych zdarzeń. Punktem wyjścia jest historia Hanny i Jakuba Szewczyków, dziadków Jana Jakuba Kolskiego.

Dla mnie podróż Hanki i Jakuba staje się metaforyczną wyprawą w głąb ludzkiej duszy i próbą stworzenia na nowo definicji człowieczeństwa. Chciałam, żeby moja bohaterka wzruszała całą sobą, sposobem poruszania, patrzenia, milczenia.

Ciekawe dla mnie jako aktorki były notatki z IPN, pokazujące prześladowania i przesłuchania Jakuba i Hanny, rodziców Wacława Szewczyka zdradzonego przez przyjaciółkę i przez kolegę, któremu wcześniej pomógł.

Przypomnijmy, że rzecz działa się w powojennej Polsce, Wacław był żołnierzem, nie złożył broni, a przesłuchań jego rodziców dokonywał UB. Ci rodzice zdecydowali się na niezwykłe działanie.

Przejście przez kraj z ciałem syna. By go godnie pochować. Wędrując w trudzie, poza ludzkimi siedliskami. W przyrodzie, z determinacją, w poszukiwaniu człowieczeństwa... W różnych sytuacjach. Żebyśmy pamiętali o wolności osobistej, o swobodzie, o skutkach naszych wyborów, w których liczy się człowieczeństwo. „Ułaskawienie" to też piękny tytuł – oznacza wybaczenie.

Kiedy „Ułaskawienie" trafi do kin?

Liczę na to, że niedługo. Premiera była zapowiadana na 2019 r.

eprasa.pl 7b31e575ab

Na chwilę przed odlotem

Kiedy w 1988 r. na ekranach kin pojawił się swojsko-słodki „Kogel-mogel", reakcje były różne. Widzowie komedię romantyczną w stylu schyłkowej PRL pokochali. Szczególnie kibicowali ambitnej Kasi (Grażyna Błęcka-Kolska) marzącej o wyjeździe na studia. Do miasta, gdzie „całkiem inne życie; kulturalnie wychodzi się do teatru i filharmonii; dom urządzony jest jak w katalogu, a ludzie inteligentni – jak jedzą, to w restauracji"

Recenzenci krytykowali. Przede wszystkim prząśność oraz skrajnie rysowane portrety bohaterów, zarówno tych ze wsi (tu do roli gwiazd wyrośli rodzice Kasi grani przez Katarzynę Łaniewską i Jerzego Turka), jak i oderwanych od realiów przedstawicieli miejskiej inteligencji (zdominowanego przez kobiety docenta Wolańskiego, w którego wcielił się Zdzisław Wardejn; jego żonę zagraną przez Ewę Kasprzyk i Małgorzatę Lorentowicz w roli matki).

Nie od dziś wiadomo jednak, że widz (czyli szczególna forma klienta) ma zawsze rację, więc w odpowiedzi na reakcję publiczności w 1989 r. powstał „Galimatias, czyli kogel-mogel II".

Był to trzeci (po „Och, Karol" i „Kogel-mogel") zrealizowany kinowy scenariusz autorstwa Ilony Łepkowskiej, już wtedy doskonale wyczuwającej realia, dialogi i postaci. Komedia zderzająca wieś i miasto (ale też peerelowski zaścianek z wizją dostatniego zachodniego życia) podążała za marzeniami Kasi, a wraz z nią ogromnej grupy widzów.

Ludzie sekundowali bohaterce – dziewczynie może trochę naiwnej, ale z sercem na dłoni – w jej drodze do lepszego życia. W ucieczce z rodzinnej wsi – od niechcianego narzeczonego i rodzicielskich wizji – najdalej, jak się dało: do Warszawy. A że w stolicy trzeba się gdzieś zatrzymać i z czegoś żyć – kibicowano Kasi także w roli opiekunki małego Piotrusia. Z czasem też roli dziewczyny adorowanej przez przystojnego młodzieńca, właściciela zagranicznego samochodu (co w ówczesne polskie realia pozwoliło wpisać schemat bajki o księciu), dobrze ustawionego finansowo (dzięki holenderskim tulipanom i polskim owcom).

Dla wielu zapewne nieoczekiwanie swojsko-prząśny „Kogel-mogel" oraz jego kontynuacja nie poddały się upływowi czasu. Wokół zachodziły zmiany, a rodziny, dopełniane przez kolejne pokolenia, siadały wspólnie przed telewizorem, by śledzić losy Kasi Solskiej, śmiać się z filmowych dialogów, które z czasem zaczęły żyć własnym życiem.

To może się wydać niewiarygodne, ale 30 lat od premiery pierwszej części rówieśnicy filmu doskonale rozpoznają takie cytaty jak: „Marian, tu jest jakby luksusowo", „Oj, córciu, córciu, już ty panienką długo nie pobędziesz...".

Na nośniku, zupełnie nowym wobec realiów przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku, czyli Facebooku, można znaleźć filmowe kwestie i fragmenty nagrań wywołujące wciąż żywe reakcje.

Choćby taki dialog. Rodzice Kasi szykują się do wesela, ojciec wyciąga z tapczanu kolejne butelki: „Babka Maliszewska" – mówi. „Babci nie licz" – koryguje żona. „A co, babka chora?". „Nie. Dla babki słodkie. Wyciągnij spirytus, trzeba ukręcić z jajkami, jak mu tam: kogel-mogel".

Gdy Kasia komentuje: „Przecież można by tym upić stado słoni", słyszy: „Przecież dla przyjemności nikt nie pije. Tylko jak mus".

Kolejna riposta matki (na: „Ale ja go nie kocham"): „To i nawet lepiej, bo od tej miłości to człowiek całkiem głupieje. A jak sobie tak na spokojnie »wykarkuluje«, to już inna kalkulacja".

I znów ojciec, który „tylko delikatnie i kulturalnie" zwraca się do zawiedzionego odmową dziewczyny wiejskiego absztyfikanta: „Powiem jak w telewizji, panie Kolasa. Na dzień dzisiejszy ona to przyjęła do aprobującej wiadomości".

Albo taka rozmowa: „To ile gości będzie?". „Kameralnie. 150". „No pewnie, te huczne śluby to już przeżytek".

Jest jeszcze jeden powód, dzięki któremu sympatia do „Kogla-mogla" trwa. Piosenka przepięknie zaśpiewana przez Edytę Geppert, z muzyką Seweryna Krajewskiego i tekstem Marka Dagnana: „Na chwilę przed odlotem/ Wśród ptasich stad/ W zawiłym horoskopie/ Na tysiąc lat/ W otwartym nagle oknie/ W cieniu za firanką/ Wśród ludzi na przystanku/ W słońcu i we mgle/ Szukaj mnie/ Cierpliwie dzień po dniu/ Staraj się podążać moim śladem...".

Podążając śladami dawnych bohaterów, z utworem wykonanym tym razem przez Anię Rusowicz i Sławka Uniatowskiego, przychodzą twórcy najnowszej części filmu. Proponują „Miszmasz, czyli kogel-mogel 3". Czy to, co ukręcili, spodoba się widzom? Zobaczymy.

Jolanta Gajda-Zadworna



Katarzyna Łaniewska i Grażyna Błęcka-Kolska na planie „Galimatiasu" (reż. Roman Załuski)

Fot. Studio Filmowe Kadr 1989

eprasa.pl 7b31e575ab

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Tęsknię za Hübnerem

TVP Kultura przypomniała film Edyty Wróblewskiej o Zygmuncie Hübnerze – z okazji 30-lecia śmierci. To jedna z ważnych dla mnie postaci. Jego Teatr Powszechny nie tylko wprowadzał mnie w latach 70. w kulturę teatralną. On pomagał mi, wtedy bardzo młodemu człowiekowi, zrozumieć świat.

Uderzające, jak mało w tym filmie wypowiedzi samego Hübnera. Powód jest prosty: ten wspaniały aktor, reżyser i najlepszy pod słońcem dyrektor umarł w styczniu 1989 r. Nagrane przed kilku laty wypowiedzi jego współpracowników czy córki (także utrwalone nieco wcześniej wspomnienia jego żony, aktorki Mirosławy Dubrawskiej) dotykają tematów najważniejszych: zmagań z cenzurą, gry z władzą, poszukiwania wolności. On sam stawał przed kamerą w sytuacjach rytualnych, typowych dla peerelowskich mediów, mówił tam ezopowym językiem. Przemawiają więc fragmenty jego spektakli, wyjątki z jego felietonów, też zresztą ezopowe. Ale ze wspaniałą „Modlitwą" na końcu. Ten powściągliwy, taki sam w życiu, jak w swoich rolach, człowiek zabrał swoją głębię do grobu.

Jego historia to przyczynek do debaty o modelach aktywności inteligenta w PRL. Unikał zaangażowań po stronie opozycji, zawierał kompromisy. Ale efektem był teatr, który czynił Polaków lepszymi, mądrzejszymi, także bardziej obywatelskimi. Kiedy nie mógł tego robić, odchodził, jak w roku 1969, gdy przestał być dyrektorem krakowskiego Starego Teatru. Nie należał do PZPR, a w latach 80. był tolerowany jako dyrektor Powszechnego, choć materiały SB pełne są narzekań na niego. Że prowadzi teatr wierny „Solidarności". Oglądamy nawet nagranie z podpatrywania Hübnera przez służby. Dubrawska opowiada, jak odmawiał bycia konfidentem.

Napisałem kiedyś, że był twórcą o lewicowej wrażliwości, co nie jest zarzutem. Sztuka „Sprawa Dantona" Stanisławy Przybyszewskiej, od której zaczął w 1974 r. swoją przygodę z Powszechnym (reżyserował to Andrzej Wajda), to rozprawka o rewolucji z punktu widzenia lewicy. Także jego największe przedstawienie – „Lot nad kukułczym gniazdem" według Kena Keseya – przepojone było duchem lewicowego buntu. Ale możliwe, że się mylę. Że Hübner szukał w tych tekstach po prostu rozmowy o wolności. Nawet marksistowska „Sprawa Dantona", inna w duchu niż późniejszy antyrewolucyjny film Wajdy „Danton", dotykała pytania o granice przemocy państwa.

W „Rozmowach z katem" Kazimierza Moczarskiego, które reżyserował Wajda, a dyrektor adaptował, mamy rozmowę o totalitaryzmie na przykładzie nazistowskiego zbrodniarza Stroopa. Ale w jednej ze scen grający Moczarskiego Hübner wracał pobity z ubeckiego przesłuchania. I publika wiedziała w roku 1978, czyje to było więzienie. „Spiskowcy", adaptacja Josepha Conrada dokonana wspólnie z Michałem Komarem, wprost już pytała o konsekwencje rewolucyjnego nihilizmu, który może się zmienić w despotyzm. Wystawili to w styczniu 1980 r. niczym jedno z proroctw przełomu.



Hübner to nie tylko rozmowa o rzeczach najważniejszych. Ja te przedstawienia pamiętam, czasem lepiej niż premiery sprzed pół roku, bo były wspaniałym teatrem. Zgromadził jeden z najlepszych zespołów: z Pszoniakiem, Kowalskim, Fettingiem, Benoit, Pawlikiem, Kaczorem, Zelnikiem, z Żółkowską, Dałkowską, potem z Gajosem, Jandą czy Zapasiewiczem. Ten teatr się wtrącał, ale mądrze, z klasą, w rozmowie z widzami.

Kiedy przechodzę obok budynku na Zamoyskiego, myślę za każdym razem, jaki dorobek roztrwoniono.

Piotr Zaremba

92/0119/F

Irena Dziedzic: kto ją jeszcze pamięta?

Na cmentarzu w podwarszawskich Laskach 14 stycznia 2019 r. grupka przyjaciół pożegnała 93-letnią Irenę Dziedzic. Dzisiejszym trzydziestolatkom to nazwisko nic nie mówi, ale w czasach PRL, gdy prowadziła „Tele-Echo" i festiwale sopockie, skupiała uwagę milionów. Budziła kontrowersje: podziw i sympatię jednych, zawiść oraz niechęć innych



Fot. EAST NEWS/ZENON ZYBURTOWICZ



ADAM CIESIELSKI

Reżyser Jerzy Gruza, który od początku realizował „Tele-Echo", w swych wspomnieniach „40 lat minęło jak jeden dzień" (Wyd. Czytelnik, 1998) nie ma wątpliwości co do wymiaru zjawiska. „Irena była prawdziwą gwiazdą telewizyjną. Ostrą, zadziorną, inteligentną i... groźną. Wszyscy się jej bali, a marzyli, by być przez nią »przepytani«. Bo ona przepytywała! Było coś sadomasochistycznego w uleganiu tej kobiecie. Ludzie o siwych włosach, naukowcy z wieloletnim dorobkiem, artyści, działacze drżeli jak osiki na wietrze, gdy Irena, znad swego kajecika z notatkami, zadawała tak zwane trudne pytania".

„Tele-Echo" cieszyło się olbrzymią oglądalnością. W ciągu ćwierćwiecza (1956–1981) istnienia programu dziennikarka miała 12,5 tys. rozmówców – od Melchiora Wańkowicza, Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Pendereckiego, Tadeusza Kotarbińskiego, Marii Janion, po gwiazdy sportu, kabaretu, muzyki pop i rocka. Mniejszym zainteresowaniem cieszyły się emitowane przez TVP w latach 1983–1991 „Rozmowy Ireny Dziedzic".

Słynęła z perfekcjonizmu. Nie tylko w telewizji, którą jako młody człowiek rzadko oglądałem. Znakomicie sprawdzała się też w znacznie bliższej mi dziedzinie: na estradzie. Elegancją słowa, refleksem błysnęła już na pierwszym festiwalu sopockim w 1961 r. Prowadziła wtedy konferansjerkę w parze z aktorem Mieczysławem Voitem, drugą parę zaś stanowili Zofia Słaboszowska z Lucjanem Kydryńskim. Potem w Operze Leśnej dominował już duet Dziedzic–Kydryński. Równać się z nimi mogła dopiero Grażyna Torbicka.

Popularność niejedno ma imię. W swojej książce „Teraz ja... 99 pytań do mistrzyni telewizyjnego wywiadu" (Wyd. Reporter, 1992) Irena Dziedzic podaje przykłady nieokiełznanej ciekawości rodaczek, które zaczepiały ją na ulicy, chcąc namacalnie się przekonać, ile prawdy jest w plotkach o jej niezliczonych operacjach plastycznych. Relacjonuje także jeszcze bardziej uporczywe zainteresowanie służb specjalnych, które miały ją nachodzić, a nawet zabiegać w TVP o zdjęcie jej programów z anteny.

W 2006 r., kiedy jej nazwisko pojawiło się wśród pracowników mediów mogących być w czasach PRL tajnymi współpracownikami SB, wystąpiła o autolustrację. Proces na różnych szczeblach, ze zmiennymi kolejami, toczył się kilka lat. W 2013 r. sąd apelacyjny uznał, że Dziedzic nie była kłamcą lustracyjnym. Wyrok w 2014 r. potwierdził Sąd Najwyższy, oddalając kasację prokuratora generalnego.

Tych tematów nie dotyka dostępny właśnie na YouTubie film Bohdana Kezika „Ona trzęsła telewizją". Bohaterka przybliża w nim m.in. żmudne lata doskonalenia się, z troską mówi o upadku profesjonalności w dzisiejszym dziennikarstwie telewizyjnym, bez względu na jego barwy. Jak opowiadał mi twórca filmu, legendarny muzyk, laureat festiwalu opolskiego z Kwartetem Warszawskim, Irena Dziedzic latem 2017 r. przyjechała do niego na zdjęcia w doskonałej formie, z wynajętą przez siebie kosmetyczką czuwającą nad makijażem.

Do niedawna udzielała się towarzysko w kręgu artystów swego pokolenia, w niedziele regularnie bywała na mszach w kościele środowisk twórczych. Po upadku przed własnym domem na Saskiej Kępie stan jej zdrowia się pogorszył. Jesienią ubiegłego roku trafiła do szpitala, zmarła 5 listopada 2018 r.

Ksiądz Andrzej Luter, prowadzący ceremonię pogrzebową w Laskach, wyznał, że kilkakrotnie rozmawiał z panią Ireną. – Ostatnie spotkanie to właściwie pięć godzin monologu. Była niełatwym, twardym człowiekiem. [...] Żyła samotnie, ale bystrość, erudycję i inteligencję zachowała do końca – powiedział.

eprasa.pl 7b31e575ab



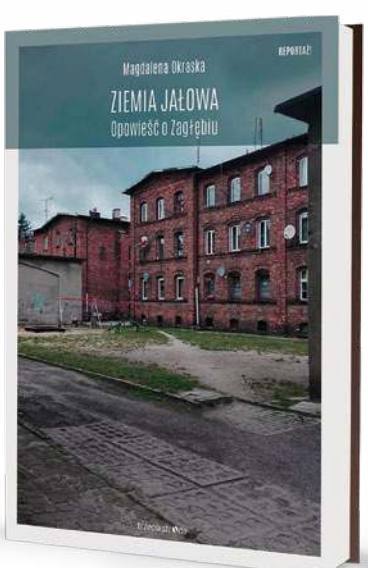
Wojciech Stanisławski

Miasta zabite płytą pilśniową

Potępianie „transformacji" jest dziś w modzie. Magdalena Okraska zaczęła jednak opisywać zapaść Zagłębia, zanim to było modne

To są obrazy, które znamy wszyscy, które domagały się nazwania, „światy nieprzedstawione", które istniały o krok, zanim Degas nie namalował prasowaczek bielizny, a Zola i Reymont nie opisali robotników. Można czytać „Ziemię jałową" wciąż i wciąż, pięć szóstych mieszkańców Polski – bo tylu jest w sumie mieszkańców małych miast oraz metropolii, którzy też jednak jadą czasem przez stacje położone z dala od centrum, szukają czegoś w „gorszych dzielnicach", skręcają za róg odnowionej kamienicy i widzą ścianę oficyny z płatami odparzonego tynku – będzie rozpoznawało znajome ujęcia. Peron pierwszy, drugi i czwarty, nieczynny, przegrodzone tłoczoną blachą schody, zamknięty od dawna sklep rybny. Młodzieńcy z pitbullem na smyczy wydają się wzięci wprost z banalnego (a są inne?) utworu rapera, ale w szkicach Magdaleny Okraski są przecież jeszcze kobiety w oknach, „zmęczeni mężczyźni na balkonach, dopalający papierosa, w żonobijkach", małe rynki, na które znienacka wyprowadza nas ulica, tajemnicze i smutne jak z Chirico, tylko z kontenerami na używane ubrania.

„Ziemia jałowa" opisuje te przestrzenie z czułością i pretensją, które udzielają się czytelnikom. Wydaje nam się, że nie zniesiemy już więcej tych małych gastronomii, domowego żurku oferowanego za dwa złote w plastikowych karbowanych kubkach, witryn lombardów, dusznych kotar w lokalnych kinach, sarkazmu wobec „pozornej rewitalizacji", która sprowadza się do ładniejszej kostki i kilku ciężkich ławek, oburzenia na sieć „chwilówek", ale czytamy dalej o zamykających się pizzeriach, zmumifikowanych niedopałkach, o tym, że „ściany garaży mogą już tylko szczegółowo informować przejeżdżających podróżnych o tym, czy serce warto oddać Ruchowi, czy Zagłębiu Sosnowiec. Oraz kto kurwy, a kto nie. Bo zawsze ktoś kurwy". I nagle, w tym smutku Polski, która nigdy nie podniosła się z transformacyjnej zapaści, błyska słońce w brudnej kałuży, błyska fraza „Autobus numer 769 pachnie rosołem". Dawno nie było podobnego pisania o mieście – a przecież to zaledwie jeden z wymiarów tej książki.



Magdalena Okraska (tekst i zdjęcia), „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu", Wydawnictwo Trzecia Strona, 2018

„Ziemia jałowa" ma już swoją renomę i recenzje, chociaż na rynku jest zaledwie od miesiąca, ale ciągle jeszcze może zostać odebrana na wiele sposobów, zostać poprowadzona przez odbiorców w różne strony. Jest trochę jak człowiek u progu dorosłości, jak – autorce o mocnej wrażliwości feministycznej nie spodoba się ten koncept, ale co począć – młoda kobieta „na wydaniu" z modernistycznej powieści, wahająca się, czy wyjść za malarza, czy za inżyniera.

Tę świetną literacko, reportersko aktualną opowieść o Zagłębiu Dąbrowskim pokolenie po przemianie, jaką przyniósł rok 1989, łatwo będzie, może za łatwo, skonsumować politycznie. Opis dramatów ludzkich, jakie pociągnęła za sobą „transformacja", chociaż nie jest to pierwsza tego rodzaju próba, rzadko brzmiał tak przejmująco. Okraska tworzy go na dwóch poziomach, opisując nie tylko dramaty poszczególnych rodzin i zakładów dotkniętych bezrobociem, lecz również stan zapaści cywilizacyjnej, końca ładu, który porządkował życie miasta z kopalnią, hutą czy przędzalnią w tle; zapaści, którą skojarzyć można z zagubieniem podbitych ludów Oceanii, które pozbawiono nie tylko ziemi i wolności, lecz także bogów.

Trzeba się cofnąć pamięcią o kilkadziesiąt lat, by przypomnieć sobie, że ten ład, który wydawał się tak naturalny, tak nostalgiczny jak z wyblakłej

eprasa.pl 7b31e575ab

pocztówki z lat 70., został po wojnie stworzony przemocą i bywał rozpaczliwie nieracjonalny. Zdania, w których Okraska formułuje zbyt stanowcze werdykty, kiedy bez cudzysłowu pisze o „zbrodni transformacji", a z drwiną o „niewidzialnym języku rentowności i zysku", potrzebują polemiki. Bez nich te zarzuty mogą się stać pożywką już nie dla współczucia, oburzenia czy nostalgii, lecz apologii PRL. To oskarżenia, w moim przekonaniu, stawiane zbyt całościowo i bez zrozumienia ani dla kondycji różnych zakładów, ani dla fenomenu fikcyjnej, „księżycowej" ekonomii realnego socjalizmu. Nędza Będzina i Dąbrowy Górniczej połowy lat 80. nie była mniej dotkliwa od dzisiejszej, tylko mniej jaskrawa. To też był stan zapaści, tylko bez krzyczących kontrastów, bez płacht ogłaszających łatwą dostępność „chwilówek" i bez katastrofy demograficznej: liczne dzieci zakażały się żółtaczką z wielorazowych strzykawek, poddani PRL gaśli z braku benzyny, masła, wenflonów i koloru w witrynach.

Nie należy jednak czynić autorce zbyt poważnego zarzutu z tych kilku generalizacji. Ocala swoją uważność, śledząc indywidualne losy, unikając łatwych oskarżeń. Kiedy opisuje próbę odtworzenia żydowskiej, przerwanej Zagładą przeszłości Będzina i jej umiarkowane powodzenie (odrestaurowana kamienica, miejsce pamięci i kawiarnia, odżywa za sprawą turystów, dla miejscowych jest niewidoczna, a czasem skalana graffiti), dostrzega i rozumie, że takie zachowania dyktuje „nie – niechęć do Żydów, jak chcą to widzieć założyciele inicjatywy, nie »słynna polska nienawiść i nietolerancja«", tylko niska, ale jakoś zrozumiała, zawistna „niechęć do nowego, błyszczącego i odremontowanego". Kiedy przywołuje ludzi, którzy próbują w Zagłębiu coś zmienić, którzy kiedyś bronili kopalni przed syndykami masy upadłościowej, a dziś składkowymi siłami tworzą świetlice na zakazanych osiedlach, widać, że pisze to aktywistka Stowarzyszenia „Obywatele Obywatelom", która schodziła nogi na podobnych ulicach, przy okazji (to jeszcze jeden atut tego reportażu) podejmując błyskotliwą próbę zdefiniowania terytorium Zagłębia Dąbrowskiego, pokazując, jak różnie przebiegają granice dyktowane geografią fizyczną, historią, industrializacją, kulturą.

Schodziła Zagłębie z aparatem fotograficznym. Ilustrujące książkę zdjęcia, czasem równo skadrowane, czasem robione z ręki, by złapać widok straganu, stos konewek – gdyby wydać je osobno, złożyłyby się na minialbum Zagłębia i innych upadłych regionów, upadłych miast. To już nie rękodzieło ogródków działkowych, które oglądaliśmy niedawno w świetnych „Wyrobach" Olgi Drendy: to boczne ściany blaszanych hal, spękane rampy z czarnym zaciekiem towotu, rozjeżdżone szutrowe place między garażami z cegły silikatowej: postindustrial post-komunizmu. I znienacka, w tekście albo na kolejnym zdjęciu, „sześćdziesięciotysięczne miasto milczy w słońcu". To podbicie frazy, zawadiackość spojrzenia, czułość i gniew wydają się stałą składową stylu autorki, której kolejnej książki bardzo będę ciekaw.

Stalker

Są też inne ziemie jałowe, ziemie Ulro, spustoszone za sprawą zapaści już nie gospodarki, lecz cywilizacji. Przewodnicy, prawdziwi stalkerzy, którzy potrafią po takiej ziemi prowadzić i potrafią z niej wyprowadzić, są bardzo potrzebni. Tymczasem przeglądając poradniki duszpasterskie, wywiady i nauczania, których sporo znaleźć można w każdej księgarni parafialnej, nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że wielu ich autorom brakuje trochę do kompetencji przewodnika. Mówiąc w uproszczeniu – dokąd się da, przymykają oczy na rzeczywistość we wszystkich jej przejawach, marząc, by czas po prostu się cofnął o pół wieku, może więcej, gdzie mniej było wyzwań, gdzie takie ładne książki pisał Dobraczyński, a dziewczęta były skromniejsze. Lękają się (niebezpodstawnie) współczesności, ale też nie próbują jej rozpoznać.



Ks. Jerzy Szymik, „Zachwyt i inne skutki wiary", Teologia Polityczna, 2018

Tym lepiej, jeśli zdarzy się poeta i teolog (ratzingerysta!), który sięga po Houellebecqa i „Wysokie Obcasy", ogląda „Pokot" i słucha, a przynajmniej zna Taco Hemingwaya, nie ulegając zarazem ckliwemu złudzeniu „możliwości bezkonfliktowego pogodzenia Kościoła i świata". Przeciwnie: ostro widzi apokaliptyczność czasu, przypomina, w erudycyjnym i celnym odczytaniu Pisma, że odległa kraina, do której trafił syn marnotrawny z przypowieści, to „regio dissimilitudinis", „kraina, gdzie wszystko jest inaczej". To ziemia jałowa, po której zdarza się stąpać coraz częściej, kraina jak z mrocznej wizji Miłosza, gdzie „grali w niby-karty i był zapach niby-kapusty/ i niby-wódka, niby-brud i niby-czas". Dobrze, że mniej mając ostatnio okazji do czytania szkiców ks. Szymika na łamach „Gościa Niedzielnego", można znaleźć je wydanym przez Teologię Polityczną zbiorku.

eprasa.pl 7b31e575ab



Wielki powrót detektywa

Po porażce artystycznej drugiego sezonu „True Detective" wydawało się, że Nick Pizzolatto nie wróci do fenomenalnego stylu, którym powalił filmowy świat na kolana w 2014 r. Po dwóch odcinkach trzeciej odsłony antologii śmiem twierdzić, że może być ona najlepszą.

Siłą pierwszego „Detektywa" były utrzymany przez wszystkie odcinki ciężki i złowieszczy klimat śledztwa, precyzyjnie skonstruowany i zaskakujący scenariusz oraz pełne sprzeczności, świetnie rozpisane postacie. W pierwszych odcinkach nowej serii te wszystkie elementy doskonale się zazębiają, przypominając, dlaczego pierwszy sezon był tak ważny dla gatunku, jakim jest kryminał.

Akcja trzeciego „Detektywa" toczy się równolegle w trzech okresach – w latach 1980, 1990 i 2015. Zdobywca Oscara za „Moonlight" Mahershala Ali wciela się w detektywa Wayne'a Haysa. Świeżo owdowiały były policjant udziela wywiadu ekipie dokumentalistów. Opowiada o sprawie, która naznaczyła jego życie przez ostatnie 35 lat. Makabryczne porwanie dwójki dzieci wpływa nie tylko na społeczność miasteczka w sercu hrabstwa Ozark, lecz również na samego Haysa. Pizzolatto zadbał o to, by postać detektywa miała w sobie tajemnicę i intrygującą przeszłość.

Hays w Wietnamie służył jako zwiadowca, co powodowało, że musiał spędzać samotnie wiele czasu w dżungli. Teraz swoje wyjątkowe umiejętności wykorzystuje podczas poszukiwań 12-letniego Willa i jego 10-letniej siostry Julii. Tylko czy świat, w który wchodzi, nie jest koszmarem jeszcze większym niż wojna? Znów jak w pierwszym „Detektywie" w śledztwie pojawiają się złowieszcze symbole. Mroczna tajemnica jest doskonale rozciągnięta na trzy dekady, które przenikają się na ekranie. Bardzo sprawnie twórcy dotykają przemian obyczajowych i społecznych problemów (ciekawy wątek weteranów wojennych). Akcja zaczyna się w roku, w którym umarł Steve McQueen, co bohaterowie kilka razy przypominają. McQueen, czyli jeden z symboli Ameryki.

Znakomitą rolę tworzy Ali, który musi zagrać człowieka ze stanami psychicznymi naznaczonymi kolejnymi etapami śledztwa. Aktor jest równie przekonujący jako schorowany starszy pan (co za znakomita charakteryzacja!), doświadczony gliniarz i zmagający się z frustracją młody policjant. Twórcy nietuzinkowo budują relacje między detektywem a miejscową nauczycielką, pisarką Amelią (Carmen Ejogo). Widać też chemię między Alim a Stephenem Dorffem wcielającym się w jego partnera Rolanda Westa. Cały ciężar produkcji złożono na barkach Alego, co różni tę część antologii od poprzednich.

To bardzo dobra zmiana. Mahershala Ali wciąż jest aktorem nieograny i wyjątkowo charyzmatycznym. „Detektyw" pozwala zrozumieć, dlaczego ten rok w kinie będzie należał do niego.

„DETEKTYW", SEZON 3. DOSTĘPNY NA HBO GO I W HBO



VOD/TV

DVD

Rozdzierająca serce przypowieść

Przegapiliście ten wspaniały film w kinach? Możecie ten fatalny błąd teraz naprawić. Jeden z najciekawszych włoskich reżyserów Matteo Garrone dał nam prawdziwą perłę kinematografii. Reżyser „Gomorry" opowiada o Marcellu (obsypana nagrodami rola Marcella Fonte), psim fryzjerze, który jest lokalnym ulubieńcem na blokowisku na przedmieściach Rzymu. Bezgranicznie kocha psy i swoją córkę, z którą widuje się w weekendy. Jego dobroć wykorzystuje lokalny bandyta Simone (Edoardo Pesce). Zmusza go do brania udziału w kradzieżach i wikła w handel narkotykami. Simone to bestia jak najbardziej nieokiełznane psy z zakładu Marcella. Matteo Garrone umieszcza akcję w konkretnym czasie i miejscu. Jednak opowiada historię uniwersalną. Gdzieś na przedmieściach Rzymu, w skąpanym w szarzyźnie i brudzie blokowisku mieszkają ludzie pozbawieni marzeń. Pełni frustracji. Zamknięci w klatce. „Dogman" rozdziera serce. Powala na ziemię szokującym finałem. Garrone nakręcił przypowieść o odrzuceniu, zemście i odkupieniu. Wielkie kino.



„DOGMAN", REŻ. MATTEO GARRONE, DYSTR. M2FILMS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 7b31e575ab

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



„Wojownik" po polsku

Bałem się, że pierwszy polski film o MMA będzie nieznośną podróbką „Rocky'ego" czy „Wojownika" również opowiadającego o mieszanych sztukach walki. Na stołku reżyserskim zasiadł Maciej Kawulski, filmowy debiutant zajmujący się galami KSW. W jednej z ról obsadzony został niemający żadnego doświadczenia aktorskiego Mamed Khalidov. To był przepis na porażkę. A jednak wyszedł kawałek naprawdę dobrego kina.

Borys „Kosa" Kosiński (Eryk Lubos) jest gwiazdą MMA. Wygrywa swój najważniejszy pojedynek z Denim Takaevem (Mamed Khalidov), zabierając mu pas mistrza. Zostaje jednak złapany na dopingu i zwieszony w federacji. Wraca do rodzinnego Ełku. Uzależniony od przeciwbólowych leków zapijanych alkoholem pracuje w szemranym klubie nocnym. Nie chce więcej wychodzić na ring. Jednak zgodnie ze starym, dobrym powiedzeniem Rocky'ego Balboy: „Każdy zawodnik ma jeszcze jedną, ostatnią walkę do stoczenia". Kosa skrzyżuje więc rękawice ze swoim głównym oponentem. Najpierw będzie musiał pokonać mrok we własnej duszy.

Oglądaliśmy tę historię już wiele razy. Raz wojownikiem był bokser, innym razem kickbokser, a jeszcze innym zapaśnik. Nie widzieliśmy jej jeszcze w wydaniu polskim. W kilku momentach uwidocznia się niedoświadczenie reżyserskie Kawulskiego. Brak odpowiedniej choreografii walk umiejętnie maskuje uderzeniami w slow motion (brawa za zdjęcia dla Bartosza Cierlicy). Rozbrajający jest też montaż scen treningu wojownika, które swoją popularność zawdzięczają serii o Włoskim Ogierze o nazwisku Balboa. Kawulski przeciąga trening do 20 minut (sic!), wyjątkowo chętnie zwalniając tempo, robiąc zbliżenia na kapiący pot Kosy i pokazując każdy aspekt treningu „twardziela w mazurskich lasach". Cóż, nie przez przypadek ostatnia scena filmu jest żywcem i bezczelnie przepisana z jednej części „Rocky'ego".

Lubos ze swoją hardocorową aparycją jest idealny do roli wojownika o gołębim sercu. Aktor ma kilka chwytających za serce scen. Imponuje też jego fizyczne przygotowanie do roli. Dobrą rolę tworzy lubująca się ostatnio w męskim kinie („Kobiety mafii") Aleksandra Popławska, grająca romansującą z Kosą panią weterynarz. Show kradnie jednak (nie pierwszy raz) Janusz Chabior jako trener Kosy cierpiący na zespół Tourette'a. To postać zlepiona ze schematów kina sportowego (ma nawet melonik), ale w wykonaniu naszego speca od „maderfakowania" na ekranie dostaje wyjątkowej energii. Zaskakuje też Mamed Khalidov, który albo ma wrodzony aktorski talent, albo się przyłożył do roli, nie popadając w typową dla amatorów sztuczność.

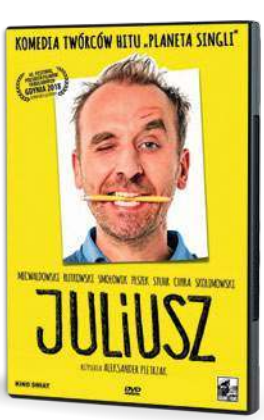
„Underdog" byłby lepszym filmem, gdyby nie wyglądający jak dopisany na siłę wątek z rosyjską mafią. Nie wiem, po co w filmie aspirującym do klasycznego dramatu sportowego, wrzucać klimat sensacyjnych filmów Vegi. Ciekaw jestem natomiast, ile do filmu dołożyło się mazurskie miasto Ełk. Dawno nie widziałem w polskim kinie tak świetnie skrojonej reklamy turystycznej. Mnie to cieszy. W końcu mieszkam w Olsztynie. Mamed też tutaj z jakiegoś powodu został.

„UNDERDOG", REŻ. MACIEJ KAWULSKI, DYSTR. NEXT FILM

Błyskotliwa komedia

DVD

„Juliusz" dowodzi, że polska komedia nie umarła. Dzięki wymieszaniu specyfiki amerykańskiego stand-upu i najlepszej tradycji polskiej komedii można powiedzieć, że mamy do czynienia z nową jakością w tym gatunku. „Juliusz" został napisany przez komików uprawiających tę niezwykle trudną i wymagającą formę komedii. Świetne role Mecwaldowskiego, Peszka, Smołowik i Skolimowskiego, błyskotliwy scenariusz uciekający od marności większości polskich kabaretów i Aleksander Pietrzak u sterów. Młody reżyser zachwycił mnie już swoim krótkim metrażem „Ja i mój tata". Ten słodko-gorzki film o przemijaniu, szorstkich ojcowsko-synowskich relacjach i chorobie pokazał wyjątkową społeczną wrażliwość reżysera. Nic dziwnego, że te wątki rozwinął tutaj. Pietrzak doskonale miesza z sobą specyficzną dla stand-upu wulgarność, humor jadący po bandzie politycznej poprawności ze wzruszającą opowieścią o dojrzałości i ojcostwie. Wciąż fascynuje go ten temat. Wciąż go rozdrapuje i się z nim wadzi. Robi to jednak z humorem zmieszanym z sentymentalizmem. Niegrzeczna, ale mądra komedia.



„JULIUSZ", REŻ. ALEKSANDER PIETRZAK, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 7b31e575ab



Nowa dywizja ma wzmocnić polskie siły zbrojne na terenach na wschód od Wisły. Ten obszar Polski od końca II wojny światowej był wyjątkowo zaniedbywany pod względem możliwości obronnych. Teraz ma się to zmienić

MON buduje 18. Dywizję Zmechanizowaną



ARTUR JAGNIEŻA

Drugie półrocze 2018 r. przyniosło kilka istotnych decyzji resortu obrony narodowej dotyczących wzmocnienia polskiej obronności w perspektywie kilku lat. Obok podpisania długo oczekiwanego kontraktu na zakup systemu obrony powietrznej i przeciwrakietowej średniego zasięgu Wisła, minister obrony narodowej podjął 5 września 2018 r. bardzo ważną decyzję oznaczoną sygnaturą Z65/ORG/P1. Chodzi o budowę na wschód od Wisły czwartej dywizji wojsk lądowych w postaci 18. Dywizji Zmechanizowanej. Decyzja ta jest logiczną konsekwencją oceny aktualnego potencjału i zasobów polskich sił zbrojnych stanowiących element wschodniej flanki NATO.

LIKWIDACJA W LEGIONOWIE

Dla osób zorientowanych nie jest tajemnicą, że Polska po wyjściu z Układu Warszawskiego odziedziczyła nierównomierną i niekorzystną z punktu widzenia potrzeb obronnych strukturę garnizonów wojskowych na własnym terytorium. Przez cały okres po 1945 r. władze komunistyczne w Warszawie przygotowywały się do wojny z państwami NATO, dlatego duża część najsilniejszych garnizonów została zlokalizowana na zachodnich i północnych terenach Polski. Należy też zaznaczyć, że Rosjanie nawet w tamtym okresie pilnowali, aby strona polska w ramach Ludowego Wojska Polskiego zbytnio nie wzmacniała swojego poten-

eprasa.pl 7b31e575ab

cjału na wschodzie. Celem tego zabiegu było pilnowanie bezbronności Polski na kierunku wschodnim.

Odzyskanie suwerenności w 1989 r. nie zmieniło tego stanu rzeczy. Armia z oczywistych społeczno-ekonomicznych powodów przeszła w latach 1989–1993 proces gwałtowanej i wymuszonej redukcji, czego wyrazem były likwidacja całych jednostek oraz hurtowe wycofywanie ze stanu armii używanego sprzętu. W konsekwencji oznaczało to także likwidację wielu garnizonów i poligonów, również części tych nielicznych na wschodzie kraju. Ciągle podnoszony postulat optymalizacji kosztów funkcjonowania sił zbrojnych oraz poczucie braku zagrożenia spowodowały, że w latach 90. proces likwidacji garnizonów przybierał na sile bez względu na istniejące w Polsce koalicje rządowe. W pierwszej kolejności dotyczyło to garnizonów, których atrakcyjne nieruchomości położone w centrum miast stawały się łupem firm deweloperskich; w drugiej zaś – nieruchomości zlokalizowanych w pobliżu dużych aglomeracji miejskich albo przy ważnych węzłach komunikacyjnych, które zazwyczaj miały także istotne znaczenie operacyjne z punktu widzenia potrzeb wojskowych. Próba zahamowania tego procederu w czasach rządu AWS nie powiodła się. Niewątpliwie przyczyniła się do tego również wymuszona intrygą opartą na nieuzasadnionych zarzutach dymisja ówczesnego wiceministra obrony Romualda Szeremietiewa.

Apogeum likwidacji garnizonów na wschód od Wisły osiągnięto w czasie, kiedy funkcję ministra obrony narodowej pełnił nominat Platformy Obywatelskiej Bogdan Klich. To wtedy podjęto brzemienną w skutkach decyzję o likwidacji 1. Dywizji Zmechanizowanej w Legionowie, a co za tym idzie – jej jednostek zlokalizowanych m.in. w Siedlcach, Chełmie oraz Zamościu. Dziś trudno byłoby znaleźć poważnego analityka lub wojskowego nawet z szeregów opozycji, który chciałby bronić podjętej wtedy decyzji.

PRZYCZYNY ROZBUDOWY

Decyzję o budowie 18. Dywizji Zmechanizowanej z siedzibą w Siedlcach najprościej można byłoby wytłumaczyć koniecznością naprawy skutków decyzji o zlikwidowaniu dywizji w Legionowie. To w jakiejś mierze prawda, niemniej sprawa jest o wiele bardziej złożona. Historia kolejnych agresji z kierunku wschodniego pokazuje, że bez względu na czas armia rosyjska usiłuje maszerować na Warszawę sprawdzonymi traktami smoleńskim i brzeskim. Tak było m.in. w latach 1794, 1813, 1831, 1920 oraz w roku 1944. Trudno zakładać, że obecnie miałoby być inaczej. Potwierdzają to przeprowadzane systematycznie symulacje i gry strategiczne. Stąd oczywista konieczność wojskowej osłony kierunków wyprowadzających uderzenie na stolicę ze strony wschodniej, w tym bramy brzeskiej.

W planowaniu strategicznym dotyczącym budowy nowej dywizji nie sposób też nie dostrzegać tego, co się dzieje w relacjach rosyjsko-ukraińskich. W przypadku unicestwienia przez Moskwę państwowości ukraińskiej (czego nie można dziś wykluczyć) oznaczać to będzie konieczność zabezpieczenia terytorium Polski od strony wschodniej z kierunku wołyńskiego i bramy przemyskiej. Stąd w planach Sztabu Generalnego Wojska Polskiego myśl, aby pododdziały odtwarzanej dywizji stacjonowały nie tylko w Siedlcach, lecz także w Hrubieszowie, Lublinie oraz Zamościu. Istotnym z kolei sojuszniczym czynnikiem wojskowym przemawiającym na korzyść koncepcji budowy nowej dywizji jest to, że stacjonujące rotacyjnie pododdziały NATO skoncentrowane są w północno-wschodniej Polsce, a to przemawia z kolei za koniecznością powołania nowego związku dywizyjnego w środkowo-wschodniej i południowo-wschodniej części Polski.

Szukając merytorycznych przesłanek decyzji o budowie 18. Dywizji Zmechanizowanej, nie sposób pominąć wniosków z przeprowadzonego w 2016 r. pod kierunkiem wiceministra obrony narodowej Tomasza Szatkowskiego Strategicznego Przeglądu Obronnego. W opublikowanej na jego podstawie Koncepcji Obronnej Rzeczypospolitej Polskiej zapisano jednoznacznie: „Analizy przeprowadzone w ramach SPO wykazały, że istnieje potrzeba utworzenia czwartej dywizji wojsk operacyjnych". Konieczność budowy czwartej dywizji wojsk lądowych podnosi także generał broni Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, znany przecież z krytycznych opinii wobec obecnej ekipy w MON.

Nie bez znaczenia przy rozważaniach dotyczących zasadności budowy 18. Dywizji Zmechanizowanej jest konieczność zapewnienia stronie polskiej zdolności przeciwzaskoczeniowych na wschód od Wisły oraz posiadania na miejscu jednostek wysoce ukompletowanych sprzętowo i kadrowo, które nie muszą tracić czasu na przemieszczenie się na pozycje wyjściowe przez terytorium państwa i będą w stanie w ciągu kilku godzin wyjść na wymagane pozycje. Dla wojskowych nie jest przecież tajemnicą, że rozciągnięta w marszu dywizja stanowi łakomy przedmiot obserwacji satelitarnej i dronowej, będąc przy tym wymarzonym celem dla lotnictwa agresora. Zresztą znając przepustowość naszych dróg i mostów, nietrudno skonstatować, że sam manewr do bitwy na Podlasiu czy Roztoczu spod Żagania może zostać obiektywnie opóźniony ze względu na uwarunkowania infrastrukturalne, w tym w szczególności nośność naszych cywilnych mostów.

TRADYCJA ZOBOWIĄZUJE

Wyznaczenie liczby 18 na oznaczenie numeru nowej dywizji ma wymiar symboliczny w kontekście obchodów setnej rocznicy odzyskania niepodległości oraz nawiązuje wprost do najchlubniejszych tradycji oręża polskiego, w których zapisała się 18. Dywizja Piechoty. Jej 33. pułk w 1919 r. brał udział w walkach na Białorusi, w bitwie pod Kłeckiem i na południe od Połocka. Z kolei 42. pułk piechoty w ramach 18. Dywizji brał udział w 1920 r. w wyprawie kijowskiej, a w czasie dramatycznych walk w sierpniu 1920 r. wespół z 71. pułkiem piechoty walczył w ramach 5. armii gen. Władysława Sikorskiego nad Wkrą, walnie przyczyniając się do klęski Sowietów. To wtedy pododdziały dywizji zasłużyły sobie na miano „Żelaznej Dywizji". Z kolei w 1939 r. łomżyńska 18. Dywizja Piechoty stanowiła podstawę obrony linii Narwi m.in. w Łomży i Nowogrodzie, w ramach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew". Nie każdy też wie, że pluton

eprasa.pl 7b31e575ab



Fot. MON/Arkadiusz Dwulatek (x2)

artylerii oraz pluton pionierów 71. pułku piechoty brał udział w dramatycznej obronie Wizny. Dlatego do dziś panuje przekonanie, że pododdziały 18. Dywizji nigdy się nie poddają.

Na organizatora i dowódcę 18. Dywizji Zmechanizowanej minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak wyznaczył ówczesnego generała brygady, a od listopada 2018 r. gen. dywizji Jarosława Gromadzińskiego. To znakomicie wykształcony oficer zarówno w polskich, jak i zachodnich uczelniach wojskowych, posiadający dużą praktykę dowódczą. Nominacja na dowódcę 18. Dywizji Zmechanizowanej odbyła się symbolicznie w 79. rocznicę agresji Rosji sowieckiej na Polskę 17 września 2018 r.

Generał Jarosław Gromadziński działał w ramach Polskich Kontyngentów Wojskowych w Iraku i Syrii, a od 2016 r. był dowódcą 15. Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej, mierząc się skutecznie z kwestią organizacji bieżącej współpracy z natowskimi grupami batalionowymi w Polsce. Ponadto od sierpnia do września 2018 r. został wyznaczony na stanowisko Szefa Sztabu 12. Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie.

JAKA DYWIZJA

Zgodnie z planami MON w skład dywizji będą wchodzić: dowództwo, batalion dowodzenia, dwie brygady zmechanizowane, jedna brygada pancerna, batalion rozpoznawczy, pułk artylerii przeciwlotniczej oraz pułk logistyczny. Dywizja będzie budowana w oparciu o istniejącą 1. Brygadę Pancerną w Wesołej oraz 21. Brygadę Strzelców Podhalańskich. Reszta pododdziałów, w tym szczególnie nowa brygada zmechanizowana, ma powstać od podstaw.

Zgodnie z przyjętym harmonogramem budowę 18. Dywizji Zmechanizowanej zaplanowano w trzech etapach. W pierwszym, już trwającym, ma nastąpić sformowanie dowództwa i sztabu dywizji oraz batalionu dowodzenia. Przewiduje się, że 1 września 2019 r. osiągną one ukompletowanie na poziomie 90 proc. w miejscu dyslokacji w Siedlcach, co pozwoli na formalne przejęcie dowodzenia nad 1. Brygadą Pancerną oraz 21. Brygadą Strzelców Podhalańskich. W etapie drugim, w latach 2020–2022, zaplanowano sformowanie brygady zmechanizowanej w Lublinie oraz pułku logistycznego. Kolejne pododdziały dywizji mają powstać do 2026 r. Docelowo w czasie pokoju 18. Dywizja Zmechanizowana ma liczyć 7 780 żołnierzy, w tym 750 oficerów, 2 160 podoficerów oraz 4 860 szeregowych.

Przedstawiony harmonogram budowy dywizji najlepiej pokazuje, że całe przedsięwzięcie nie ma – jakby chcieli jego krytycy – charakteru wyborczego, tylko jest działaniem ponadkadencyjnym.

Zamiar budowy nowej dywizji niesie ze sobą także uzasadnione pytania i wątpliwości. Do jednych z nich należy zaliczyć kwestię zasadności włączenia w skład dywizji 22. Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej, będącego częścią 21. Brygady Strzelców Podhalańskich, który stacjonuje w odległym Kłodzku. Zakładając racjonalność całego przedsięwzięcia, nie można jednak wykluczyć, że brygada podhalańska zostanie w przyszłości przeformowana poprzez dołączenie dodatkowego batalionu na obszarze województwa karpackiego, a batalion kłodzki stanie się integralną częścią Wojsk Obrony Terytorialnej w województwie dolnośląskim. Nie zmienia to faktu, że budowa 18. Dywizji Zmechanizowanej jest przedsięwzięciem w pełni uzasadnionym z wojskowego punktu widzenia. Zamiar ten z pewnością spotka się ze zrozumieniem sojuszników z NATO, pokazując, że strona polska, dążąc do zwiększenia stałej obecności wojsk NATO nad Wisłą (w szczególności wojsk amerykańskich), sama czyni także znaczące wysiłki na rzecz wzmocnienia obrony kolektywnej na wschodniej flance Sojuszu. Wszyscy przytomni planiści mają przecież pełną świadomość, że bez woli twardej obrony terytorium Polski na wschód od Wisły Sojusz Północnoatlantycki nie ma żadnych szans na przyjście z pomocą drogą lądową państwom bałtyckim w przypadku agresji na nie wojsk rosyjskich. Warto, aby uświadomili to sobie także krytycy budowy 18. Dywizji Zmechanizowanej, szczególnie byli wysocy rangą dowódcy wojskowi, którzy dziś, będąc generałami rezerwy, w swojej nader często bezrefleksyjnej krytyce poczynań resortu obrony narodowej w praktyce wybierają utrzymanie bezbronności wschodniej Polski zamiast sukcesywnego wzmacniania jej stałego potencjału obronnego na wschód od Wisły.

eprasa.pl 7b31e575ab

Śmierć zaczyna się w Wigilię

Brał udział w akcjach pod Arsenałem, Celestynowem i kilkunastu innych. W powstaniu, na Woli, Starówce i Czerniakowie, dosłużył się Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego Virtuti Militari i trzech bardzo poważnych ran. Pod lupą bezpieki Jan Rodowicz był od 1946 r., a zginął podczas przesłuchania. Nikt nie wie dlaczego. „Anoda" – to historia powstańca, która może być symbolem wielu podobnych życiorysów



Fot. IPN



WOJCIECH LADA

Przyszli po niego w Wigilię. Od końca wojny minęły już trzy lata, również trzy, od kiedy zdecydował się ujawnić przed władzami jako akowiec i zaprzestał wszelkiej działalności zakazanej przez nowy ustrój. Owszem, utrzymywał kontakty z kolegami z dawnej konspiracji, ale właśnie czysto koleżeński – namawiał, kogo się dało, do spisywania wspomnień i zachowywania pamiątek z czasów wojny. Nie był historykiem, ale miał świadomość, że uczestniczył w historycznych wydarzeniach i wszystko, co ich dotyczy, wkrótce będzie miało wielką wartość dla badaczy. I na tym polegała jego walka z systemem w grudniu 1948 r.

Poza tym był całkiem normalnym chłopakiem. Zawsze lubił się uczyć, w czasie okupacji zrobił maturę i parę kursów wojskowych, teraz postanowił kontynuować edukację na Politechnice Warszawskiej, najpierw na wydziale elektrycznym, później zaś na architekturze. I nie był aż tak bardzo opóźniony w nauce. W 1948 r. miał zaledwie 25 lat. Nic nie wskazywało na to, że może mieć jeszcze jakiekolwiek problemy z władzami. A jednak przyszli. Cykała, Kleina i Adamczak. Ta trójka brała później udział w jego przesłuchaniu.

NARODZINY „ANODY"

Jan Rodowicz, w harcerstwie i konspiracji lepiej znany jako „Anoda", urodził się w rodzinie zamożnej, inteligenckiej i dość nieprzeciętnej. Jego ojciec był profesorem inżynierii budownictwa wodnego – postacią w swojej dziedzinie wybitną: pracował m.in. nad regulacją Wisły, projektował Kanał Żerański, a także port handlowy na warszawskiej Pradze, by wspomnieć tylko najważniejsze jego projekty. Kiedy urodził mu się syn, 7 marca 1923 r., pracował w Głównej Dyrekcji Dróg Wodnych, której wkrótce potem został dyrektorem. Nic też dziwnego, że młody Rodowicz wykształcenie zaczął odbierać na dobrym poziomie. Najpierw była to prywatna szkoła powszechna, później gimnazjum i liceum im. Stefana Batorego – dość elitarne, za takie uważane nawet dziś. Tam też został harcerzem słynnej później „Pomarańczarni", gdzie dosłużył się stopnia podharcmistrza.

eprasa.pl 7b31e575ab

Miał zaledwie 16 lat, kiedy wybuchła wojna. Nie wiadomo, czy już wtedy przybrał pseudonim „Anoda", z pewnością jednak od początku był członkiem Szarych Szeregów i w ramach służby brał udział w wielu spektakularnych akcjach małego sabotażu. Wraz z przyszłymi bohaterami słynnej książki Aleksandra Zawadzkiego: ppor. hm. Janem Bytnarem „Rudym", sierżantem podchorążym Maciejem Aleksym Dawidowskim „Alkiem" i ppor. hm. Tadeuszem Zawadzkim „Zośką" wystawiał folksdojczów, malował na murach kotwice, brał udział w zamianie tablic z nazwami ulic, dzięki czemu ul. Wspólna stała się na chwilę ul. Polski Podziemnej, a al. Zieleniecka – ul. Winstona Churchilla. To akurat nie „Anoda", lecz „Alek", ale w ramach tej właśnie akcji chłopaki odkręcili niemiecką tablicę z pomnika Kopernika, odsłaniając polską, kiedy zaś Niemcy ukarali za to Warszawę, demontując pomnik Kilińskiego, oni właśnie wyśledzili miejsce jego przechowywania i poinformowali o tym miasto stosownymi napisami. Brzmi to jak dziecinne psikusy, ale w rzeczywistości musiało mieć siłę propagandową nie mniejszą niż akcje zbrojne. Te ostatnie odbywały się raz na jakiś czas – tymczasem mały sabotaż dawał mieszkańcom poczucie codziennej wszechobecności podziemia. Każdego dnia dostawali informację, że konspiracja nie śpi, a okupacja jest zjawiskiem tymczasowym.

Nie zmienia to faktu, że młodzi spiskowcy w akcjach zbrojnych również brali udział, a w dodatku w tych najgłośniejszych. „Anoda" swój Krzyż Walecznych otrzymał za słynną Akcję pod Arsenałem z 26 marca 1943 r., podczas której odbito z rąk Gestapo „Rudego" i wszystkich przewożonych z nim więźniów. Tylko nieco mniejszym echem odbiła się akcja bardziej skuteczna i mniej tragiczna w skutkach. Pod Celestynowem, w nocy z 19 na 20 maja 1943 r., młodzi akowcy uwolnili niemal 50 więźniów transportowanych do KL Auschwitz-Birkenau.

„Anoda" swój Krzyż Walecznych otrzymał za słynną Akcję pod Arsenałem z 26 marca 1943 r., podczas której odbito z rąk Gestapo „Rudego"

Kilka miesięcy później było zaś Rogoźno, gdzie dywersanci wysadzili przepust kolejowy, co sparaliżowało na jakiś czas płynność niemieckiej komunikacji. Przy opisie tej właśnie akcji nieźle charakteryzuje ówczesnego „Anodę" Aleksander Kamiński: „Patrolem dowodził »Anoda«, dwudziestojednoletni weteran jeszcze z czasów odbicia »Rudego« pod Arsenałem. Po raz pierwszy odbył tak daleką wyprawę w świat. Był więc lekko speszony i nie bardzo pewien siebie. Ostatnio dużo siedział w domu nad przygotowaniem do egzaminów w kompletach politechnicznych. Wiosenne słońce, szmaragdowa zieleń oraz powietrze ciepłego wiatru oszołomiły go. Dlatego specjalnie starannie zakładał miny i pod przepustem, i przed przepustem, i za przepustem. Na wszelki wypadek, byle tylko pociąg i przepust zagrały. W wyniku tych manipulacji w powietrze wyleciał przepust kolejowy i lokomotywa ogromnego pociągu towarowego, pełnego zaopatrzenia wojskowego (powodując wykolejenie i wywrócenie wielu wagonów), a pół godziny potem zwalił się tu jakiś pusty pociąg towarowy, rozwalając lokomotywę i gruchocząc tory. »Anoda« był uszczęśliwiony tak nieoczekiwanym sukcesem, klął siarczyście z radości, mimo że słynął w »Zośce« z flegmatycznego temperamentu".

Z tym flegmatyzmem to chyba nie tak do końca prawda, bo sam Kamiński w „Kamieniach na szaniec" wspomina o całkiem niezłym refleksie „Anody". Choćby wtedy, kiedy pod Arsenałem uratował „Alka". „Niemiec nie zdążył strzelić. »Anoda«, jeden z ludzi »Alka«, szybciej nacisnął spust swojego pistoletu i w chaosie strzałów, które nagle rozległy się na ulicy, »Alek« dostrzegł walącego się z nóg Niemca". I za to właśnie „Anoda" dostał Krzyż Walecznych. Łącznie, na przestrzeni mniej więcej roku, od połowy 1943 r. do wybuchu powstania, przeprowadzili kilkanaście poważnych akcji zbrojnych, powodujących, że Niemcy żadnego dnia nie mogli się czuć pewnie i bezpiecznie.

POWSTANIE I UPADEK

Tylko pobieżnie jesteśmy w stanie zrekonstruować jego udział w powstaniu warszawskim. Wiadomo jednak, że walczył w szeregach „Zośki" początkowo na Woli, później na Starówce, wreszcie na Górnym Czerniakowie. Był na pierwszej linii i miało to swoje skutki. Po raz pierwszy został ciężko ranny w płuco już 9 sierpnia, później jeszcze dwukrotnie na Czerniakowie. Mimo ran podczas ewakuacji Starówki przeszedł kanałami do Śródmieścia, gdzie przez chwilę kontynuował leczenie, po czym wrócił na pierwszą linię. Ostatnie rany jednak dosłownie zwaliły go z nóg. Nieprzytomnego przewieźli przez Wisłę żołnierze Berlinga i umieścili w szpitalu w Otwocku. Był już wówczas porucznikiem odznaczonym Virtuti Militari V Klasy i Krzyżem Walecznych.

Kiedy się ocknął, było już po powstaniu. Ale czy po wojnie? Tego Rodowicz, podobnie jak większość jego rówieśników, nie mógł być jeszcze pewny. Tym bardziej, kiedy dotarł do rodziny w Milanówku i nawiązał kontakt z byłymi kolegami z oddziału. Natychmiast został członkiem Delegatury Sił Zbrojnych, gdzie prowadził głównie działania wywiadowcze, choć wciąż z bronią w kieszeni. Do 15 września 1945 r. – wtedy, na wyraźne polecenie dowódcy z okresu powstania warszawskiego Jana Mazurkiewicza „Radosława", ujawnił się. I o ile wiadomo, na tym skończyła się jego konspiracyjna aktywność.

Kiedy w drzwiach jego domu przy ul. Lwowskiej stanęli por. Bolesław Cykała i por. Bolesław Kleina, był po prostu studentem Politechniki Warszawskiej. Cykała pierwszy przesłuchiwał „Anodę" jeszcze w dniu aresztowania, czyli 24 grudnia 1948 r. Natomiast Kleina był ostatnim, który widział „Anodę" żywego. To właśnie on przesłuchiwał go 7 stycznia 1949 r., kiedy por. hm. Jan Rodowicz zginął.

19/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab

FINAŁ NA KOSZYKOWEJ

Jego aresztowanie nastąpiło w wyniku szerszej akcji prowadzonej przez bezpiekę, przez niektórych nazywanej „sprawą »Zośki«", ale – jak dowiodła historyczka Agnieszka Pietrzak – będącej częścią szerszej „sprawy »Radosława«" i obok byłych żołnierzy „Zośki" obejmującej członków „Parasola" i „Miotły". Nie był sam, ale był pierwszy. To jego aresztowanie rozpoczęło ciąg podobnych, w wyniku których w aresztach, tylko spośród członków „Zośki", w latach 1948–1950 znalazły się 34 osoby. 28 z nich otrzymało wyroki wieloletniego więzienia. Bezpieka skierowała do akcji 28 funkcjonariuszy pod dowództwem mjr. Wiktora Herera. Co ważne, wykorzystując również tajnych współpracowników spośród żołnierzy „Zośki". Agnieszka Pietrzak ustaliła, że było ich czterech. Znamy personalia jednego – Donata Czerewacza „Zaremby" („Zaręby" – pisownia różna). Jeśli chodzi o pozostałych trzech, znane są jedynie ich pseudonimy: „Sowa", „Górnik" i „Wężyk". Wiadomo też, że nazwisko Jana Rodowicza „Anody" pojawia się w aktach bezpieki już od 1946 r.

„Anodę" przesłuchano kilkakrotnie. Nic nie zwiastowało tragicznego końca całej sprawy. Śledztwo podobno nie było brutalne. Kiedy 3 stycznia aresztowano i osadzono w areszcie wewnętrznym przy ul. Koszykowej sześciu kolejnych „zośkowców", jeden z nich, Henryk Kozłowski, spotkał „Anodę" na korytarzu. Jak opowiadał: „Ubrany był jak zwykle w wełniane, zielone amerykańskie spodnie i takiż trencz. […] Szedł swobodnie, normalnie, ujrzawszy mnie, uśmiechnął się i pogładził włosy lewą ręką. Nie dostrzegłem na jego twarzy jakichś deformacji, guzów, obrzęków czy sińców". Po ponad tygodniowym śledztwie bezpieki wydaje się to wręcz dziwne. Jeszcze zaś dziwniejszy był finał ostatniego przesłuchania. 7 stycznia przesłuchiwano go dwa razy. Notatka służbowa z drugiego przesłuchania informuje sucho, że aresztowany zapytany został o Jerzego Zalewskiego. Odpowiedź jednak nie padła. Zamiast niej przesłuchujący zanotował, że o godz. 14.00 podejrzany wyskoczył oknem i się zabił.



Jan Rodowicz z narzeczoną Alicją Arens, 1945 lub 1946 r.

Fot. IPN

Czy „Anoda" został zamordowany, czy istotnie sam wyskoczył przez okno, być może – tak spekulowała m.in. rodzina – usiłując przeskoczyć na dach pobliskiego budynku? Na to pytanie nie ma stuprocentowej odpowiedzi. Z jednej strony podczas ekshumacji i przeniesienia ciała do rodzinnej kwatery na Powązkach nie stwierdzono żadnych widocznych obrażeń ciała, jedynie niewielką ranę za uchem, która jednak nie była raczej przyczyną śmierci. „Anoda" prawdopodobnie nie był więc torturowany.

Z drugiej jednak strony wiele spraw pozostaje niejasnych. Dlaczego bezpieka pochowała Rodowicza po kryjomu, dopiero 1 marca informując o tym rodzinę? Kilka tygodni po ekshumacji do rodziców „Anody" zgłosił się znajomy, doktor Konrad Okolski ze Szpitala Dzieciątka Jezus. Opierając się na rozmowie z prof. Wiktorem Grzywo-Dąbrowskim, kierownikiem Zakładu Medycyny Sądowej, w którym przeprowadzono sekcję „Anody", doktor stwierdził, że miał on nienaturalnie wgniecioną klatkę piersiową i to w takim miejscu, że gdyby rana powstała przy upadku, musiałby mieć również obrażenia twarzy. Tych zaś nie stwierdzono.

REKLAMA



kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt połączenia wg taryfy operatora)

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza rzeczywistą roczną stopę oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie



Niemożliwe zadanie Theresy May

Fot. Shutterstock

Umowa, którą brytyjska premier wynegocjowała z Brukselą, została jednoznacznie odrzucona przez brytyjski parlament. Tym samym brexit stał się swoistą polityczną telenowelą, a końca nie widać



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Gdy David Cameron rozpisywał w 2015 r. referendum w sprawie brexitu, chciał rozwiązać z pozoru prosty polityczny problem – podziału powstałego w jego własnej partii wokół roli Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Zdusić frondę eurosceptycznych posłów torysów w zarodku. Raz na zawsze. Brytyjska prawica była wówczas mocno podzielona i eurosceptycy zaczęli odpływać do Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) Nigela Farage'a. Partii Konserwatywnej groził rozpad. Brytyjczycy – o tym Cameron był wówczas przekonany – zagłosują za pozostaniem kraju w europejskiej wspólnocie. Sam prowadził kampanię po stronie „nie". Stało się inaczej. Brexitowcy zwyciężyli. To, zdaniem niektórych ekspertów nad Tamizą, było grzechem pierwotnym. Następnym zaś, gdy już art. 50 został uruchomiony, była zgoda Londynu na podzielenie procesu brexitu na dwie części – najpierw samo wyjście, a dopiero potem, po opuszczeniu przez Wielką Brytanię europejskiej wspólnoty, dokładne określenie kształtu jej relacji z Brukselą.

BREXIT IN BLANCO

To właśnie zgoda Theresy May, która zastąpiła Davida Camerona na stanowisku premiera, na coś w rodzaju brexitu in blanco pozbawiła ją narzędzi nacisku na wczesnym etapie negocjacji z Komisją Europejską. A Bruksela nigdy przecież nie ukrywała, że chce, by Londyn

eprasa.pl 7b31e575ab

zapłacił najwyższą cenę za swoją niesubordynację. Chaotyczny i bolesny politycznie proces wyjścia Wysp Brytyjskich z europejskiej wspólnoty miał odstraszyć innych potencjalnych odszczepieńców. Unia to może nie gułag – jak sugerował podczas zjazdu torysów minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Jeremy Hunt – ale nie da się ukryć, że Komisja Europejska stara się uczynić proces opuszczenia wspólnoty dla Londynu tak nieprzyjemnym, jak to tylko możliwe. W porządku – zdaje się mówić Bruksela – możecie wyjść, ale cena, którą zapłacicie, będzie wysoka.

Niestety brytyjska premier, która reklamowała się jako „silna i stabilna", okazała się słabym negocjatorem. Sama przeciwna wyjściu kraju z UE starała się wynegocjować jak najbardziej miękki brexit, co jej się udało pod koniec listopada 2018 r. Rozsierdziła tym eurosceptyczne siły we własnej partii. Ale także zwolenników remain (pozostania), którzy zarzucili jej, że jej plan z lipca 2018 r. dla brexitu (chequers plan), który miał naprawić błąd podzielenia negocjacji na dwa etapy, to tak naprawdę mapa drogowa dla pozostania Wielkiej Brytanii w UE, pod każdym względem z wyjątkiem nazwy. Po co więc w ogóle ten cały cyrk? Po co wychodzić, jeśli wszystko pozostanie po staremu? May przekonywała, że to „najlepszy możliwy brexit", ale było już za późno. W następstwie gabinetowego spotkania na szczycie ustąpiło dziesięciu ministrów i ważnych członków Partii Konserwatywnej, a wewnątrzpartyjne potyczki się nasiliły. May, stojąca po porażce w wyborach parlamentarnych na czele rządu mniejszościowego, by przepchnąć jakąkolwiek uchwałę przez Izbę Gmin, musiała zawierać krótkotrwałe sojusze z garstkami posłów. Z własnej partii czy z opozycji. Moc decyzyjna przesunęła się z Downing Street nr 10 do Westminsteru, gdzie posłowie odkryli dawno zapomniane legislacyjne sztuczki. Te dwa i pół roku szarpaniny Londynu z Brukselą jeszcze pogłębiły podziały w kraju.

– Ciągną się przez społeczeństwo, partie polityczne. A ludzie, o których Cameron myślał, że zamknie im usta plebiscytem, dopiero się rozkręcili. Boris Johnson i pozostali brexitowcy chcą ucięcia wszelkich więzi łączących Londyn z Brukselą. May tymczasem chce mieć ciastko i zjeść ciastko. Ale nie jest łatwo negocjować miękki brexit, gdy duża część własnej partii te starania torpeduje. Dojście do rozwiązania, które zadowoliłoby więc zarówno zwolenników twardego brexitu, jak i Brukselę, jest bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Trzeba to sobie uczciwie powiedzieć – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" historyk polityki z Uniwersytetu Nottingham prof. Steven Fielding.

ALTERNATYWA: MONARCHIA ABSOLUTNA?

Według niego odpowiedzialność za obecny chaos ponosi zresztą nie tylko sama premier. „Opozycyjną Partią Pracy kieruje Jeremy Corbyn, polityk skrajnie lewicowy, który nie jest gotów do kompromisów ani współpracy z torysami. Tak naprawdę Corbyn też chce twardego brexitu. Z innych powodów niż konserwatyści oczywiście, niemniej jednak tak jest. Jego partia tymczasem w większości jest za pozostaniem kraju w UE. Ale przede wszystkim Corbyn chce obalić rząd May, wymusić przyspieszone wybory i zostać premierem. Każdy ma własną agendę. Wynikiem jest polityczny chaos – przekonuje prof. Fielding. – Mamy takich ludzi jak Nicola Sturgeon [liderka Szkockiej Partii Narodowej – przyp. red.], która gdy mówi o drugim referendum, to myśli głównie o tym, jak to jej pomoże w realizacji planu secesji Szkocji od Zjednoczonego Królestwa. Lub takie tuzy jak Vince Cable [szef Liberalnych Demokratów – przyp. red.], który uważa, że wyniki plebiscytu w sprawie brexitu należy po prostu zignorować, czy Borisa Johnsona, który myśli tylko o tym, jak zdobyć przywództwo w Partii Konserwatywnej. Oraz parlament, którego członkowie w większości nie chcą wyjścia bez dealu, ale głosują w taki sposób, że ta opcja staje się coraz bardziej prawdopodobna" – pisze publicysta Alex Massie na łamach „The Spectator".

Historyczna porażka May w Izbie Gmin, gdzie jej plan wyjścia z UE odrzuciło 15 stycznia aż 432 posłów, otworzyła drogę do... no właśnie do czego? Brytyjskie media są zgodne, że wszystko jest obecnie możliwe. Jedni mówią o wyjściu bez dealu, inni o luźnym stowarzyszeniu z Unią w stylu norweskim, kolejni o drugim referendum, a niektórzy dywagują wręcz – mniej lub bardziej poważnie – o wprowadzeniu absolutnej monarchii pod wodzą królowej Elżbiety II lub alternatywnie popularnego biologa sir Davida Attenborough. Faktem jest, że przegrana May w izbie niższej parlamentu była najgorszą porażką brytyjskiego rządu w tej zacnej izbie na przestrzeni ostatnich stu lat. Przeciwko dealowi z Brukselą głosowali nawet posłowie północnoirlandzkiej Demokratycznej Partii Unionistów (DUP), którzy wspierają gabinet May. Zaraz po głosowaniu Jeremy Corbyn złożył wniosek o wotum nieufności dla – jak to określił – „rządu zombie". Było to pierwsze wotum nieufności głosowane w tej izbie od 1993 r. i czasów premiera Johna Majora. Wotum zostało odrzucone, bo nikomu z wyjątkiem laburzystów nie zależy na przyspieszonych wyborach. Zbyt duże jest ryzyko, że któryś z posłów nie zostanie wybrany, a w obliczu obecnego społecznego niezadowolenia z elit politycznych ta obawa jest uzasadniona. Próbując rzutem na taśmę przekonać deputowanych do umowy rozwodowej, May zarysowała wizję królestwa, z którego wychodzi zarówno Szkocja, jak i Irlandia Północna, a wpływy królewskiej mości ograniczają się do Londynu i okolic.

NARODOWA DUNKIERKA

Irlandzki komentator Fintan O'Toole scharakteryzował brexit jako „ostatni bastion imperialnej Anglii", przypominający tradycję „heroicznej porażki" w stylu szarży Lekkiej Brygady, bitwy pod Isandlwaną czy Sommy i Dunkierki. Minister handlu międzynarodowego Liam Fox widzi to zgoła inaczej. „To nie jest Dunkierka, to wyjście z UE. Musimy znaleźć sposób, gdyby nie było umowy, na złagodzenie skutków tego, ale najlepsze byłoby zaakceptowanie umowy, którą wynegocjowała premier" – przekonywał Fox w BBC.

Dunkierka czy nie – Theresie May pozostało niewiele czasu na wypracowanie planu B po tym, jak plan A nie spotkał się z aprobatą Westminsteru.

eprasa.pl 7b31e575ab



Fot. Shutterstock

A czas nagli. Formalnie Wielka Brytania powinna opuścić Unię 29 marca bieżącego roku. Premier rozpoczęła już rozmowy z partiami politycznymi i z miejsca wykluczyła zarówno unię celną, której domagają się laburzyści oraz zwolennicy brexitu w stylu norweskim, jak i drugie referendum. Unieważnienie pierwszego plebiscytu niesie bowiem z sobą poważne ryzyko pogłębienia istniejących już podziałów i wybuchu społecznych niepokojów. Od miesięcy w okolicach parlamentu gromadzą się zwolennicy i przeciwnicy brexitu, a atmosfera jest coraz bardziej napięta. Drugie referendum doprowadziłoby także do utraty resztek zaufania społecznego, którymi cieszą się elity polityczne.

May ma więc przed sobą zadanie równoznaczne z rozwiązaniem kwadratury koła: uhonorowanie zobowiązań wynikających z referendum, jak niezależna polityka handlowa i brak wolnego przepływu osób, jednocześnie zachowanie wielu zalet wynikających z przynależności do europejskiej wspólnoty, jak dostęp do rynku usług. Kluczowa jest kwestia tzw. backstopu, czyli włączenia Irlandii Północnej do unii celnej z krajami „27", dopóki nie znajdzie się inny sposób na uniknięcie przywrócenia kontroli na granicy między Ulsterem i Irlandią Północną. Według brexitowców backstop wiąże w nieskończoność Zjednoczone Królestwo z UE i godzi w suwerenność kraju. Londyn może oczywiście wnieść w Brukseli o przedłużenie procedury brexitu, ale to nie pozwoliłoby na uzyskanie więcej niż dwóch miesięcy dodatkowego czasu, jeśli Brytyjczycy nie chcą wziąć udziału w wyborach do Parlamentu Europejskiego w maju. Torysi na taką ewentualność się rzekomo przygotowują. Zaczęli opracowywać listy wyborcze. Ale jak znaleźć w ciągu kilku miesięcy rozwiązanie, którego nie dało się znaleźć przez ostatnie dwa i pół roku?

> Na horyzoncie coraz wyraźniej rysuje się wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej bez porozumienia

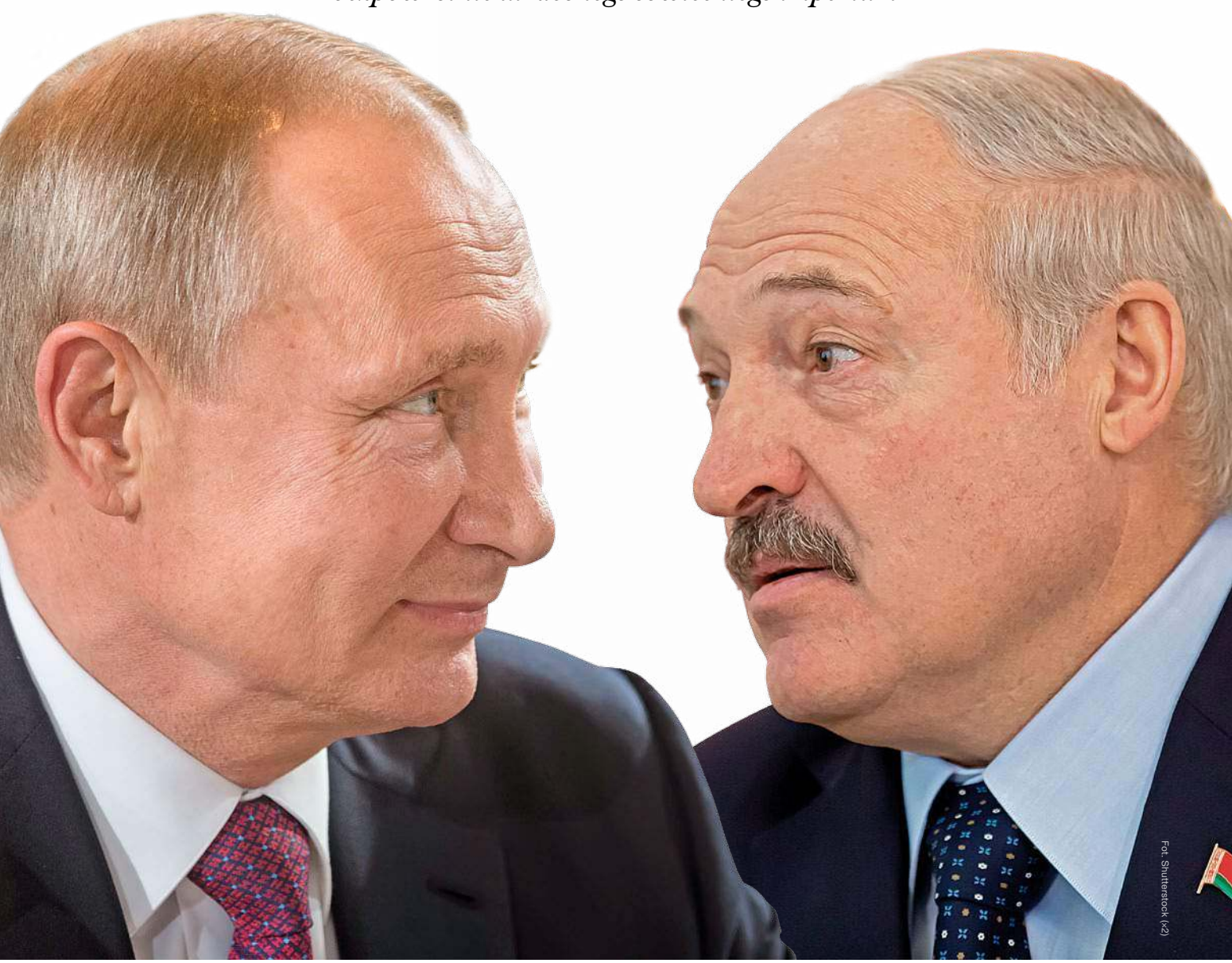
Zadanie May byłoby łatwiejsze, gdyby udało jej się stworzyć porozumienie ws. brexitu ponad podziałami. Niestety Corbyn wykluczył po przegranym wotum nieufności rozmowy z rządem, Unia rozkłada ręce, twierdząc, że ruch jest po stronie Londynu, a Komisja Europejska „nie może iść na dalsze ustępstwa". I to mimo iż mnożą się głosy, także w Brukseli, że UE przestrzeliła swoją twardą postawą negocjacyjną i że należy zapobiec twardemu brexitowi za wszelką cenę, bo zaszkodzi on nie tylko Londynowi, lecz także, a może nawet przede wszystkim, samej europejskiej wspólnocie. Status obywateli Unii na Wyspach Brytyjskich stanie się wówczas, mimo gwarancji udzielonych przez May, niepewny.

Wielka Brytania stanęła pod ścianą i musi teraz zdecydować, czy jest gotowa zapłacić koszty prawdziwego odcięcia pępowiny od Brukseli, czy pozostanie w Unii na dotychczasowych warunkach, czy znajdzie inne wyjście, jak umowa stowarzyszeniowa wzorem Norwegii (z zachowaniem członkostwa we wspólnym rynku). Innymi słowy, brexit niczym brazylijska telenowela jeszcze długo się nie skończy. Ale na horyzoncie coraz wyraźniej rysuje się wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej bez porozumienia.

eprasa.pl 7b31e575ab

Zły czas dla Łukaszenki

Kreml jest zdeterminowany, aby nie wypuścić z ręki tego ostatniego fragmentu bezpowrotnie utraconego sowieckiego imperium



Fot. Shutterstock (x2)

eprasa.pl 7b31e575ab



JAN ROKITA

10 stycznia, podczas rządowej narady w Mińsku, prezydent Aleksander Łukaszenka obwieścił: „Wszelkie dyskusje na temat zjednoczenia Białorusi i Rosji są głupie i naciągane". Władca Białorusi ostrzegł przy tym, że jeśli z powodu odmowy integracji obu państw Moskwa wybierze drogę retorsji gospodarczych wobec Mińska, to „utraci jedynego sojusznika na kierunku zachodnim". „Będzie to ich wybór, bo przecież nie możemy ich do niczego zmusić" – mówił Łukaszenka. Po czym wytknął własnym ministrom, że już dawno nakazał rozpocząć pracę nad planem importu ropy naftowej drogą morską przez Litwę albo Łotwę, w zamian za ofertę dostaw dla tych krajów paliw przetworzonych w dwóch wielkich białoruskich rafineriach – Nowopołocku i Mozyrzu. Dzień przed tymi – jakkolwiek by było: niecodziennymi – deklaracjami szefa państwa białoruski minister spraw zagranicznych Uładzimir Makiej zadzwonił do asystenta sekretarza stanu USA Wessa Mitchella, aby go zawiadomić, że wszelkie dotychczasowe ograniczenia liczebności amerykańskiego personelu dyplomatycznego na Białorusi przestały właśnie obowiązywać, a Amerykanie mogą wysyłać tylu dyplomatów, na ilu mają ochotę. A jeszcze parę dni wcześniej, w dość nietypowym dla siebie stylu, w noworocznej mowie telewizyjnej do narodu Łukaszenka z patosem opowiadał o wielkości tych, „którzy na podatnej ziemi białoruskiej stworzyli pierwsze suwerenne państwo białoruskie". I wzywał (co prawda posługując się przy tym językiem rosyjskim): „Abyśmy wszyscy razem ochronili tę największą wartość".

OFERTA DO ODRZUCENIA

W relacjach Rosji z dawnymi sowieckimi republikami często bywa tak, że przełom roku staje się czasem prowokowanych przez Moskwę konfliktów. Wiąże się to najczęściej z tym, że wykorzystując z jednej strony naturalną zimową presję, z drugiej zaś – kończące się roczne okresy rozliczeń za dostawy surowców energetycznych, Moskwa próbuje podyktować sąsiadom jakieś nowe, mniej dla nich korzystne albo nawet upokarzające, warunki. Najczęściej konflikty tego rodzaju dotykały w przeszłości Ukrainę, która co najmniej dwukrotnie w środku zimy stawała wobec nagłej blokady zaopatrzenia w gaz. Świadoma polityka energetyczna Kijowa, prowadzona od czasu zwycięstwa rewolucji na Majdanie, sprawiła, że zależność energetyczna Ukrainy od Rosji radykalnie się zmniejszyła, a do destabilizacji tego państwa Moskwa musi dzisiaj używać innych, znacznie bardziej brutalnych metod, z wojskową przemocą włącznie. Wygląda na to, że to „strategiczne niepowodzenie" poniesione na Ukrainie Moskwa próbuje rekompensować sobie teraz na Białorusi. I to tym bardziej że również w innej, w pełni dotąd zależnej od Rosji postsowieckiej republice – w Armenii, dopiero co nastąpił niekontrolowany przez Moskwę demokratyczny przełom.

Na Kremlu wzrosły ostatnio obawy, że także Białoruś, w którą Rosja inwestuje co rok spore sumy, może się wymknąć spod pełnej kontroli. To pewnie najprostsze wytłumaczenie ostrych kroków, jakie Władimir Putin podjął ostatnio wobec swojego nie całkiem posłusznego mińskiego wasala. Wszystko zaczęło się 6 grudnia 2018 r., podczas petersburskiego zebrania Wysokiej Rady JewrAzES (czyli Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, zrzeszającej pięć spośród krajów postsowieckich), gdzie Łukaszenka i Putin wdali się w otwarty spór na temat zasadności cen rosyjskiego gazu. Rzecz idzie o to, że w 2017 r. Gazprom sprzedawał Białorusi swój surowiec po mniej więcej 130 dol. za 1 tys. m^3, co oznacza, że ten sam rosyjski gaz po białoruskiej stronie granicy jest prawie dwa razy droższy, aniżeli po stronie rosyjskiej (ok. 70 dol.). Łukaszenka zarzuca Putinowi, że taka sytuacja drastycznie dyskryminuje działające w wielu branżach firmy białoruskie, które w ten sposób muszą przegrywać konkurencyjną rywalizację z firmami rosyjskimi. Tymczasem plany wprowadzenia w całej JewrAzES wspólnego rynku surowców energetycznych Rosjanie odkładają na bliżej nieokreśloną przyszłość (najwcześniej ponoć po roku 2025).

Dwa dni później – 8 grudnia w Brześciu nad Bugiem – odbyło się zebranie innego (jeszcze jednego dziwacznego i mało funkcjonalnego) tworu, mającego w intencjach Kremla integrować republiki postsowieckie z Rosją. Tym razem była to Rada Ministrów ZBiR, czyli stworzonego w 1999 r. fikcyjnego jak dotąd rosyjsko-białoruskiego państwa federalnego. Tym razem bohaterem zgromadzenia stał się rosyjski premier Dmitrij Miedwiediew, który swym białoruskim partnerom nakreślił dwa warianty rozwoju integracji obu krajów. W pierwszym integracja pozostaje na dotychczasowym poziomie, tzn. jej istotą jest faktyczna unia celna. Ale to oznacza, że Mińsk nie może liczyć na żadne nowe przywileje handlowe, ba, nawet na większość dotychczasowych, i zwłaszcza za surowce będzie musiał płacić „rynkowe ceny". Miedwiediew przedstawił jednak również wariant drugi, który przewiduje nie tylko równe z wewnątrzrosyjskimi ceny na gaz, lecz także postulowane przez Mińsk rosyjskie rekompensaty z tytułu tzw. manewru podatkowego, przeprowadzonego w ubiegłym roku przez Dumę, którego efektem jest drastyczny dla Białorusi wzrost kosztów dostaw rosyjskiej ropy naftowej.

Tyle tylko, że politycznym rewersem takich ekonomicznych przywilejów musiałaby być zgoda Mińska nie tylko na wspólny z Rosją obszar wizowy (na co Łukaszenka w zasadzie się już zgodził, ale teraz właśnie się z owej zgody wycofuje), lecz także na szybkie stworzenie (by cytować dokładnie rosyjskiego premiera) „wspólnego centrum emisji waluty, wspólnych służb celnych, wspólnego sądownictwa oraz izb obrachunkowych". Według Miedwiediewa proces taki powinien zostać przyspieszony przez wspólny rosyjsko-białoruski Akt konstytucyjny. Jeśli zważyć, że równolegle Moskwa dokonuje coraz ściślejszego zespolenia armii obu krajów oraz stara się przejąć na własność białoruską infrastrukturę energetyczną, można mieć całkowitą jasność, że Miedwiediew zaoferował Łukaszence ni mniej, ni więcej, dobrowolną i pokojową... rezygnację z niepodległości państwowej. To właśnie ta nietypowa we współczesnych relacjach międzynarodowych oferta wywołała w Mińsku tak duże poruszenie.

eprasa.pl 7b31e575ab



Putin po zakończeniu w 2024 r. obecnej kadencji prezydenckiej może próbować utrzymać władzę w państwie, stając na czele urealnionego ZBiR, czyli państwa białorusko-rosyjskiego

Fot. Shutterstock

MANEWR PODATKOWY

W Boże Narodzenie (ale to rzymskokatolickie, więc niezbyt istotne na Wschodzie) Łukaszenka wybrał się na Kreml, ale rozmowa z Putinem skończyła się fiaskiem. Rosyjski minister finansów dolał jeszcze przy okazji tej wizyty oliwy do ognia, mówiąc: „Rosja po prostu utraciła zaufanie do Białorusi". Łukaszenka próbował pozyskać przychylność władcy Rosji, każąc tego samego dnia, kiedy leciał do Moskwy (25 grudnia), swojemu ministrowi obrony gen. Rawkowowi złożyć całkowicie wiernopoddańczą deklarację wobec Kremla w sprawach militarnych. Rawkow wystąpił więc publicznie z nową w białoruskiej polityce tezą: „Baza amerykańska w Polsce jest źródłem zagrożenia wojskowego dla Białorusi", co musiało zostać zrozumiane jako zaproszenie do instalacji nowych rakiet rosyjskich na terytorium Białorusi, wobec czego Łukaszenka wydawał się dotąd umiarkowanie sceptyczny. Ale oferta „poddaństwo militarne w zamian za ulgi gospodarcze" na Kremlu nie została przyjęta. 29 grudnia Łukaszenka ponownie był w Moskwie. I choć tym razem nie przeniknęły publicznie żadne szczegóły jego rozmowy z Putinem, to wydarzenia następnych dni każą sądzić, że także tym razem władca Białorusi nie odniósł sukcesu. Cztery dni później, 2 stycznia 2019 r., państwowy koncern energetyczny Biełnaftachim zmuszony był poinformować, że właśnie zaczął nabywać rosyjską ropę naftową „po cenach światowych". Cokolwiek w praktyce miałoby to znaczyć, jasne jest, że mimo dwukrotnych osobistych interwencji Łukaszenki Kreml nie nakazał w żaden sposób zrekompensować skutków rujnującego dla Białorusi tzw. manewru podatkowego.

O co chodzi w owym „manewrze"? Wygląda, że to dość przemyślna operacja fiskalna, której efektem mają być z jednej strony spore zyski rosyjskiego budżetu, ale także „usprawiedliwione" podwyżki cen ropy dla Białorusi. Rosyjska Duma na wniosek rządu zlikwidowała bowiem w ubiegłym roku cła eksportowe na rosyjską ropę (z 30 proc. do zera), podwyższając zarazem mniej więcej proporcjonalnie wewnętrzne podatki od wydobycia kopalin. W praktyce więc oznacza to, że dla rosyjskich firm koszty eksportu ropy nie ulegną jakiejś istotnej zmianie, ale korzyści, które w ramach unii celnej miała dotychczas Białoruś, po likwidacji ceł eksportowych przejmie de facto rosyjski budżet państwa. Łukaszenka nie bez racji chciał więc z tego tytułu rekompensat, tym bardziej że, jak szacują eksperci (np. z OSW), koszty owego „manewru" dla Białorusi mogą się okazać rujnujące. Idzie bowiem o kwotę ok. 10 mld dol. w ciągu pięciu lat, a więc stawką jest tu jakieś 4 proc. białoruskiego PKB. Przy czym należy pamiętać, że poziom dywersyfikacji energetycznej Białorusi (w przeciwieństwie do Ukrainy) jest niemal zerowy. A kraj wytwarza 100 proc. własnego prądu z rosyjskiego gazu i jest uzależniony w ponad 90 proc. od rosyjskiej ropy naftowej.

DELEGAT PUTINA

Już pół roku temu należało się spodziewać rychłego wzmożenia presji integracyjnej ze strony Kremla. Czytelnym tego sygnałem była nominacja Michaiła Babicza na rosyjskiego ambasadora w Mińsku, ze specjalnymi pełnomocnictwami osobistego delegata prezydenta Putina. Babicz, funkcjonariusz rosyjskich służb specjalnych, był już w przeszłości posyłany przez Putina na takie „fronty" jak premierostwo Czeczenii albo szefostwo należących do FSB (Federalnej Służby Bezpieczeństwa) rosyjskich pograniczników. Wcześniej dyplomatycznej akredytacji nie udzieliła Babiczowi Ukraina. W Mińsku ma on dopilnować, aby ani pod rządami Łukaszenki, ani po ich ewentualnym końcu Białoruś nie wymknęła się jakimś sposobem spod pełnej moskiewskiej kontroli. Kreml jest zdeterminowany, aby nie wypuścić z ręki tego ostatniego fragmentu bezpowrotnie utraconego sowieckiego imperium. Ale z kolei w Mińsku zdaje się narastać przekonanie, że Moskwa nie tylko nie rośnie w siłę, lecz coraz bardziej słabnie. A „oficjalny" rosyjski ekspert Andrej Suzdalcew twierdzi nawet, iż „wśród władz w Mińsku nie ma dziś zwolenników integracji i uważa się tam, że przyduszona sankcjami Rosja niedługo upadnie". Sytuację Białorusi komplikuje jeszcze i ta okoliczność, że coraz częściej słychać z Moskwy nieoficjalne sugestie, iż Putin po zakończeniu w 2024 r. obecnej kadencji prezydenckiej może próbować utrzymać władzę w państwie, stając na czele urealnionego ZBiR, czyli państwa białorusko-rosyjskiego. Jeśli władca Rosji istotnie ma taki plan, to dla Łukaszenki idą teraz najtrudniejsze chwile jego długiego panowania.

eprasa.pl 7b31e575ab

Nowa strategia miedziowego giganta

Z Marcinem Chludzińskim, prezesem KGHM Polska Miedź, o nowej strategii polskiego giganta, globalnym rynku surowców i lokalnych podatkach oraz o tym, ile miedzi jest w samochodzie, rozmawiają Michał Karnowski („Sieci") i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")



Fot. Andrzej Wiktor

KGHM Polska Miedź to jeden z największych producentów i wydobywców miedzi oraz srebra na świecie. Kieruje pan międzynarodowym koncernem od połowy ubiegłego roku. Wcześniej był pan prezesem ARP. Nie żal było rozstawać się z Agencją w środku ciekawych projektów?

Marcin Chludziński: Prawie trzy lata pracy dla spółek w wymagającej kondycji to niewątpliwie spore wyzwanie. Ani jednego prostego projektu, ani dnia rutyny. Ale efekty są naprawdę satysfakcjonujące. Cegielski, Przewozy Regionalne, ale też Świętokrzyskie Kopalnie Surowców Mineralnych – te spółki to tylko przykłady polskich przedsiębiorstw, które dzięki naszej pomocy przeszły prawdziwą przemianę: z wieloletnich strat do fazy generowania zysku. Teraz moje doświadczenia wykorzystuję z dobrym skutkiem w innej nieprzewidywalnej branży.

No właśnie: w rozmowie na antenie telewizji wPolsce.pl na początku swojej pracy dla KGHM podkreślał pan pewną nieprzewidywalność ceny miedzi na globalnym rynku. Zależy od wielu czynników – choćby od kursu dolara, ale też wpływają na nią napięcia między USA a Chinami, i mimo stabilnego popytu – ze względu na sytuację makroekonomiczną i geopolityczną, na którą KGHM nie ma wpływu – notowania miedzi są niższe. Rozumiemy, że czas na pierwsze podsumowanie. Jak zamyka pan ubiegły rok?

Myślę, że wyniki za trzy kwartały powinny uzasadniać mój dzisiejszy optymizm co do tego, że ubiegły rok zamkniemy w bardzo dobrej sytuacji. Chciałbym, żeby realizacja całego roku była lepsza, niż zakładały plany. Na szczegóły trzeba jednak poczekać do pełnego zamknięcia roku, nad którym pracujemy. Wkrótce też pewnie przekażemy rynkowi datę publikacji sprawozdania rocznego.

Faktycznie, ceny i rynki światowe są bardzo zmienne. Szczególnie zmienna jest cena miedzi, warunkowana popytem, a więc poziomem rozwoju gospodarczego, sytuacją kluczowych aktorów, a to są Chiny, Europa i Stany Zjednoczone. W dodatku cena miedzi to nie tylko prosta funkcja popytu i podaży. Miedź to również przedmiot działań inwestycyjnych, a często spekulacyjnych.

Z reguły przygotowanie budżetu na kolejny rok jest sygnałem dla inwestorów, co dzieje się w spółce...

Przyjęliśmy już budżet na 2019 r. Tu warto przypomnieć, że w ubiegłym roku budżet zakładał znacznie wyższą cenę miedzi. Dziś planujemy jej poziom bezpieczniej, mając na uwadze wojnę handlową między USA a Chinami. Wciąż nie znamy wyników rozmów i negocjacji tych dużych rynków.

Świat bardzo się zmienił przez ostatnie pół roku – mamy nową umowę handlową między USA, Meksykiem a Kanadą, nową politykę Unii Europejskiej w dziedzinie niskoemisyjnego przemysłu do 2050 r., w końcu możliwy brexit. To powoduje, że wiele parametrów ekonomicznych się zmienia.

Bezpieczne założenia budżetowe wpływają też na nasze wydatki, ale to właśnie bezpieczeństwo w prognozach sprawia, że realnie i skutecznie będziemy inwestować.

A inwestycje w przemyśle wydobywczym, miedziowym to całe lata procedur, przygotowań, analiz...

Nawet w tym, jak podkreślamy, bezpiecznym budżecie zwiększamy nakłady

eprasa.pl 7b31e575ab

na wydatki inwestycyjne. Ale – posługując się prostym przykładem – jeśli ktoś chce wybudować dom, to zakłada, że w ciągu mniej więcej 18 miesięcy zakończy inwestycję. Jeśli ktoś chce wybudować kopalnię miedzi, to mając dziś do dyspozycji wieloletnie analizy, musi założyć, że za 10–15 lat przystąpi do wydobycia. Na zwrot z takiej inwestycji potrzeba 10–30 lat. I dlatego nie wolno nam absolutnie wygaszać nakładów inwestycyjnych. Jeśli zabraknie ich w tym roku, to nie będziemy wydobywać więcej za 10–15 lat. KGHM to nie jest bieg na 60 m. To maraton.

Odświeżona strategia koncernu na lata 2019–2023 to nowy plan dla spółki. W nowej strategii bardzo precyzyjnie określił pan zadania stawiane przed KGHM – krajowa produkcja górnicza na poziomie 450 tys. ton miedzi, średnioroczny dzienny przerób rudy w Sierra Gorda co najmniej 130 tys. ton do 2020 r., produkcja hutnicza na poziomie 540 tys. ton rocznie. Bardzo jasno określone cele.

Jeśli strategia ma być dokumentem „wdrażalnym", to trzeba jasno komunikować wskaźniki. Te określone w strategii dają nam pewną stabilność inwestycyjną na kolejne cztery lata, ale też precyzują zasady spłaty długów i naszych zobowiązań. I są to wskaźniki realne. Oczywiście cała branża wydobywcza na świecie zmaga się z coraz trudniejszymi czynnikami geologicznymi, łatwe złoża eksploruje się w pierwszej kolejności, trudne zostawia się na później.

Pierwsza kopalnia miedzi w Polsce w ubiegłym roku świętowała 50-lecie. Minęło pół wieku, a my sięgamy po trudniejsze złoża, by wydobywać surowiec efektywnie w Polsce. Efektywność jest też priorytetem dla kopalni Sierra Gorda w Chile. Można dyskutować z wieloma założeniami ekonomicznymi tej, jakkolwiek by było, wymagającej inwestycji czy ze sposobem finansowania jej zakupu, ale jako zarząd chcemy się skupić na ustabilizowaniu tego projektu i tym, jak zbudować oraz wyciągnąć z niego jak największą wartość. Niwelujemy błędy, które zostały popełnione. Nasze inwestycje mają teraz sprawić, że będziemy przerabiać więcej surowca przy jak najmniejszych nakładach.

Pojawiły się głosy, żeby KGHM wycofał się z inwestycji zagranicznych i skupił na polskim rynku wydobywczym. Inwestycja w chilijską kopalnię miedzi Sierra Gorda przynosi do tej pory straty.

Myślę, że to wynika z pewnej niecierpliwości i nieznajomości branży wydobywczej. Jestem przekonany, że z polskimi menedżerami, z polskim dozorem technicznym odbudujemy wartość tej inwestycji. Jesteśmy na dobrej drodze, przeglądamy wszystkie aktywa zagraniczne. Pracujemy z bardzo kompetentnym zespołem kierowanym przez wiceprezesa Pawła Gruzę, byłego wiceministra finansów. Na bieżąco regulujemy zobowiązania.

Problemem Sierra Gorda jest to, że zaciągnięto dług, by sfinansować zakup, oraz poniesiono spore nakłady inwestycyjne w tym projekcie. Przy trudnych parametrach geologicznych, które tam mamy, udaje nam się na bieżąco utrzymywać produkcję i bieżące koszty funkcjonowania. Obecne ceny miedzi nie pozwalają nam jednak obsługiwać długu z przychodów z projektu, a tym bardziej ponosić kolejnych nakładów. Rozpoczęliśmy testy na zmianę wartości aktywów z tytułu zaangażowania we wspólne przedsięwzięcie Sierra Gorda, aktywów Zagłębia Sudbury w Kanadzie oraz kopalni Franke w Chile. O efektach będę mógł poinformować po ich zakończeniu.

W strategii zwraca uwagę zapis dotyczący planów pozyskiwania energii elektrycznej dla KGHM w połowie ze źródeł własnych. Koncern jest jednym z największych odbiorców energii w kraju.

To prawda. W tej chwili ze źródeł własnych zaspokajamy ok. 25 proc. naszych potrzeb. Są dwa powody, dla których chcemy zwiększyć ten poziom do 50 proc. Mówimy tu o odnawialnych źródłach energii oraz źródłach dedykowanych właśnie nam. Zależy nam przede wszystkim na bezpieczeństwie procesów technologicznych i niezależności. Ta ustabilizuje w przyszłości efektywność ekonomiczną, czyli w skrócie – cenę energii. W hucie nie może brakować prądu, dlatego w coraz większym stopniu opieramy zasilanie na naszych źródłach. Regulacje związane z ekologią są coraz bardziej wymagające, a chcąc utrzymać wiarygodność na międzynarodowym rynku, pozyskiwanie energii z OZE staje się niezwykle wrażliwym parametrem. Pojawia się pojęcie „zielonej miedzi" i jestem przekonany, że w perspektywie kolejnych 50 lat stanie się kluczowym elementem gry rynkowej.

W nowej strategii wskazujecie cztery kierunki rozwoju, oznaczając je czterema literami E. To elastyczność, efektywność, e-przemysł – oparty na robotyzacji, digitalizacji, społeczeństwie bazującym na wiedzy i założeniach przemysłu 4.0 – oraz właśnie ekologia.

Świat przyspiesza, narzuca nam nowe warunki handlu międzynarodowego i ceny surowców. Musimy mieć możliwość szybkiego oraz elastycznego reagowania na te wydarzenia. Elastycznie dostosowywać ceny i koszty, a także efektywnie zarządzać podażą i inwestycjami. Nowe technologie służą właśnie tej efektywności. Już w drugiej kopalni otwieramy one-room-control, jedno miejsce sterowania pozwalające zarządzać niemal wszystkimi procesami i monitorujące efektywność wszystkich oddziałów, sekcji. Dzięki temu możemy lepiej panować nad kosztami i – co najważniejsze – bezpieczeństwem. Czwarty temat to ekologia i zrównoważony rozwój, bez których w przemyśle wydobywczym i hutniczym dziś nie można pracować. Oba są klasyfikowane jako przemysł uciążliwy – choć dziś to już nie do końca prawda. To bardziej uciążliwość krajobrazowa i przekształcanie otoczenia, a wpływ na środowisko, dzięki nowym technologiom, jest systematycznie zmniejszany– zarówno pod ziemią, jak i w przemyśle hutniczym.

A lokalna społeczność, samorząd raczej dbają o dialog z takim gigantem.

Warto przypominać, na co mamy wpływ, a na co nie. Dzięki nam Zagłębie Miedziowe kwitnie. Rekompensujemy

eprasa.pl 7b31e575ab

niedogodności zaangażowaniem społecznym, udziałem w podatkach lokalnych, z PIT i CIT. 350 mln zł rocznie – to kwota trafiająca do samorządów, na terenie których działa KGHM. Sponsorujemy kulturę, sport, edukację – ok. 50 mln zł rocznie przeznaczamy na działania CSR, które w większości trafiają do regionu.

Chwalił pan też zmiany w podatku od kopalin, bo w ubiegłym roku KGHM zapłacił ogromną kwotę ok. 1,3 mld zł. Od czerwca 2019 r. będzie można obniżyć podatek o darowizny dokonane na rzecz samorządów, na których obszarze jest prowadzona działalność wydobywcza, do 5 proc. wysokości podatku.

Formuła podatku od kopalin powinna zakładać konieczność utrzymywania środków na rozwój spółek i wahania ceny surowców. Jeśli w 2012 r. cena tony miedzi była na poziomie 11 tys. dol. (dziś to tylko 5,9 tys.), to ówczesną nadwyżkę można było przeznaczać na inwestycje i rozwój. Można w takiej sytuacji robić też oszczędności, by potem nie finansować się długiem.

Powiązać podatek z wysokością ceny surowca?

Zmiana formuły podatku od kopalin spowodowałaby z pewnością większą łatwość ponoszenia nakładów inwestycyjnych związanych z przyszłością spółki. Dziś wyższa cena surowca, wyższy podatek powodują mało komfortową sytuację w kontekście inwestycji.

A cena miedzi będzie rosnąć?

Popyt równoważy się z podażą. Nie ma nadwyżek produkcji, a prognozy wskazują na wzrost popytu już w perspektywie kilku najbliższych lat. Jeśli wzrost gospodarczy będzie na stabilnym poziomie, cena powinna wzrastać. Konkurujemy zatem efektywnością wewnętrzną – im kto taniej wydobywa i produkuje, a nawet otwiera nowe projekty, tym wyższy wynik osiąga. Trzeba jednak pamiętać o niepewności koniunktury na globalnym rynku. Dziś to Chiny konsumują 50 proc. miedzi na świecie.



Fot. Julita Szewczyk

> Jeśli zabrakłoby nakładów inwestycyjnych w tym roku, to nie będziemy mogli wydobywać więcej surowców za 10–15 lat. KGHM to nie jest bieg na 60 m. To maraton

Handel wciąż szuka elastyczności, a analizy wskazują, że popyt na miedź w ciągu 10 lat wzrośnie o 50 proc. Jest to związane z prognozowaną chłonnością rynku energetycznego, elektrycznego, budowlanego, magazynowania energii.

Także ze wzrastającą produkcją samochodów elektrycznych.

Tak. W zwykłym samochodzie jest 30–40 kg miedzi, w elektrycznym – już ok. 120 kg, dlatego zakładamy wyższy poziom przetwarzania. Stąd optymistyczne prognozy. Przyszłość to również rozwój farm wiatrowych. Jedna turbina większej mocy zawiera 30 ton miedzi. Zapotrzebowanie na miedź będzie rosnąć.

A państwo powinno pilnować, czy państwowy gigant operujący strategicznym surowcem na tym skorzystał.

To bardzo konkurencyjny rynek. Jeśli my będziemy słabsi, ktoś zyska na sile. Ale jeśli będziemy przygotowani do wzrastającej koniunktury i będziemy konkurencyjni – wygramy. To wbrew pozorom są proste wybory – w Polsce w najbliższych latach nastąpi wymiana sieci energetycznej. To ok. 10 tys. km linii. To może być nasz produkt. Wierzę, że wykonawcy tych inwestycji nie kupią surowca na giełdach za granicą, ale skorzystają bezpośrednio z zasobów Polskiej Miedzi.

Warto też pamiętać, że do planowania kolejnych dziesięcioleci i zwiększania produkcji w Polsce potrzebujemy nowych koncesji. A to żmudny proces. Niektóre postępowania ciągną się latami. To ważne dla KGHM i polskiej gospodarki rozstrzygnięcia. Wiemy, że mamy zasoby, wiedzę, doświadczenie, specjalistów. Niektóre z obszarów rozpoznawaliśmy na własny koszt już w latach 80. i 90. Bytom Odrzański i okolice, ale też obszar Puck. Cierpliwie czekamy, rzetelnie współpracujemy i liczymy na to, że niedługo Ministerstwo Środowiska będzie mogło zdecydować o nowych obszarach eksploracji.

Nową strategię KGHM zamyka rozdział „Człowiek i środowisko", a w nim taki punkt: „Do 2023 r. osiągnięcie poziomu zaangażowania i satysfakcji pracowników GK KGHM na poziomie 70 proc.". Badacie systematycznie poziom zaangażowania i satysfakcji pracowników?

Zaczęliśmy. Zatrudniamy 18 tys. osób w hutach i kopalniach, a w całej grupie kapitałowej na świecie to łącznie 34 tys. pracowników. Oczywiście funkcją zarządu jest myślenie o strategii i planach spółki, ale ludzie muszą wiedzieć, w którą stronę zmierzamy, i przekonać się, że to dobra strona. Mamy doskonałych, identyfikujących się z koncernem fachowców, inżynierów, co więcej – KGHM to firma wielopokoleniowa, więc nasi pracownicy czują odpowiedzialność za losy spółki. Angażujemy ich w proces tworzenia strategii i możemy liczyć na wspólną jej realizację.

92/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, to 19 groszy dla sportu i kultury

TOTALIZATOR SPORTOWY

PONAD 12 MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej
od 1994 roku

#WygrywamyRazem

PONAD 2 MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury
od 2003 roku

Graj ONLINE oraz w kolekturach!

LOTTO

Lotto · Kaskada · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

eprasa.pl 7b31e575ab

Technologia podwyższonego ryzyka

Afera szpiegostwa gospodarczego w Polsce to kolejny kij w szprychy rozpędzonego ku globalnej teleinformatycznej dominacji chińskiego giganta. Dlaczego poczynania koncernu Huawei budzą takie obawy na świecie, a teraz także w Polsce?



MAKSYMILIAN WYSOCKI

W piątek 11 stycznia polskim biznesem technologicznym wstrząsnęła informacja o zatrzymaniu przez ABW Weijinga W., jednego z dyrektorów polskiego oddziału chińskiego koncernu Huawei, oraz Piotra D., byłego funkcjonariusza polskich służb specjalnych (ABW), który ostatnio związany był z firmą Orange. Obaj podejrzani są o szpiegostwo telekomunikacyjne. Sąd od razu zdecydował o trzymiesięcznym areszcie dla obu zatrzymanych. Chińskie władze równie błyskawicznie wysłały do polskiego rządu jasny sygnał, iż Pekin jest „bardzo zaniepokojony" doniesieniami z Polski. Atmosfera między krajami gęstnieje z każdą godziną. Są sygnały, że firma może otrzymać zakaz działalności w Polsce. Co ciekawe, podobny obrót sprawa Huawei przybrała w innych krajach.

W rekordowym czasie Huawei podbił świat swoimi telefonami, ale też dopiero powstającym rynkiem nowej technologicznej rewolucji, czyli siecią 5G. W Polsce również – przynajmniej tak sprawy wyglądały do piątku. Koncern na ważnych światowych rynkach zaskakująco często zdobywał rolę dostawcy nośników technologii dla tej cyfrowej rewolucji. Ale ostatnio ten technologiczny gigant znalazł się na cenzurowanym. Dlaczego?

UNIA EUROPEJSKA NAMAWIA DO CZUJNOŚCI

Gdy kolejne kraje Unii Europejskiej ogłaszają przetargi na sieć 5G, Bruksela bije na alarm. UE chce wzmocnić czujność tych krajów oraz firm technologicznych w zakresie zabezpieczeń i cyberbezpieczeństwa właśnie ze względu na wzmożoną działalność Chińczyków. Pod koniec grudnia Departament Sprawiedliwości USA oskarżył dwóch chińskich obywateli o przeprowadzenie



eprasa.pl 7831e575ab

globalnej kampanii hakerskiej, której skutkiem miało być m.in. zinfiltrowanie systemu łączności dyplomatycznej Unii. Grupa, która tego dokonała, była powiązana z Armią Ludowo-Wyzwoleńczą Chin. Pekin wszystkim zarzutom zaprzeczył.

Według unijnych dyplomatów alarm podniesiony już wcześniej przez takie kraje jak USA, Japonia i Australia – o rosnącym zaangażowaniu chińskiego biznesu w kluczową infrastrukturę technologiczną – nieprzypadkowo zbiegł się w czasie z wydarzeniami w Europie. Chińskie firmy nagle uaktywniły się i bardzo energicznie zaczęły przejmować europejskie przedsiębiorstwa, choćby niemieckiego producenta robotów przemysłowych Kuku, którego w 2016 r. nabyła spółka Midea. A na przykładzie Hiszpanii widać, że uaktywniły się także chińskie grupy przestępcze na Starym Kontynencie.

Choć Unia się boi, że rewolucja technologiczna 5G w Europie wpadnie w chińskie ręce, to jej działania na rzecz ochrony tego wrażliwego sektora są bezowocne. Próby ingerencji unijnej były dotychczas hamowane przez możliwość swobodnego zarządzania aukcjami sieci 5G przez poszczególne kraje, w których Huawei jest wiodącym kandydatem do dostarczania sprzętu 5G do tych sieci.

OSKARŻENIA O SZPIEGOSTWO I OSZUSTWA

Tymczasem USA i niektórzy ich sojusznicy podejrzewają firmę Huawei o niejawne związki z chińskim rządem. Już w 2012 r. Huawei i inna wielka firma chińska ZTE były w USA przedmiotem śledztwa pod zarzutem szpiegostwa i stwarzania zagrożenia dla krytycznej infrastruktury. 1 grudnia 2018 r. na lotnisku w kanadyjskim Vancouver na wniosek USA zatrzymana została dyrektor finansowa Huawei Meng Wanzhou. USA podejrzewają ją o oszustwa w związku z łamaniem amerykańskich sankcji nałożonych na Iran. Obecnie Meng – zwolniona z aresztu za kaucją – oczekuje na wynik postępowania w sprawie ekstradycji do Stanów Zjednoczonych, gdzie grozi jej wieloletnie więzienie. W odwecie w Chinach aresztowano dwóch Kanadyjczyków.

DO CZEGO SŁUŻY TELEFON

Jak nie wiadomo, o co chodzi, to... Tym razem chodzi jednak o kontrolę nad danymi, bo informacja to władza. Jak je pozyskać? Okazuje się, że nasz telefon jest najlepszym przydzielonym nam osobiście szpiegiem. Dobry cracker potrafi zebrać obraz 360 stopni z miejsca, w którym jesteśmy, włamując się na nasz telefon, o ile właśnie trzymamy go w dłoni. Mikrofony w naszych telefonach są tak dokładne, że już wiele lat temu naukowcy byli w stanie rozpoznać... gatunek komara, który latał obok smartfona. Wykradzenie naszej tożsamości, podszycie się pod nas i dokonanie przestępstwa w naszym imieniu również jest – dla wprawnego hakera – dość banalne.

W naszym coraz bardziej sensorycznym świecie bogactwo danych o nas udostępnianych przez nas samych dla większości ludzi nadal jest niewyobrażalne. Cyfrowe ślady pozostawiamy po sobie wszędzie, ale klucz do danych przydatnych wywiadowi może tkwić tuż pod naszymi palcami. Przy ilości danych, które co miesiąc wysyłamy z jednego naszego urządzenia, ten jeden dodatkowy bit informacji to naprawdę coś niezauważalnego.

Dobrym źródłem wiedzy jest także router, który służy do łączenia różnych sieci komputerowych i pełni funkcję węzła komunikacyjnego. Do tego dochodzi kwestia tylnych drzwi (ang. backdoor), które producenci pozostawiają sobie na wszelki wypadek. Producenci urządzeń zarzekają się, że tego nie robią, bo dla nich to często być albo nie być na różnych rynkach – skompromitowane urządzenia lub systemy to coś, od czego ludzie od razu uciekają. Gdy okazało się, że Kaspersky mógł pozwalać rosyjskim służbom korzystać z tylnych furtek ich zwalczającego wirusy oprogramowania, firma straciła zaufanie klientów.

Ale jest też inna opcja – celowe błędy w kodzie oprogramowania urządzeń. Z tego łatwiej się wytłumaczyć i szybko znaleźć kozła ofiarnego. Zawsze też można obiecać, że „dziurę" szybko się załata. Po co? Bo wywiady i służby różnych krajów motywują do współpracy na różne sposoby. Czasem obiecując frukty i parasol ochronny nad działaniami danej firmy, czasem grożąc i zastraszając.

Z tyłu głowy należy też mieć to, że założyciel Huawei powiązany jest z chińską armią i od lat ciążą na nim oskarżenia o kradzież rozwiązań technologicznych (np. Cisco oskarżyło Huawei o kradzież kodu routerów). Niedawno też AT&T oraz Verizon podjęły decyzję o wstrzymaniu sprzedaży telefonów Huawei.

Duża część ekspertów z zakresu cyberbezpieczeństwa i technologii mobilnych zastanawia się, czy Huawei podzieli los firmy Kaspersky. Ta po skandalu dotyczącym „wykradania" danych została zbanowana w amerykańskiej administracji publicznej. Jak na razie wszystko wskazuje na to, że tak właśnie będzie. Amerykańskie służby, w tym FBI, CIA, NSA, już oficjalnie ostrzegają Amerykanów, aby nie korzystali z urządzeń firmy Huawei. I nie chodzi tylko o smartfony.

POD OKIEM WIELKIEGO BRATA

Co jeszcze warto wiedzieć? To, że Chińczycy pracują obecnie nad systemem wspartym potężną sztuczną inteligencją, który będzie śledził 24 godziny na dobę 1,3 mld mieszkańców tego kraju, zbierał o nich dane, oceniał, jak bardzo są prorządowi albo jak bardzo są antyrządowi, co bez wątpienia przełoży się na życie monitorowanych obywateli. Krótko mówiąc: dobry i posłuszny władzy Chińczyk będzie nagradzany dłuższymi urlopami, większą zdolnością kredytową i innymi przywilejami, a ci „niegrzeczni", niesprzyjający władzy mają być karani, pozbawiani pracy i środków do życia. Staną się także przedmiotem społecznego ostracyzmu. Niby rok 2019, a przypomina bardzo orwellowski 1984... Dla takiego systemu kolejnych 508 mln obywateli UE nie będzie stanowić problemu.

Dlatego, jak podkreślają niektórzy eksperci, wybór technologicznego partnera o zasięgu krajowym to dziś sprawa bardziej polityczna niż ekonomiczna. Zwłaszcza w kontekście nadchodzącej teleinformatycznej rewolucji.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7b31e575ab



Ochrona środowiska

W ciągu 30 lat działalności Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, wykorzystując środki krajowe i europejskie, sfinansował cele związane z ochroną środowiska na ponad 70 mld zł. Obsługując unijne dotacje, uruchamiając środki własne i zewnętrznych inwestorów, nie tylko gwarantuje ochronę przyrody i właściwe gospodarowanie zasobami naturalnymi, lecz również stymuluje nowe inwestycje, które obniżają obciążenie środowiska, i powstawanie miejsc pracy

Kiedy 100 lat temu Polska odzyskała niepodległość, ówczesnym decydentom towarzyszyło przekonanie, że odbudowa polskiej państwowości musi objąć wszystkie sfery życia, włączając w to ochronę przyrody i zasobów naturalnych, a także politykę ekologiczną odrodzonego państwa.

Zapoczątkowana została nowa, prekursorska dziedzina prawa administracyjnego, ustrojowego i materialnego – w obszarze ochrony środowiska i przyrody. Były to m.in. przepisy ustawy o Państwowej Radzie Ochrony Przyrody z 1925 r., rozporządzenia prezydenta RP o ochronie zwierząt z 1928 r. i ustawy o ochronie przyrody z 1934 r. Polski model polityki ekologicznej znakomicie się mieścił w nowoczesnych trendach europejskich i stanowił bardzo istotny element imponującego dorobku prawnego II RP.

Kolejna wojna i okres PRL to trudne czasy dla polskiej ekologii. Szczęśliwie problemy ochrony przyrody udało się wyprowadzić poza gabinety i dotrzeć z nimi do szerokiej rzeszy obywateli – w dużym stopniu dzięki Lidze Ochrony Przyrody. Wielkim sprzymierzeńcem okazały się również Lasy Państwowe. Ustawa z dnia 31 stycznia 1980 r. o ochronie i kształtowaniu środowiska, obowiązująca aż do 2001 r., była w tym czasie jedną z najnowocześniejszych w Europie. Niestety aż do transformacji 1989 r. była martwym przepisem.

Ten przełomowy rok 1989 to również moment powstania unikatowego w skali świata systemowego rozwiązania zapewniającego efektywne i profesjonalne finansowanie ochrony środowiska w naszym kraju. 27 kwietnia 1989 r. w oparciu o ustalenia „okrągłego stołu" na podstawie nowelizacji Ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska z 1980 r. utworzono Narodowy Fundusz. Działalność zaś NFOŚiGW rozpoczął 1 lipca 1989 r., zgodnie z rozporządzeniem ministra ochrony środowiska i zasobów naturalnych z 30 czerwca 1989 r. o nadaniu statutu Funduszowi. Narodowy Fundusz pełni funkcję lidera systemu finansowania ochrony środowiska i gospodarki wodnej w Polsce, współtworząc go z 16 wojewódzkimi funduszami ochrony środowiska i gospodarki wodnej (WFOŚiGW) oraz Bankiem Ochrony Środowiska (BOŚ SA). Pierwszym prezesem instytucji został Lesław Puczniewski. Obecny prezes – Kazimierz Kujda – sprawuje tę funkcję po raz trzeci.

Narodowy Fundusz i fundusze wojewódzkie działają na podstawie ustawy (zgodnej z prawem unijnym) Prawo ochrony środowiska z 27 kwietnia 2001 r. (tj. Dz.U. 2018 r. poz. 218) oraz powiązanych z nią aktów prawnych. Tworząc spójny system wspierania inwestycji proekologicznych, wspólnie prowadzą gospodarkę finansową z zachowaniem dbałości o to, aby środki pochodzące z Unii Europejskiej, niepodlegające zwrotowi, przeznaczone na ochronę środowiska i gospodarkę wodną były absorbowane racjonalnie i efektywnie. NFOŚiGW wdraża to zadanie, zapewniając beneficjentom środków zagranicznych – w formie pożyczek – uzupełniający wkład własny oraz troszcząc się o sprawne i skuteczne realizowanie obowiązków Instytucji Wdrażającej Program Operacyjny Infrastruktura i Środowisko (POIiŚ). Ponadto Narodowy Fundusz tworzy odpowiednie warunki do wdrażania finansowania ochrony środowiska i gospodarki wodnej ze środków zagranicznych, a także skupia się na efektywnym realizowaniu wszystkich funkcji zarządzania i kontroli nad funduszami zagranicznymi, zgodnie z wymogami prawa Unii Europejskiej i prawa krajowego.

eprasa.pl 7b31e575ab



miarą patriotyzmu

W ciągu 30 lat działalności dzięki zaangażowaniu finansowemu NFOŚiGW udało się sfinalizować w Polsce wiele ważnych inwestycji proekologicznych.

Efektem realizowanych przy wsparciu NFOŚiGW w latach 1989–2017 projektów w obszarze gospodarki wodno-ściekowej była budowa lub modernizacja ponad 1,6 tys. oczyszczalni ścieków oraz ponad 83 tys. km kanalizacji. Dofinansowanie (ze środków unijnych i krajowych) wyniosło 33,6 mld zł, przy łącznej wartości projektów sięgającej prawie 87 mld zł. Działania wdrożeniowe Narodowego Funduszu wydatnie przyczyniły się do realizacji Krajowego Programu Oczyszczania Ścieków Komunalnych i wypełniania przez nasz kraj Dyrektywy Rady 91/271/EWG z dnia 1 maja 1991 r. dotyczącej oczyszczania ścieków komunalnych. Dzięki środkom NFOŚiGW w tym samym okresie zmodernizowano także kluczowe obiekty polskiej energetyki zawodowej.

Kolejnym ważnym działaniem NFOŚiGW jest wdrażanie programu priorytetowego *Czyste Powietrze*. Jego realizacja odbywa się na podstawie porozumienia NFOŚiGW z wojewódzkimi funduszami ochrony środowiska i gospodarki wodnej oraz BOŚ SA. Planowany budżet programu na lata 2018–2029 ma wynieść 103 mld zł. Środki na wymianę źródeł ciepła i przeprowadzenie termomodernizacji oraz montaż mikrogeneracji OZE otrzymają w formie pożyczek i dotacji – jako beneficjenci końcowi – osoby fizyczne mające prawo własności lub będące współwłaścicielami budynków. Umowy z beneficjentami podpisywane będą przez WFOŚiGW, a NFOŚiGW przekaże środki funduszom wojewódzkim. Na dotacje przewidziano 63,3 mld zł, a na pożyczki – 39,7 mld zł.

Dopełnieniem programu *Czyste Powietrze* są działania i poddziałania I osi priorytetowej POIiŚ 2014–2020 w obszarze niskoemisyjnej gospodarki, dla których NFOŚiGW jest Instytucją Wdrażającą, działanie 1.7 POIiŚ 2014–2020 Kompleksowa likwidacja niskiej emisji na terenie województwa śląskiego, dla którego Instytucją Wdrażającą jest WFOŚiGW w Katowicach, a także wszystkie programy priorytetowe NFOŚiGW i 16 WFOŚiGW w obszarze ochrony klimatu i poprawy jakości powietrza. Obecnie także sam NFOŚiGW wdraża w tym zakresie sześć działań/poddziałań POIiŚ 2014–2020 oraz realizuje 17 własnych programów priorytetowych bądź ich części.

3 marca 2016 r. NFOŚiGW podpisał umowę z Ministerstwem Energii w sprawie realizacji w ramach POIiŚ 2014–2020 projektu „Ogólnopolski system wsparcia doradczego dla sektora publicznego, mieszkaniowego oraz przedsiębiorstw w zakresie efektywności energetycznej oraz OZE". Jest to projekt partnerski z udziałem NFOŚiGW, w charakterze partnera wiodącego, oraz 15 wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej i województwa lubelskiego. W jego ramach powstała ogólnokrajowa sieć kilkudziesięciu doradców, którzy służą ze szczebla regionalnego i lokalnego pomocą instytucjom i osobom chcącym skorzystać ze wsparcia w dziedzinie efektywności energetycznej oraz wdrażania OZE. W ramach działań systemu NFOŚiGW zamierza przeszkolić 1,3 tys. energetyków gminnych.

Nie można pominąć roli NFOŚiGW jako przyszłego operatora Funduszu Niskoemisyjnego Transportu (FNT). Rozwój elektromobilności oraz innych form transportu niskoemisyjnego stanowi jeden z kluczowych elementów rządowej Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Celem zasadniczym sformułowanym w tym dokumencie jest zrównoważony rozwój Polski i poprawa jakości życia mieszkańców. W to strategiczne przedsięwzięcie wpisują się działania Narodowego Funduszu – instytucji, której misją od niemal 30 lat jest finansowe wspieranie najważniejszych projektów proekologicznych w Polsce, służących ludziom i państwu. Miarą patriotyzmu i obywatelskiego zaangażowania, o czym warto pamiętać szczególnie w okresie obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, jest również ekorozwój kraju, poszanowanie środowiska naturalnego i ochrona pięknej polskiej przyrody w myśl hasła: „Zainwestujmy razem w środowisko".

Anna Raciniewska

Polityka ekologiczna Polski kieruje się zasadą zawartą w Konstytucji RP. Tam w artykule 5 czytamy: „Rzeczpospolita Polska strzeże niepodległości i nienaruszalności swojego terytorium, zapewnia wolności i prawa człowieka i obywatela oraz bezpieczeństwo obywateli, strzeże dziedzictwa narodowego oraz zapewnia ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju".

eprasa.pl 7b31e575ab

Czas na cyfrowy biznes

Polacy cenią rozwiązania, które przyspieszają i ułatwiają im przebrnięcie przez sprawy urzędowe. Dlatego takim sukcesem okazała się cyfryzacja polskiej administracji i integracja jej z bankowością elektroniczną. Ponad połowa wniosków w rządowym programie Dobry Start była złożona i przeprocedowana właśnie tym kanałem



ANNA RACINIEWSKA

PKO Bank Polski pierwszy umożliwił klientom korzystającym z bankowości elektronicznej składanie wniosków o świadczenie z programu 500+, dostęp do PUE ZUS, opcję składania wniosku PIT-WZ czy tworzenie Profilu Zaufanego (eGO). Teraz przyszedł czas na podmioty komercyjne: Polacy będą mogli zawierać umowy za pośrednictwem bankowości elektronicznej PKO Banku Polskiego.

– Możliwość zdalnego potwierdzania tożsamości jest kluczem do wielu e-usług, który umożliwi kolejny etap cyfrowej ewolucji kraju. Jako największy bank działający na rodzimym rynku chętnie wdrażamy i testujemy nowatorskie rozwiązania. Obsługując kilka milionów aktywnych klientów internetowych, chcemy zapewnić im dostęp do nowych usług poprzez narzędzia spełniające najwyższe standardy bezpieczeństwa. Naszym celem jest popularyzacja cyfrowej tożsamości w świecie komercyjnym i e-administracji – mówi Adam Marciniak, wiceprezes zarządu PKO Banku Polskiego.

W pilotażowym programie bank PKO BP jako dostawca tożsamości we współpracy z Krajową Izbą Rozliczeniową – administratorem systemu – udostępnia klientom banku nową usługę: mojeID. Pierwszym podmiotem komercyjnym, który wszedł do programu jako dostawca usług, jest PGNiG Obrót Detaliczny.

– Cyfrowa tożsamość, jaką jest mojeID, to odpowiedź na potrzeby zarówno rynku, jak i jego klientów. Bank, weryfikując klienta w oddziale, sprawdza jego dowód osobisty, jego dane. Wszystko odbywa się w oparciu o Prawo bankowe i rozporządzenie eIDAS. Zweryfikowaną tożsamość bank może i chce udostępnić dalej, a nie zatrzymywać jedynie na własne potrzeby – wyjaśnia Michał Kalinowski z Departamentu Usług Cyfrowych PKO Banku Polskiego.

Dotychczas udostępniał ją polskiej administracji, która potwierdzała tożsamość obywatela w bankowości elektronicznej iPKO, procedując wnioski składane w rządowych programach, np. 500+ czy Dobry Start. Bankowość elektroniczna umożliwia również zarejestrowanie firmy w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej. Teraz przyszedł czas na rozszerzenie współpracy w rejonie biznesu, co pozwoli na przeniesienie do cyfrowego świata nowych usług komercyjnych, które wcześniej wymagały osobistej wizyty w punkcie obsługi czy pośrednictwa firm kurierskich.

– Dostawca, aby móc świadczyć swoją usługę, musi zweryfikować tożsamość klienta. Na ten moment oznacza to, że klient musi się stawić osobiście w biurze podmiotu, aby tam mógł podpisać umowę. Innym sposobem stosowanym przez firmy jest przesyłanie dokumentów poprzez kuriera, który tożsamość klienta potwierdza na miejscu i zabiera podpisane umowy. Usługa mojeID upraszcza ten proces do wystosowania zapytania usługodawcy do KIR i do banku o potwierdzenie, czy dana osoba jest tą, za którą się podaje. Klientowi potrzeba dosłownie chwili on-line, aby poprzez zalogowanie się do bankowości elektronicznej potwierdzić swoją tożsamość – tłumaczy Michał Kalinowski.

– Nowe rozwiązania cyfrowe pozwolą klientom PGNiG na wygodną i szybszą obsługę umów oraz dostęp do nowych usług. Dla nas z kolei to możliwość skutecznego dotarcia do odbiorców, którzy coraz chętniej korzystają z nowoczesnych technologii. Chcemy być bliżej naszych klientów, by lepiej rozumieć ich potrzeby. W tym zdecydowanie pomoże nam usługa mojeID – mówi Tadeusz Kuczborski, wiceprezes zarządu PGNiG Obrót Detaliczny.

Dla klienta zebranie obsługi wszelkich kontaktów z usługodawcami w jednym miejscu: pod szyldem bankowości elektronicznej, oznacza także ułatwienie w postaci wspólnego loginu i hasła. To nie tylko większa wygoda, lecz również bezpieczeństwo.

– Dodatkowym atutem z perspektywy klienta jest to, że bank – zarówno aplikacja, jak i procedury – zapewnia pełne bezpieczeństwo udostępniania danych. Bank jest podmiotem audytowanym, stroną zaufaną zapewniającą, że dane klienta „nie wyciekną". Zresztą ten projekt ma dla każdej ze stron wiele zalet. Z perspektywy klienta to przyspieszenie procesu, zwiększenie bezpieczeństwa. Ze strony dostawcy usługi to również przyspieszenie procesu – tak naprawdę zamknięcie go w kilka minut, ale także optymalizacja kosztów, np. po-

eprasa.pl 7b31e575ab



KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ to cykl dziesięciu programów publicystycznych na antenie telewizji wPolsce.pl emitowanych w każdą środę. Najciekawsze wątki rozmów w studiu przenosimy na łamy tygodnika „Sieci" w pięciu publikacjach. Zapraszamy widzów i czytelników do oglądania kolejnych odcinków cyklu, w którym poruszamy temat narodowości kapitału, inwestycji, współpracy państwa, biznesu i instytucji finansowych.

Fot. Shutterstock

przez zmniejszenie zużycia papieru czy opłat za usługi kurierskie. Z perspektywy KIR to usługa mająca swoją cenę. Dla banku jest to również korzyść finansowa za usługę weryfikacji tożsamości – dodaje Michał Kalinowski.

Usługa mojeID jest skierowana do klientów indywidualnych, trwają jednak prace koncepcyjne nad projektem analogicznej usługi przeznaczonej dla klienta biznesowego.

Tymczasem kolejnym krokiem w realizacji porozumienia podpisanego przez PKO BP, KIR oraz PGNIG Obrót Detaliczny będzie pilotażowe wdrożenie kwalifikowanego podpisu elektronicznego mSzafir, wykorzystującego technologię chmurową. Dzięki rozwiązaniu będzie można zdalnie wyrobić certyfikat, wykorzystując do tego uwierzytelnienie tożsamości on-line w usłudze mojeID.

– Niestety dziś dzięki potwierdzeniu e-tożsamości nie możemy zawrzeć wszystkich transakcji. Regulacje prawne pozwalają nam na składanie oświadczeń woli tylko w pewnym zakresie. Aby dopełnić możliwość digitalizacji wszystkich procesów, musimy dodać podpis kwalifikowany w chmurze. Podpis kwalifikowany nie jest jeszcze popularny w Polsce. To forma prawna równoznaczna z formą pisemną – tylko tyle, że jest w formie elektronicznej. Wśród dostawców świadczących taką usługę jest m.in. Krajowa Izba Rozliczeniowa. Aby z niej skorzystać, należy dopełnić wielu procedur – tłumaczy Michał Kalinowski.

Podpis kwalifikowany w chmurze ma znacznie zwiększyć dostępność tej usługi. Wdrożenie mSzafir będzie się odbywać analogicznie do usługi mojeID. Po stronie banku i KIR będą leżały odpowiedzialność za zgodność z licznymi regulacjami prawnymi oraz zapewnienie bezpieczeństwa. Takim podpisem bowiem klient może sygnować każdy dowolny dokument, bez ograniczeń, nawet te, które przez regulacje prawne wymagają formy pisemnej pod rygorem nieważności.

– W usłudze mSzafir KIR wydaje, a my jako bank potwierdzamy, tożsamość klienta. Klient sam nie musi robić już nic, poza złożeniem oświadczenia woli, że chce coś podpisać podpisem kwalifikowanym – dodaje Michał Kalinowski.

W ramach dalszej współpracy planowane jest wdrożenie usługi automatyzującej płacenie rachunków Qlips, rozwoju i promocji innowacyjnych form płatności elektronicznych oraz pilotaż procesu przyjmowania płatności WebPOS Paybynet w wirtualnych terminalach.

– Nasze wspólne działania adresują potrzeby sektora bankowego, usługodawców i oczywiście klientów, którzy będą mieli szansę korzystać z ich oferty bez potrzeby wychodzenia z domu. Kluczem jest komplementarność – myślimy o cyfrowych usługach, które budują w sieci środowisko przyjazne klientowi. To przyniesie także bezpośrednie korzyści biznesowe, m.in. redukcję stałych kosztów obsługi. Przykładowo, dzięki wdrożeniu usługi Qlips, ograniczymy obieg papierowych faktur, a informacje o płatnościach klient dostanie bezpośrednio w swojej bankowości internetowej – mówi Piotr Alicki, prezes Zarządu KIR.

eprasa.pl 7b31e575ab



Smakowita mozaika z gołąbków

Danie absolutnie kultowe w moim domu. Przygotowywane z taką troską i dobrym sercem jak żadne inne. Mające tylko dla siebie specjalny, gigantyczny gar, bo jak już się rodzice zabrali do zwijania, to mało być nie mogło

Podział był zwykle taki, że tata mordował się z kamienną głową, czyli wielką, twardą kapustą, wycinał głąb, stopniowo parzył głowę i partiami obierał z liści. Delikatnie, żeby ich nie uszkodzić. Obgotowywanie też jest nie lada wyzwaniem – liście muszą pozostać miękkie i plastyczne, inaczej porobią się dziury i farsz wypłynie w czasie długiego duszenia.

W czasach mojego dzieciństwa czy młodości surowy głąb był rarytasem. Dziś nie radzę go jeść, to w nim zbierają się wszystkie zanieczyszczenia, które kapucha wysysa z ziemi wraz ze składnikami odżywczymi. Jeden głąb pewnie nikogo nie zabije, ale gdyby objadanie się nimi weszło komuś w krew, musiałby się już teraz zapisać na transplantację wątroby.

Mama robiła farsz – mielone z wołowiny i łopatki lub szynki z ryżem, ugotowanym uprzednio al dente. Gar wykładano liśćmi i plasterkami boczku, a potem szły piętrami zawijane w liście kotlety. Każda warstwa przedzielona liśćmi i boczkiem, posmarowana przecierem pomidorowym, doprawiona listkami bobkowymi i zielem angielskim. Gotowało się to wszystko na bardzo wolnym ogniu kilka godzin, a gdy było gotowe, rodzice spraszali przyjaciół i zajadaliśmy się, po prostu ciesząc się swoją obecnością, zapachami, błogim poczuciem bezpieczeństwa.

Zadziwiające, jak bardzo dobre jedzenie działa na zmysły i pamięć. Do dziś gdy rodzice zrobią gołąbki, mamy rodzinne święto, a potem wracamy objuczeni paczuszkami, które mrozimy i wydzielamy sobie od czasu do czasu.

GOŁĄBKI WSZYSTKICH KRAJÓW

Miło byłoby mieć pewność, że gołąbki, które tak bardzo nas łączyły przy stole, są polską specjalnością. Ale nie są. Znają je Grecy – oni siekanymi składnikami: wołowiną, ryżem, miętą, natką, pomidorami i cebulą, faszerują kiszone liście winogron, a danie nazywają dolmades. Jedzą je z kwaśnym sosem cytrynowo-jogurtowym. Turcy podobną mieszanką nadziewają młode liście kapusty.

Czesi jedzą holubky podobne do naszych, ale z knedlikami i sosem pomidorowym, Ukraińcy mają hołubci podawane z ziemniakami. Węgrzy dodają do nadzienia pęczak, a gotowe gołąbki duszą polane tłustym sosem ze słoniny podsmażonej z mocno napaprykowaną kiełbasą, układają je na kwaśnej kapuście. Przy naszej wschodniej granicy farsz często składa się z kaszy gryczanej z grzybami (jadłam też z wędzonymi śliwkami), a zawijane są w liście kapusty kiszonej. Bo oprócz szatkowanej kiszono tam też na zimę całe główki. Gołąbki

eprasa.pl 7b31e575ab

zapiekane są w płaskim naczyniu i podlewane sokiem z kapusty. Im bliżej na zachód, tym są słodsze i mniej mają dodatków kiszonych, charakterystycznych dla kuchni za naszą wschodnią granicą.

SUŁTAŃSKA ROBOTA

Skąd się w ogóle wzięły? Jadalne liście pierwsi nadziewali Osmanowie, a podbijając Europę, rozwlekli po niej również swoje smaki. A te podbijały skuteczniej niż armia sułtana. Chałwa, marcepan, szaszłyki z jagnięciny i warzyw, kebab – któż ich nie lubi? Tam, dokąd dotarły tureckie wpływy, znane są też ich smakołyki. Jedne od tak dawna, że wiele kuchni narodowych zdążyło je przetrawić i dołączyć do swoich tradycji kulinarnych. Taki los spotkał właśnie najprawdopodobniej gołąbki. Zasada jest podobna – siekane mięso z kaszą lub ryżem, warzywa i przyprawy, a wszystko zawinięte w liść i albo od razu duszone lub pieczone w sosie pomidorowym, albo jeszcze wcześniej obsmażane.

Jest też wariant dla leniwych, nazywany też gołąbkami po cygańsku. Te robione są bez owijki. Liście kapusty kroi się i dodaje do farszu. Podawane są na dwa sposoby – albo jako danie jednogarnkowe, albo jako kotleciki. Są pyszne, ale tracą aurę tajemnicy, przynajmniej dla mnie. Wolę mięso schowane w starannie złożonym liściu.

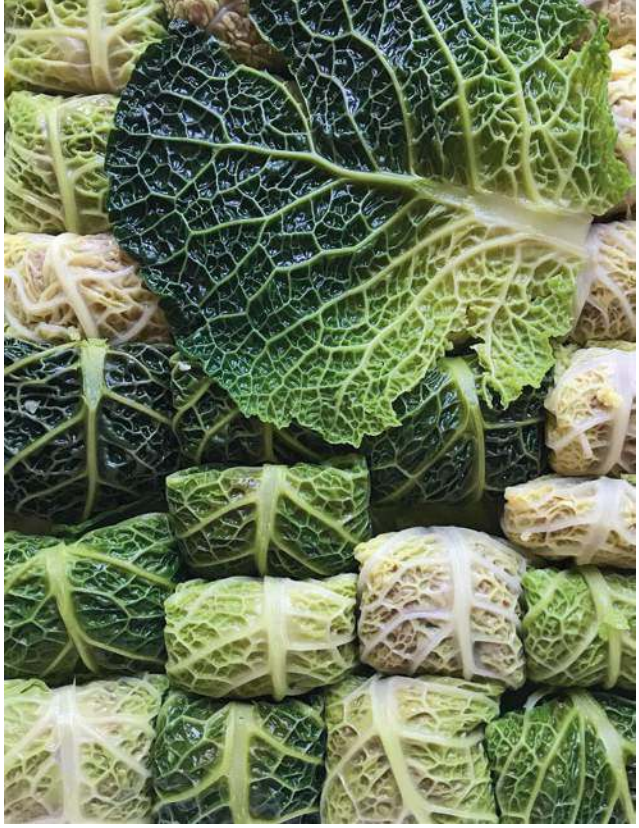
> Gołąbki są pyszne i mają cudowną moc wabienia gości. Zwłaszcza gdy znajomi zobaczą kolorową mozaikę małych zawiniątek w brytfannie

PO WŁOSKU

Ja też robię gołąbki, choć przez wiele lat nie brałam się do nich, żeby nie rywalizować niepotrzebnie z rodzicami. Ale oni mają na nie coraz rzadziej siłę, a ja mam na to danie coraz częściej ochotę, więc musiałam się zmierzyć z problemem.

Moje gołąbki są inne już choćby dlatego, że robię je z włoskiej kapusty. Równie zdrowej jak kamienna głowa, ale znacznie ładniejszej i bardziej wyrazistej w smaku. Ma cudnie cieniowane liście – przy głąbie prawie białe, pośrodku bladozielone, a na końcach bardzo ciemne. Do tego mocno karbowane, pełne żyłek i zagłębień. Łatwo się je zdejmuje z surowej kapusty i blanszuje w lekko osolonej wodzie, żeby zmiękły, ale zachowały kolor. Zawsze ścinam na płasko nasadę pędu, bo jest zazwyczaj gruba i sztywna, więc utrudnia owijanie farszu. Zblanszowane liście (czyli zagotowane krótko we wrzątku) suszymy na sicie.

Z dwóch niewielkich główek jest około 30 liści na tyle dużych, żeby wyszły zgrabne gołąbki wielkości pięści dziecka.



Gdy będziecie wybierać warzywa, dokładnie je obejrzyjcie, zajrzyjcie zwłaszcza pod liście i sprawdźcie, czy w ich karbkach nie ukryły się małe białe motylki – mączliki warzywne. To paskudny pasożyt, który wypija soki z liści warzyw kapustnych, a więc także brokułów czy brukselki.

Na farsz biorę mieloną indyczynę z udźca i na ostro doprawiony ryż basmati. Gotuję go w proporcji 1:2 z oliwą, solą i masalą. Mieszam z mięsem, czosnkiem, posiekaną cebulą. Indyk jest chudy, więc jego mięso robi się w pieczeniu twardawe. Rozbijamy je właśnie ryżem, warzywami i oliwą, która natłuszcza i zmiękcza. Wreszcie zwijam zgrabne pakuneczki. Na dnie brytfanny najpierw lądują plastry cebuli i liście kapusty, które niechcący uszkodziłam, potem jeden obok drugiego, jak mozaikę, układam gołąbki. Zalewam je sosem pomidorowym, kilkanaście małych pomidorków rozrzucam na wierzchu, solę, pieprzę, okrywam folią aluminiową i na półtorej godziny ładuję do nagrzanego na 180 stopni piekarnika. Podaję je z jogurtem doprawionym czosnkiem i cytryną. Są pyszne i mają cudowną moc wabienia gości.

Ostatnio robiłam eksperyment – Melvit wypuścił przed świętami wegetariański farsz do pierogów: kaszę gryczaną z grzybami i cukinią. Wykorzystałam go do gołąbków – wyszły doskonale. Kasza gryczana jest świetną bazą dla rozmaitych nadzień. Pasują do niej siekane śliwki wędzone, kapusta kwaszona, biały ser, mielone orzechy z rodzynkami. Perłowa albo pęczak zresztą też, wymieszane ze smażonym chudym boczkiem i suszonymi na słońcu morelami, pokrojonymi w drobniutką kostkę. Można takie gołąbki zawijać w delikatniejszą kapustę, pekińską. Jej liście też się krótko blanszuje, a potem trzeba wyciąć żyłki. Wychodzą malutkie, na jeden kęs. Raczej wróbelki.

Można poświęcić parę sobót, żeby sprawdzić, który wariant wam najbardziej smakuje – klasyka z mielonym i ryżem czy coś bardziej nowoczesnego i oryginalnego.

Tekst i zdjęcia ***Anna Monicka***

eprasa.pl 7b31e575ab

Śniadanie w najlepszym towarzystwie



Fot. TVP

TOMASZ WOLNY DZIENNIKARZ, PREZENTER

Od kiedy zacząłem przygodę z „Pytaniem na śniadanie", telewizja smakuje mi inaczej, ale śniadanie pozostało tym samym, czyli owsianką na naturalnym jogurcie. Z owocami, które przynosi pora roku. I zawsze w najlepszym towarzystwie, czyli z żoną i dzieciakami.

Natomiast telewizyjne śniadania wprowadziły mnie w zupełnie nowy świat: nowe smaki, zapachy, nowe emocje i odczucia. I choć w programie pojawiam się od kilku lat, nadal jest on dla mnie czymś ekscytującym, inspirującym i wciąż nowym. Za sprawą gości, którzy przychodzą do studia, i tematów, które z sobą przynoszą. Ta praca jest wiecznym uniwerkiem. Tu nie ma nudy. I zawsze jest zaciekawienie, co się wydarzy za rogiem.

Pochodzę z Poznania, miasta, które pyrą stoi. Z wyjątkiem... śniadań. Jestem rocznik 1980, więc jeszcze parę lat kryzysu powinienem kulinarnie pamiętać, ale nie pamiętam. Dzięki mamie i pewnie także dzięki tacie. Natomiast tym, co z dzieciństwa zapamiętałem (w kwestii smaku), były tradycyjne polskie śniadania. Począwszy od jajecznicy i chleba (zawsze ciemnego, często wypiekanego przez mamę), a także – jeśli chodzi o mnie – pomidorów i ogórków (surowych, kiszonych, małosolnych; w zależności od pory roku).

Rodzice długo się śmiali, że jak są pomidory i ogórki, moje śniadanie mają z głowy. A jeszcze gdy dorzucą do nich kawał ciemnego chleba i jajecznicę, będę w niebie. Ale... zmieniło się to, kiedy byłem na studiach i przez dobrych kilka lat podróżowałem po świecie. Przesiadłem się wtedy na szybką wersję śniadania dla Wolnego, czyli owsiankę na jogurcie. Wkrajam do niej owoce, które są pod ręką, i przez trzy godziny „mam prąd".

W temacie porannych posiłków pozostaję nudziarzem. Na dodatek zaraźliwym. Mam potwierdzone przypadki, że z paróweczek, kabanosików, pasztecików i szyneczek ludzie – zainspirowani naszymi śniadaniami – przechodzą na dobrą stronę mocy, czyli owsianeczkę służącą zdrowiu i dającą energię minimum na dwie–trzy godziny.

Owsianka ratuje też poranną logistykę. Gdy ma się trójkę dzieci, choćby coraz bardziej samodzielnych, ale wciąż wymagających pomocy przy ubieraniu się, toalecie, pakowaniu, to śniadanie mieszczące się w jednym garnku jest wybawieniem. Potem tylko każdy swoją owsiankową bazę „personalizuje". Halszce dodajemy do miseczki trochę więcej miodu, Zosia musi mieć osobno jabłka, Tymek wcina wszystko jak tata, z tym że tata dodaje więcej jogurtu. A ponieważ mama też „wchodzi" w owsiankę, śniadanie nie zabiera zbyt wiele cennego porannego czasu.

Oczywiście kiedy dzieciaki jadą do dziadków, uwielbiają sobie zjeść rano jasną bułeczkę z szyneczką i żółtym serkiem, ale potem chętnie wracają do owsianki.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Szybka owsianka Tomasza Wolnego

Szybszego przepisu nie ma. Płatki owsiane, wyłącznie górskie, zalewamy zimną wodą, mieszamy i zlewamy to, co wypłynie na wierzch. Stawiamy na ogień. Dodajemy jogurt. Robi nam się fajna brejza, którą podgrzewamy, nie rozgotowując. Wszystko jest al dente i chrupie między zębami. Ciepłe wykładamy na miseczki i dodajemy np. krojone jabłka, gruszki, co tam jeszcze mamy pod ręką (dobrze, gdy są to np. orzechy) i na co mamy ochotę. Zjadamy z apetytem na dobry początek dnia. Czym popijamy? Dzieci dostają mleko, herbatkę lub kakao, żona kawę, a ja – niezmiennie – wodę.



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7b31e575ab

SŁODKO-SŁONY

Zdrowa reanimacja

ANNA MONICKA

Nie marnować, nie wyrzucać, dawać drugie życie przedmiotom – to coraz silniejszy trend. Ja wszystko porcjuję i mrożę mniejsze dawki, żeby jedzenie się nie starzało. Z obierek robię buliony (na wzór Francuzów), z warzyw wygotowanych w rosole pasztety. Stare ziemniaki zapiekam z serem lub używam do zagęszczania zup i sosów. To, moim zdaniem genialny patent, bo nie muszę robić mącznej zaprawy, poza tym następnego dnia ziemniaki są zdrowsze i mniej kaloryczne.

Najwięcej pola do popisu daje jednak suche pieczywo. Nie każde warto reanimować, ale porządne, ręcznie robione wręcz trzeba. Ważne, by nie podpleśniało; nie powinno, jeśli zamiast szczelnie zakręconej folii użyjecie do przechowywania papierowych i lnianych toreb.

Bułeczki – ścinamy im wieczka, wydłubujemy miąższ i do każdej wkładamy plasterek sera owczego, pomidora, a na wierzch wbijamy jajko. Wkładamy do gorącego piekarnika na 10–12 min i mamy doskonałe, sycące śniadanie.

Razowiec – z niego zrobimy miodowe ciasteczka. Nasączone miodem plastry chleba posypujemy mielonymi orzechami i podpiekamy jak tosty.

Z bagietki będą doskonałe tosty do zup. Posmarowane oliwą i czosnkiem plastry bułki wkładamy do piekarnika i pieczemy 10 min. Najsmaczniejsza i najprostsza jest cebulowa: cztery duże białe cebule kroimy w piórka i podsmażamy na oliwie, aż się zeszklą. W bulionie warzywnym miksujemy dwa–trzy ugotowane ziemniaki i zalewamy zupę. Doprawiamy curry, solą i pieprzem, nie zaszkodzi też szklaneczka białego wina. Chwilę gotujemy, przelewamy do kokilek, na wierzchu układamy grzankę, posypujemy pachnącym twardym serem, może być cheddar, i zapiekamy.

Mnie z gołąbków zostały środki włoskiej kapusty. Zmiksowałam je z takim bulionem ziemniaczanym jak ten, którego użyłam do zupy cebulowej, doprawiłam imbirem i masalą, solidnie koprem i podawałam z pokrojonym w kosteczki i podpieczonym na blasze chlebem pytlowym oraz ziarnem słonecznika z chili. To bardzo sycąca, pełna witamin zupa na chłodne dni.



Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

W głębi zimowej rzeki



Fot. Shutterstock

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Opisując ryby najbardziej cenione w Rzymie, Pliniusz Starszy na drugim miejscu, zaraz po morskich wargaczach, wymienił miętusy. „I to tylko wątroby miętusów, które, rzecz dziwna, równie dobre jak morskie żyją także pośród Alp, w Recji, w Jeziorze Brygantyńskim" (obecnie nazywanym Bodeńskim, a Recja to Szwajcaria).

Istotnie mięso miętusów, a zwłaszcza wyjątkowo duże wątroby, od dawna były cenione w kuchni i Pliniusz miał rację, zwracając na nie uwagę. Przede wszystkim jednak miętus pospolity Lota lota jest niezwykle ciekawym gatunkiem, oryginałem wśród ryb – i z wyglądu, i pod względem osobliwości obyczajów.

Zamieszkuje rzeki o wodach zimnych, natlenionych i kamienistym dnie. Występuje również w Polsce, dorastając kilku kilogramów masy ciała; miętusy z północy Ameryki i Syberii dochodzą podobno do 20 kg. Jest jedynym słodkowodnym przedstawicielem dorszokształtnych (pisząc zatem o morskim m.in. występowaniu, Pliniusz połączył go z innymi spokrewnionymi gatunkami).

Ciało miętusa jest wydłużone, o ślicznym marmurkowo-zielonym ubarwieniu. Pysk drapieżnego miętusa, uzbrojony w ostre tarki zębów, ma w sobie coś żabiego, a przy tym jest miętus rybą wyjątkowo ładną. Na brodzie ma pojedynczy, długi wąs, przypominający hiszpańską bródkę, którym bada przed sobą ciemne, rzeczne głębiny – żyje bowiem przy dnie i jest aktywny nocą – i to nocą zimową.

Podczas gdy inne nasze gatunki ryb zimą schodzą w głębsze partie wód i jako stworzenia zmiennocieplne zapadają w odrętwienie, a w każdym razie bardzo ograniczają aktywność, miętusy ożywiają się wraz ze spadkiem temperatury. Najlepszą porą i pogodą na połów miętusa jest przenikliwie zimny listopadowy wieczór, okraszony deszczem ze śniegiem. Jednak już od 1 grudnia nie wolno łowić miętusów i aż do końca lutego obowiązuje okres ochronny, gdyż w tej właśnie porze miętusy rozkręcają się najbardziej i przystępują do tarła.

Kiedy następnym razem staniemy nad zimową rzeką, spójrzmy na nią inaczej i pomyślmy o zagadkach, które kryją się pod jej cichą, pozornie spokojną powierzchnią. Miętus to jedna z nich.

eprasa.pl 7b31e575ab

Coś się rozłazi w szwach

PIOTR SKWIECIŃSKI

„Wśród populistycznej prawicy na całym kontynencie coraz częstszym sposobem mobilizacji gniewu jest posługiwanie się antysemityzmem bez antysemitów” – napisał Marek Beylin w „Wyborczej”. Jakie widzi tego przejawy?

Pisze otóż o demonstracjach francuskich „żółtych kamizelek”, gdzie rzekomo dostrzeżono (ja o tym nie słyszałem) „antysemickie hasła wiążące polityczne czy finansowe elity z narodową obcością i światowymi machinacjami z udziałem Żydów. Również w Polsce próbowano takich operacji, portretując na przykład George’a Sorosa zgodnie z antysemickim stereotypem: wróg chrześcijaństwa i mocnych tożsamości narodowych, wielbiciel multikulti oraz miliarder pochodzenia węgiersko-żydowskiego. Dodam tylko, że na takich przeciwstawieniach – lud kontra finansjera, tożsamość narodowa i chrześcijaństwo kontra kosmopolityzm i obcość – wyrastał w XIX w. nowoczesny antysemityzm. Teraz powraca on do źródeł: bierze konstrukcję, wyrzuca tylko etykietę” – przestrzega Kasandra z Czerskiej.



Za chwilę będzie można uznać za antysemitę każdego, kto jest przeciwnikiem dyktatury elit, nawet gdyby owe elity były w całości bardziej aryjskie od samego Stirlitza

Ten cytat dobrze ilustruje pewien myślowy schemat, który liberalne elity – i te polskie, i te zachodnie – w walce ze swymi przeciwnikami stosują wręcz instynktownie. Przy czym czasem w to szczerze wierząc (co wystawia wierzącym świadectwo kiepskie w sensie intelektualnym), a czasem cynicznie. A w tym schemacie idzie o próbę ubezwłasnowolnienia krytyków drogą moralnego szantażu.

Przeciwników dyktatury elit oskarża się oto o antysemityzm, przy czym – i to jest znamienne – również, a wręcz przede wszystkim wtedy, kiedy oskarżający nie może przytoczyć żadnego konkretnego faktu świadczącego o owym antysemityzmie. Antysemityzmem ma być po prostu to, co się ideologom dyktatury z antysemityzmem kojarzy. A jeśli komuś się nie kojarzy? To zapewne sam jest antysemitą.

No bo popatrzmy: oto „Sorosa portretuje się zgodnie z antysemickim wzorcem” – jako wroga chrześcijaństwa i tożsamości narodowych oraz wielbiciela mulitikulti. I ponieważ w ten sposób kiedyś antysemici przedstawiali Żydów, to podobne przedstawienie Sorosa dowodzi antysemityzmu. No tak, tylko czy Beylin uważa, że Soros nie jest niechętny nawet nie tyle chrześcijaństwu, ile w ogóle wszelkim religiom, a także tożsamościom narodowym? I nie chce tych ostatnich roztopić w multikulti? Zauważmy, że takie zaprzeczenie nie przechodzi Beylinowi przez gardło, no bo przecież to byłby jawny absurd; ów finansista nie ukrywa takich swoich poglądów ani tego, że za pomocą swych pieniędzy usiłuje je wcielać w życie.

Nie, Beylin temu nie przeczy, tylko mówi, że tego nie wolno zauważać. Jak rozumiem, dlatego że Soros jest z pochodzenia Żydem, skądinąd zakamieniałym wrogiem Izraela, któremu rząd w Jerozolimie odpłaca się podobnymi emocjami. Innymi słowy: jeśli jakiś Żyd zachowuje się tak, jak kiedyś antysemickie media opisywały Żydów, to nie można tych zachowań dostrzec. Nawet jeśli temu dostrzeganiu nie towarzyszą jakiekolwiek próby łączenia tych zachowań z pochodzeniem opisywanego dżentelmena, i również wtedy, kiedy to pochodzenie nie tylko nie jest wzmiankowane, lecz nawet nie są do niego czynione jakiekolwiek aluzje. Stopniem wyższym, od którego dzieli Beylina już naprawdę niewiele, będzie uznawanie za antysemickie politycznego atakowania kogokolwiek, kto jest wrogi religii i narodowym tożsamościom, nawet jeśli w ogóle nie jest on z pochodzenia Żydem. No i co z tego, że nie jest Żydem!? To, jak mawiał Nikodem Dyzma, nieistotny szczegół; albo jak w „Ziemi obiecanej” ujął wuj Moryca Welta – to nie jest powód ani przyczyna, żeby krytykowanie go nie mogło być przejawem antysemityzmu. I to, dodajmy, najczęściej zwierzęcego.

Bo nie wolno zauważać sprzeczności interesów ludów i finansjery, kosmopolityzmu elit i ich niechęci wobec narodowych tożsamości czy religii. To jest bowiem schemat antysemicki i taki pozostanie, nawet gdyby ta finansjera i te elity były w całości bardziej aryjskie – ba! – bardziej nordyckie od samego bezlitosnego dla wrogów Rzeszy Stirlitza.

Bardzo to charakterystyczna metoda eliminowania przeciwnika. Zastanawia w zasadzie tylko jedno: czy używający jej nie zauważają, że staje się ona już nawet nie nieskuteczna, tylko wręcz przeciwskuteczna? Bo przecież bije po oczach, że w sensie intelektualnej spójności ta narracja rozłazi się w szwach (o matko, co ja napisałem, przecież kiedyś wielu Żydów było krawcami; stwierdzając, że coś się rozłazi w szwach, dopuściłem się antysemickiej aluzji; no nie chciałem, ale tak trudno 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu ukrywać swoje prawdziwe oblicze; Beylin to zaraz wykryje i zdemaskuje mnie w „Wyborczej”...). Używana mimo to jest coraz bardziej irytująca.

A oni tego nie widzą.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7b31e575ab

Ocalić przed pustką



Zarządzone przez ministra kontrole wykazały, że większość działających w Polsce escape roomów nie spełnia norm bezpieczeństwa. Miejmy nadzieję, że koszalińska tragedia i ofiara pięciu dziewczynek radykalnie zmieni ten stan. Może ocali innych

Na początku stycznia ogromne plakaty „Escape Room" z hasłem reklamowym „Na ile się odważysz?!" zapełniały miejską przestrzeń. Na plakatach przerażona twarz dziewczyny próbującej się wydostać z pułapki. Taki film, horror. Dystrybutor przesunął premierę. Gdyby tego nie zrobił, odbyłaby się w dniu pogrzebu Amelii, Gosi, Karoliny, Wiktorii i Julii, pięciu piętnastolatek, które umierały zamknięte w maleńkim pokoju (3,5 m x 2 m), dobijając się, krzycząc, dzwoniąc do rodziców. Jedna z dziewczynek dodzwoniła się do ojca, krzycząc, by ją ratował. Ta rozdzierająca serce tragedia wydarzyła się w koszalińskim bloku, w środku dnia, w certyfikowanym lokalu rozrywkowym zwanym „escape roomem". Przyczyną było ponoć rozszczelnienie butli i zapalenie się gazu. Zarządzone przez ministra kontrole wykazały, że większość działających w Polsce escape roomów nie spełnia norm bezpieczeństwa, kilkadziesiąt z nich zamknięto. Miejmy nadzieję, że koszalińska tragedia i ofiara pięciu dziewczynek radykalnie zmieni ten stan. Może ocali innych.

Krzyk „Tatusiu, ratuj!" zmusił mnie do zrobienia filmu „Historia Kowalskich". Kilku mieszkańców Rekówki dobrze słyszało ten krzyk, gdy 14-letnia Heńka Kordula próbowała uciec przez okno, a Niemiec wciągał ją z powrotem. I dołączył do rodzin Kosiorów oraz Skoczylasów, w których domu Niemcy znaleźli hebrajskie książki. Chwilę potem zagnali ich do stodoły, rozstrzelali i spalili, niektórych żywcem. Nadbiegającego z pomocą ojca Heńki Niemiec powalił uderzeniem kolbą w twarz. Wołany przez telefon ojciec jednej z dziewczynek w Koszalinie też nie zdążył. Nikt nie zdążył.

Dlaczego zestawiam dwie, tak różne tragedie, które dzieli 76 lat? Ten krzyk córki wołającej o pomoc rozdziera serce chyba każdego ojca. Krzyk ginącego dziecka rozdziera serce chyba każdego z nas. Heńka Kordula (i miliony innych dzieci) była ofiarą decyzji niemieckiego państwa i karnej realizacji przez setki tysięcy jego funkcjonariuszy. Ale z punktu widzenia niemieckiego prawa była ofiarą przypadkową, sąsiadka „zaplątała" się w okolicy, a dowodzący akcją oberleutnant Carl Bruno kazał ją dołączyć do skazańców, bo wykazana w spisie nastoletnia córka Kosiorów była nieobecna. A przecież ordnung muss sein, liczba musi się zgadzać.

Niemieckie państwo narodowego socjalizmu programowo, zaciekle i systematycznie zwalczało Kościół i chrześcijaństwo. 6 stycznia byłem w sanktuarium św. Józefa w Kaliszu na uroczystości zakończenia ustanowionego przez papieża Franciszka Roku Świętego Józefa Kaliskiego. I odwiedziłem znajdującą się w podziemiach kościoła izbę pamięci więzionych oraz zamordowanych katolickich księży, zakonników, kleryków, sióstr zakonnych. W 27 obozach koncentracyjnych i obozach śmierci (m.in. Auschwitz, Buchenwaldzie, Bergen-Belsen, Dachau, Flosenburgu, Grensdorf, Gros-Rosen, Gusen, Majdanku, Mauthausen, Neuengamen, Oranjenburgu, Ravensbrück, Sachsenhausen i Stutthof) niemieccy narodowi socjaliści więzili 4618 polskich katolickich kapłanów, kleryków, braci zakonnych i 1,2 tys. sióstr zakonnych. 2,7 tys. kapłanów, 134 kleryków i 187 braci zakonnych zamordowano lub zmarli wskutek tortur i wycieńczenia. Równie zaciekle zwalczali Kościół komuniści.

Celowy, masowy mord niemieckiego państwa, którego ofiarą była Heńka, mimo tego samego krzyku, tego samego cierpienia ginących dzieci i bólu rodziców, jest czymś zupełnie innym, nawet dokładnie odwrotnym niż tragedia niechciana. Pierwsza jest efektem uzurpacji tych, którzy w swej pysze chcieli zastąpić Boga, zabić go. Druga jest niepojętą Tajemnicą, z której – wśród bólu – wysnuć powinniśmy mądre wnioski. Nie przeciw innym, bo to uwłacza pamięci Ofiar i niszczy jej sens.

Tragedii w Koszalinie i tragedii w Gdańsku nikt nie chciał. Jesteśmy nimi przerażeni. Pada dużo niepotrzebnych, niemądrych słów. Ale padają i słowa mądre. Ksiądz Robert Skrzypczak nazwał ten czas niechcianymi narodowymi rekolekcjami, mówiąc między innymi: „Myślę, że antyreligijne i antyklerykalne hasła są łatwe do wygłaszania przez osoby rozpięte w wygodnych fotelach, najedzone i bezpieczne. Ale kiedy życie pokazuje nam swoje ograniczenia, cierpienie, krzyż oraz krew, wtedy człowiek doznaje momentu prawdy, odbierając najważniejszą lekcję, że jakąś najgłębszą prawdą o nas samych jest błogosławiona zależność od Stwórcy, a także pytania o to, co dalej, co w takim momencie może człowieka ocalić przed pustką i nadać sens temu wydarzeniu".

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 7b31e575ab

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zmieniam zdanie



Po tragedii w Gdańsku nie dziwi zmasowany atak na telewizję publiczną. Ma ją osłabić, podważyć zaufanie do niej, tak aby powrócił medialny totalitaryzm

Już od czasów Syracha (Stary Testament) poprzez kilku papieży Kościoła rzymskiego rozwijana jest myśl, którą ujmę w lapidarnym skrócie, że siła zła polega na bezsilności i bierności dobra. Prof. Feliks Koneczny pisał, że zło w życiu zbiorowym będzie tak długo bezsilne, dopóki nie wytworzy z siebie imitacji dobra, czyli do momentu, gdy zło nie wciągnie do współpracy ludzi pragnących dobra. Dlatego tak się oburzał na ludzką głupotę naiwność, bo to one powodują, że dajemy się nabrać, oszukać, a w konsekwencji wspomagać zło, które po cichu się cieszy, że może nie tylko przetrwać, lecz i zwyciężać. „Nigdy źli niczego nie utworzą bez pomocy dobrych, więc odkąd [dobrzy] wycofają się z przedsionków zła, zło musi upaść" (F.K.).

To wszystko wiemy, ale jak odróżnić prawdę od kłamstwa? Komu zawierzyć, a komu nie ufać? We współczesnym świecie opanowanym przez media niełatwo o odpowiedź. Na pewno wymaga to wysiłku i odwagi.

„Patriotyzm zastąpiono promowaniem kosmopolityzmu, miejsce uczciwości zajęła nieuczciwość, prawdę zastąpiono kłamstwem i pomówieniem, ofiarność i poświęcenie chciwością i pazernością, miłość – nienawiścią" – tak mówił o III RP w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w listopadzie 2010 r. ks. płk Stanisław Żarski. Za to kazanie otrzymał od prezydenta Bronisława Komorowskiego reprymendę i bezpowrotnie stracił szansę na stanowisko biskupa polowego WP i generalską nominację. Bo prawda zawsze kosztuje.

Zmieniam, a raczej koryguję opinię o mediach publicznych, których idealistyczny, ktoś może nawet powiedzieć, że naiwny obraz w pluralistycznym, demokratycznym społeczeństwie utrwalałem w sobie przez długie lata, gdyż dziś wymaga tego polska racja stanu. Media publiczne są ważnym gwarantem polskiej suwerenności i wolności obywatelskich. Są dobrem narodowym w sferze elektronicznych mediów w Polsce zdominowanych przez obcy kapitał, który nie jest zainteresowany ochroną polskich interesów narodowych ani też w żaden sposób do tego zobowiązany. Media te mają swoich mocodawców poza Polską, są z gruntu lewicowe i liberalne i – jak się często okazuje – mają antypolski, antynarodowy i antykatolicki charakter. Obce, polskojęzyczne media, nie tylko zresztą elektroniczne, gdyż także cała prasa w Polsce jest zdominowana przez zagraniczny, głównie niemiecki, kapitał, mają olbrzymi wpływ na świadomość Polaków, tym samym wywierają wpływ na kondycję państwa polskiego. Obraz Polski prezentowany w TVN musi być korygowany przez przekaz telewizji publicznej. W ten sposób możliwe staje się odbudowanie medialnego pluralizmu w zakresie informacji, publicystyki, kultury, wiedzy o Polsce i świecie.

Opozycja nazywa dziś media publiczne rządowymi. Jest w tym tyle samo racji, ile w twierdzeniu, że media publiczne za poprzedniej władzy także były mediami rządowymi. Różnica polega na tym, że poprzednia władza chciała media publiczne zmarginalizować, aby je w końcu sprzedać i zlikwidować, gdyż miała pełne wsparcie w mediach prywatnych. Obecna władza media publiczne intensywnie rozwija i oddaje całemu społeczeństwu. Różnica jest też taka, że za poprzedniej władzy media publiczne niczym się nie różniły od obcych mediów polskojęzycznych. Dominował w nich jednorodny przekaz pozbawiony odpowiedzialności za społeczeństwo i państwo, lewacki przechył ideologiczny oraz cenzura prewencyjna w postaci tzw. politycznej poprawności.

Jak słusznie zauważył red. Leszek Sosnowski, pluralizm poglądów w publicznych mediach, zapewniony poprzez parytet reprezentatywności uczestników publicznego dyskursu, nie jest jeszcze równoznaczny z zagwarantowaniem prawdy i obiektywności przekazu. To, że jeden z polityków ma przeciwne zdanie do drugiego, nie znaczy, że powstaje z tego prawdziwy obraz rzeczywistości. Taki pluralizm nie jest gwarantem misyjnego, obywatelskiego charakteru mediów publicznych. Kto i co może go zapewnić? Tylko takie władze mediów publicznych, które umożliwią swoim pracownikom pełną swobodę twórczej pracy. Tak zarządzane media, które nie poddadzą się szantażowi destrukcyjnej opozycji, której jedynym celem jest odzyskanie władzy. Media publiczne (narodowe) muszą być dziś antidotum na dominujące w Polsce obce, wrogie media. Muszą być silne, patriotyczne, na wskroś polskie.

Po tragedii w Gdańsku nie dziwi zmasowany atak na telewizję publiczną. Ma ją osłabić, podważyć zaufanie do niej, wymusić ustępstwa, zmianę kierownictwa, tak aby powrócił medialny totalitaryzm, czyli jednorodna, jednostajna medialna sztanca. Media publiczne muszą zachować autonomię w interesie całego społeczeństwa. Dlatego zło musi być potępione bez względu na polityczne barwy, a wszelkie formy kompromisów (imitacji prawdy i dobra) winny być z gruntu odrzucone.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 7b31e575ab

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Kaganiec

Każdy z nas wie, co znaczy nienawiść, jednak twórcy pojęcia „mowa nienawiści” mają inne niż poznawcza intencje. Oto stworzono termin, który nie służy opisowi rzeczywistości, jedynie próbie narzucenia całej społeczności nowej cenzury. Kto bowiem orzeka o tym, czy coś ową „mową nienawiści” jest, czy też jest to polemika, różnica poglądów albo po prostu konflikt interesów?



Witold Gadowski

Oto żyjemy w epoce, w której dominujące ośrodki opinii usiłują nałożyć kaganiec całemu społeczeństwu, chcą doprowadzić do sytuacji, w której całemu pokoleniu wdrukowane zostaną autocenzura i strach przed podejmowaniem pewnych kwestii, przed wyrażaniem swoich poglądów. Ta swoista przemoc mentalna i świadomościowa stała się nową religią bezbożników.

Wewnętrzny cenzor to ideał, którego nie udało się osiągnąć bolszewikom. Sytuacja idealna, w której człowiek sam ogłasza, że właśnie popełnił zbrodnię wewnętrzną – pomyślał nieprawomyślnie, odczuł emocję, która jest niepożądana.

Idealny ustrój dla wszelkiej maści totalitarystów: „rada mędrców”, którzy zostali wyłonieni na zasadzie arbitralnej decyzji dominującego ośrodka opiniotwórczego i poszerzają swoje grono jedynie na zasadzie kooptacji. Dla tłuszczy przeznaczone są igrzyska zwane wyborami, ale ich ostateczny wynik i tak zatwierdza „rada mędrców”. Oni też wyznaczają, czym jest największe przestępstwo w państwie: „mowa nienawiści”!

Jeżeli nie zbuntujemy się przeciwko tej – jakże wyrafinowanej i jadowitej – formie cenzury, to utracimy wolność szybciej, niż nam się wydaje.

Nie możemy pozwolić na to, aby przymusowe „lekcje” dotyczące „mowy nienawiści” zostały wprowadzone do szkół. To tak, jakbyśmy wpuścili treserów nowego myślenia do wychowania naszych dzieci – efekt będzie taki, że rychło zbuntują dzieci przeciwko rodzicom i sami przejmą główną rolę w ich wychowywaniu.

O „mowie nienawiści” mówią zwykle ci, którzy nienawidzą konkurencji, a jeżeli konkurencja zwycięży, to natychmiast uruchamiają wobec niej lawinę pogardy i nienawistnych wypowiedzi, które przecież nigdy nie staną się „mową nienawiści”.

Słowem: można zabić, monopol na tę broń chcą posiadać lewaccy totalitaryści. Chcą wytresować nas w znajomości porzekadła: Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie! Jeżeli nie napotkają twardego oporu, jeżeli będziemy im – w imię „świętego spokoju” – ustępować, to rychło uczynią z zabójstwa prezydenta Pawła Adamowicza „mord założycielski”, a nas zapędzą do rezerwatu.

Przesłanie (1863)

Rankiem, gdy wzejdzie słońce ostatni dla mnie raz
Na stokach cytadeli będą wieszali nas.
Staniemy ramię w ramię – powstańcza, leśna brać –
By śmierci spojrzeć w oczy... By wrogom w twarz
się śmiać...

Strach to rzecz niewolników. Widzisz sołdatów
w krąg?
Boją się podnieść wzroku, choć nam nie szczędzą
mąk.
Mogliśmy – tak jak oni – na carskiej służbie być.
Przed branką ugiąć karku, ćwierć wieku w piekle żyć.
Bagnetem nieść tyranię przez morza, góry, step
A gdy wydadzą rozkaz – położyć za nią łeb...

Dali nam wybór śmierci: z honorem albo bez.
Rab ginie za niewolę... Polak za Polską jest!

Patrzę na rąbek słońca... Powtarzam „Ojcze nasz”...
Za chwilę świat się skończy... Mój, ale wszak nie wasz!



Lech Makowiecki

Moskal wykopnie stołek spod poranionych stóp,
Zatańczy chwilę z wiatrem powstańca siny trup.
Poderwą się gołębie, zabiorą duszę wzwyż
I wzlecą hen, do nieba – ponad ojczysty krzyż...

Lecz wy, co przeżyjecie – ponieście ogień nasz;
Bądźcie silni i mądrzy. Odwagi bracia, wraz!
Mówię dziś do pokoleń, co po nas przyjdą tu:
Zbudźcie Rzeczpospolitą! Wyrwijcie Ją ze snu!
Wszystkie powstania krwawe i nasz ofiarny stos –
Z miłości do Ojczyzny. I z troski o wasz los...

Wierzę, że wywalczycie to, co się śniło nam;
Chcę, byście żyli w świecie lepszym niż ten co znam...
Niech życzenie skazańca zabrzmi jak Złoty Róg:
Pamiętajcie o Polsce! Zawsze! Na miły Bóg!!!

(z tomiku „Niepodległa”)

Czy ofiara powstańców styczniowych była daremna? To zależy dziś od nas samych...

eprasa.pl 7b31e575ab

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Szampan z diabłem



Aleksander Nalaskowski

Diabeł gra dalej. Miażdży nas słowami głupców, którzy „już wiedzą”, jaki to był mord, już wskazują winnych

To była realizacja planu diabła. Stuknięty podobno zbrodniarz był tylko cynglem w sekwencji wydarzeń. Ważne są ich miejsce i czas. Nie jest wcale istotne, co ów człowiek wykrzykiwał w trakcie tej okrutnej zbrodni. Nie mam takiego przekonania, że wykrzyczał jakąś „prawdę” o swoich motywacjach, że jego słowa mają jakikolwiek przekaz, że były w ogóle świadome. Bo najważniejsze było tu sprawne i efektowne morderstwo, a nie słowa. Mord miał charakter publicznej egzekucji, w kolebce „Solidarności”, której zwycięstwo prawie cztery dekady temu pokazało, że można wygrywać bez użycia siły. Siła czekała wówczas po drugiej stronie.

Zbrodnię popełniono w dniu, który dla wielu ludzi był dniem ważnym, a może i cały rok wyczekiwanym. Zabito człowieka w apogeum tego święta, gdy wszyscy jego uczestnicy symbolicznie kontaktowali się z niebem. Popełniono ją przy radosnej muzyce i w blasku sztucznych ogni, na najweselszym szafocie świata. Zabito człowieka w niedzielę, dzień święty chrześcijan. Zbieg okoliczności? Przypadek? Nie, absolutnie nie! Po stokroć nie! Przypadkiem nazywamy zawsze to, czego nie potrafimy wyjaśnić. Ale tutaj jest zbyt wiele wątpliwości, aby egzekucję uznać za bezmyślny zbieg okoliczności. Takie plany wymyśla diabeł. A ponieważ zbrodnia była prawdziwa, to i diabeł bez wątpienia jest prawdziwy. To diabeł doskonały, bo nikt nie wierzy w jego istnienie. Doszukiwanie się błędów w organizacji imprezy, w działaniu ochrony, w ustalaniu prawnych aspektów zgromadzenia to tylko podkreślanie perfekcji planu szatana. Bezpośredni świadkowie zbrodni stali jak zahipnotyzowani, jak biesiadnicy w ostatniej scenie „Wesela” Wyspiańskiego. Tego nie wymyślił okradacz banków ani zbir. Był w tym momencie starannie zaprogramowanym cyborgiem. Miał do zagrania rolę. I zagrał.

Mord polityczny? Głupie i płytkie określenie. A kto miałby na nim zyskać?! Kto u licha!? A może to przez społeczną atmosferę i tzw. mowę nienawiści? Brednie! Bo niby dlaczego miałaby sprowokować tylko jednego bandytę, a nie ich dziesiątki? Jakim cudem reguła (rzekome powszechne szczucie) miałaby wygenerować wyjątek (jednego zamachowca)? Dlaczego w innych miejscach nie działała tak samo? Albo jest reguła, albo jej nie ma. Jeśli są wyjątki, to już nie można mówić o regule. Jeśli ci wszyscy mądrale od komentarzy twierdzą, że „można się było tego spodziewać”, to dlaczego tylko oni się tego spodziewali i nie podzielili się wiedzą z odpowiednimi służbami?

Piekło dopiero się zacznie. Kiedy to piszę (jest środa 16 stycznia), niewiele faktów jeszcze wyszło na jaw. W zasadzie od chwili zbrodni wiemy niewiele więcej, niż wiedzieliśmy. Ale już widać charakterystyczną tendencję. Otóż przestał być ważny kat, coraz ciszej jest o jego ofierze (wyraźnie zeszła na drugi plan), teraz liczy się tylko rozgrywka. Diabeł gra dalej. Miażdży nas słowami głupców, którzy „już wiedzą”, jaki to był mord, już wskazują winnych i ferują własne wyroki. Jak zwykle niezawodni są w tym celebryci i etatowi komentatorzy telewizyjni. Nikt nie mówi o tym, że Dekalog jest ponadpartyjny, że zbrodni dokonał człowiek zły, który anihilował piąte przykazanie, który zrezygnował z sumienia i jego największego ostrzeżenia – grzechu. Jeśli to, co oprawca bełkotał, uznamy za przesłankę do politycznych dyskusji i poważnych analiz, to diabeł otworzy szampana. Oj, chyba już przygotował puchar i zbliża się do lodówki z trunkiem. Podpity przystąpi do następnego etapu. Problem w tym, że szatan jest w stanie wymyślić zawsze tylko coś gorszego. Na razie popłynęliśmy na falach złotoustej, politpoprawnej hipokryzji. Od prawa do lewa. Straciliśmy osobę na miarę Stefana Starzyńskiego czy Eugeniusza Kwiatkowskiego? Naprawdę? Tu skorzystam z porady de mortuis aut bene aut nihil. Wolno mi tak.

Na Orkiestrę daję regularnie, ale na Caritas też. Paru osobom pomagam, jak umiem. Mam wrażenie, że Orkiestra mocno ucierpiała. Miał być kolejny rekord, miał być miliard. I pewnie był. Tylko już nikt się z tego nie cieszy lub też radość jest mocno stonowana. Jeśli mord miał mieć podtekst polityczny, miał tak wybrzmieć, to mam wątpliwości, czy pan Jerzy nie otworzył orkiestrowych drzwi dla polityki zbyt obszernie, czy sam nie stał w nich jako portier. Miał pecha, że bandyta wybrał jego scenę jako scenerię. Ale była to w tym momencie jedna z wielu scen politycznych. Na własne życzenie lidera. Pan Jerzy miał szansę na to, aby mocno zneutralizować szkodzącą Orkiestrze postawę. Mógł np. pójść w Marszu Niepodległości. Pisałem już tu o tym przed dwoma miesiącami. Miał szansę się pokazać jako człowiek, który służy każdej dobrej idei i nie jest „ani z prawa, ani z lewa”, że jest mu blisko do wszystkich potencjalnych darczyńców, bo przecież cały czas idzie tylko o dobro dzieci, prawda?

Jakkolwiek, diabeł nie śpi, bo to nam śpiewa do snu. A my nie nastawiliśmy budzika.

24/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

1991
rok założenia

6,5 mld zł
wartość aktywów

280 osób
zatrudnienie

100% udziałów
Skarb Państwa

GŁÓWNE OBSZARY DZIAŁALNOŚCI

Finansowanie przedsiębiorstw
Finansujemy inwestycje, działania rozwojowe i kapitał obrotowy polskich przedsiębiorstw

Obsługa inwestorów w SSE
Udostępniamy tereny inwestycyjne i obiekty przemysłowe przedsiębiorcom

Wspieranie rozwoju wybranych branż
Wspieramy wybrane branże ze Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju

Nadzór korporacyjny
Budujemy wartość powierzonego majątku (spółek i nieruchomości)

Nasze obszary działalności wzajemnie się przenikają, tworząc unikatowy wachlarz możliwości

Restrukturyzacja rozwojowa
Finansujemy procesy restrukturyzacji i współtworzymy plany restrukturyzacji



Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.
ul. Nowy Świat 6/12, 00-400 Warszawa
Centrum Bankowo Finansowe - wejście „C”
+48 22 695 36 00, +48 22 695 37 01
www.arp.pl

Polski Fundusz Rozwoju S.A.
pełna informacja na temat oferty dostępna jest na stronie www.pfr.pl
oraz pod bezpłatnym numerem infolinii +48 800 800 120

eprasa.pl 7b31e575ab

Zgubna miłość do zwierząt



Jerzy Jachowicz

Znana do tej pory z kontrowersyjnych opinii oraz agresywnej postawy antyklerykalnej, zwalczającej Kościół katolicki w Polsce, znana działaczka lewicowa Joanna Senyszyn otworzyła nowy front konfliktów. Niespodziewanie odezwał się w niej, zdawałoby się nieco przygasły z wiekiem, a nawet stłumiony w trakcie pełnienia funkcji europarlamentarzystki, sentyment do zwierząt. Ten powrót do przeszłości spotęgował się wielokrotnie. Z osoby tylko broniącej wcześniej praw zwierząt Senyszyn stała się dziś człowiekiem kierującym najwyższe z możliwych uczuć dostępnych naturze ludzkiej ku zwierzętom – miłość. I to niedwuznacznie ku dzikim zwierzętom. Bo ku samym dzikom.

Pierwszym sygnałem nowej pasji był wpis Senyszyn na Facebooku. „Osobiście postanowiłam uratować kilka dzików przed barbarzyńskim odstrzałem zarządzonym przez pisowską władzę. W tej chwili pod moją opieką znajdują się dwa młode dziki, dla których na własnej posesji przygotowałam małą chlewnię. To dopiero początek. Chcę podkreślić, że wzorem dla mnie stał się poseł Piotr Misiło, który dwa lata temu, chcąc okazać serce poszkodowanym przez los i straszne wojny afrykańskim oraz azjatyckim emigrantom, a niechcianym w Polsce przez PiS podobnie jak dziki, zapowiedział, że kilku uchodźców przyjmie pod własny dach" – napisała. Dodała, że wprawdzie posłowi Misile nie udało się wprowadzić w życie swojego szlachetnego planu, ale odegrał inspirującą rolę.

Tymczasem widok dzików taplających się w błocie na podwórku Joanny Senyszyn wzburzył okolicznych mieszkańców, najwyraźniej niemających zacięcia ekologicznego. Ci, którzy sąsiadują bezpośrednio z posesją Senyszyn, skarżą się, że wieczorami nie mogą oglądać filmów, bo charakterystyczny głos działaczki lewicy pouczającej dziki, jak powinny się zachowywać, zagłusza dialogi. Część pobliskich sąsiadów narzeka na nasycone nieznanymi wcześniej zapachami powietrze. Inni mają obawy o rozprzestrzenianie się wirusa afrykańskiego pomoru świń.

Ktoś podobno mruknął, nie wyjaśniając, o co mu chodzi, że teraz w jednym miejscu są dwa źródła zarazy.

CO MNIE NIEPOKOI

Mój apel



Katarzyna Łaniewska

Apeluję do moich rodaków, abyśmy zaczęli żądać, by prokurator Andrzej Witkowski mógł kontynuować śledztwo wyjaśniające prawdziwe przyczyny śmierci księdza Jerzego Popiełuszki.

Ostatnio „czytam", czyli słucham nagrania książki Wojciecha Sumlińskiego. Czytam, co się działo i co się dzieje w naszym kraju. Odtajniane są kolejne akta. Sumliński serwuje nam tysiące nazwisk i danych sprawy. Ujawnia nowe motywy zachowań ludzkich. Wgłębiając się w jego lekturę, cieszę się, że jesteśmy już na etapie, kiedy wolno mu o tym pisać.

Z jednej strony cieszę się, a z drugiej jestem przerażona – w jakiej Polsce żyliśmy i niestety nadal żyjemy. Byliśmy oszukiwani przez tych, którym naprawdę zawierzyliśmy. Tam byli i ci, którzy do tej pory ryją, walczą i przeszkadzają. Na jakich to stopniach wtajemniczenia się dzieje? Kto jest za to odpowiedzialny? Jak trudno dojść do prawdy, gdy robi się machloje na różnych gałęziach naszej polityki, sądownictwa i państwowości. To przeraża, ale i daje kopa – by odsłaniać i walczyć.

W jednej ze swoich książek Sumliński występuje do nas z apelem, który ja powtarzam, jak mogę, by dotrzeć tym felietonikiem do moich rodaków – żądajmy tego od naszych władz. Jesteśmy to księdzu Jerzemu winni. Zwłaszcza pokolenie, które miało szczęście i zaszczyt go znać. My pomału umieramy – jest nas coraz mniejsza garstka.

Jego beatyfikacja i wielkie człowieczeństwo jest zachowane w poezji, w pieśniach czy w przykościelnym grobie. To wszystko niestety blednie. Po jego śmierci chodziły tam pielgrzymki, czczono jego imieniny i odprawiano msze. Ludzie nadal przyjeżdżają, ale to odchodzi już do historii. Jestem jednym z tych aktorów, którzy zostali zaproszeni przez księdza Jerzego, by stawać przy nim. Na jego mszach widziałam tłum, tłum ludzi otoczonych kordonem ZOMO. Ci ludzie, którzy byli w służbie księdza Jerzego, apelują o wyjaśnienia. To nie może pójść w zapomnienie. Wydaje mi się, że jest ostatni moment, by fantastyczny prokurator Witkowski doszedł do prawdy. Przecież to nie ręce mają być sądzone, ale głowa, która to zorganizowała. A to wysokie głowy. Ksiądz Jerzy zawsze mówił, by zło dobrem... ale to zło musi być najpierw pokazane, a nie zatajone.

Błagam: żądajmy prawdy.

Teresa Boguszewska o księdzu Jerzym napisała w pięknym wierszu: ma dzwon stopiony z ludzkich groszków i westchnień, ma grób w różańcu z kamienia, a my nosimy w sobie jego świętą twarz.

50/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab

Już 28 STYCZNIA

i w każdy ostatni poniedziałek miesiąca

SUKCESY

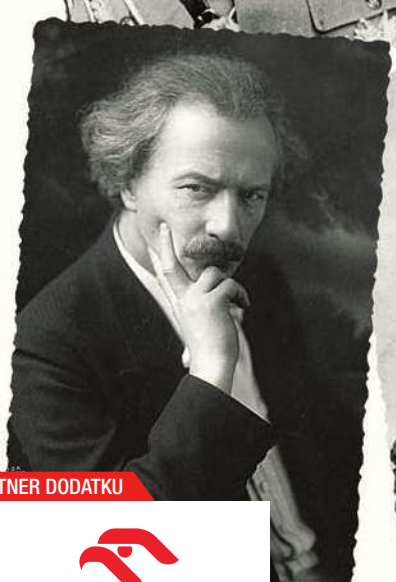
XX-lecia międzywojennego

1918–1939

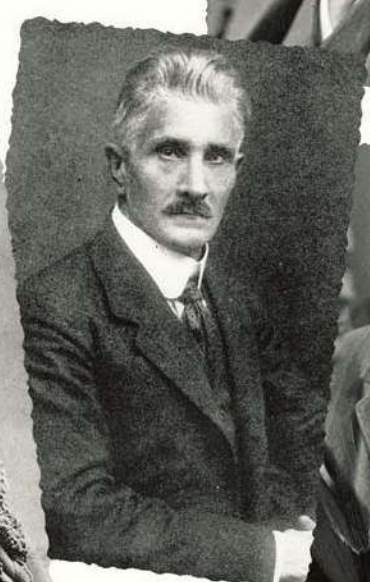




Cykl dodatków o niezwykłych czasach budowania nowego państwa po 123 latach zaborów









PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/7b31e575ab

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Posłannik miłości

Od czasu gdy Donald Tusk ogłosił politykę miłości, nienawiść szaleje nad Polską



Ryszard Makowski

Spór polityczny jest elementem demokracji, jednak od momentu gdy Donald Tusk został ważnym decydentem, atmosfera u nas zaostrzyła się niebywale. Ten przyjemny, sympatyczny, przeszkolony, fajny sportowiec od „haratania w gałę" zawsze miał ludzi od czarnej roboty. Szczególnymi uczuciami darzył braci Kaczyńskich. To na nich wysyłał speca od tanich win gazowanych, który wtedy brylował na peowskich pokojach. W tym samym celu pchano przed kamery z lekka sfiksowanego profesora od owadów.

Za rządów PDT wydarzyła się największa tragedia III RP. Patronował sumiennie matactwu, by zatrzeć przyczyny katastrofy Tu-154M. Ale – jak widać – temu politykowi jeszcze mało uszczęśliwiania Polaków. Mimo awansu na prestiżowe europejskie stanowisko pilnuje spraw krajowych, jak by mu kto kazał. I to nie tak pilnuje, żeby było lepiej. Tak to nie. Podczas puczu grudniowego w 2016 r. całkiem przypadkiem czaił się we Wrocławiu. Jaki był scenariusz, nie wiemy, bo coś nie styknęło i akcja nie wypaliła. Teraz w tragicznej chwili też szuka możliwości stanięcia na czele: „Obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą". Skromnie nie dodaje, że będzie bronił Polski i Europy przed trującymi owocami krajowej oraz brukselskiej produkcji, przy których hodowli miał i ma niebywały udział. Strzeż nas, Panie, przed faryzeuszowskimi głosicielami miłości i podstępnymi naprawiaczami świata, a wszystko się jakoś ułoży.

eprasa.pl 7b31e575ab

***Zawistowski prezentuje:* Brexit**



Wycinki z przeszłości

Skalę straszliwego zapóźnienia cywilizacyjnego Imperium Rosyjskiego na początku XX w. pokazuje statystyka zamieszczona przez „Rocznik Gebethnera i Wolffa" na rok 1915. Dane opracował szwedzki statystyk Sundberg.

„Wedle tego zestawienia posiada najmniej analfabetów Rzesza niemiecka, najwięcej Rumunia. W szczegółach przedstawia się tabela statystyczna, jak następuje:

Rzesza niemiecka – 0.05 proc. analfabetów, Szwecja i Szwajcarya – 0.1 proc., Dania – 0.2 proc., Anglia – 1.0 proc., Francya – 2.0 proc., Holandya – 2.1 proc., Finlandya – 4.9 proc., Belgia – 10.2 proc., Austro-Węgry – 25.7 proc., Grecya – 30.0 proc., Włochy – 31.3 proc., Bułgarya – 53.0 proc., Rosya i Serbia – 62. proc., Portugalia – 70.0 proc., Rumunia – 70.0 proc.

Ogólna suma wydatków na szkolnictwo ludowe wynosi w całej Europie 1 miliard 750 miljonów marek. Z tego przypada na Rzeszę niemiecką 1/3, na Anglię ¼, na Francyę 1/8, na Austro-Węgry 1/10 wszystkich wydatków. Na Rosyę, posiadającą ¼ część całej ludności Europy, przypada tylko dwudziesta część z ogólnej sumy wydatków europejskich na cele szkolnictwa ludowego".



Niestety to zapóźnienie dotykało również Polaków pod zaborem rosyjskim. Jest też jednym z wyjaśnień barbarzyństwa, które objawiło się w czasie bolszewickiej rewolty. I jeszcze pytanie: ile współczesna Rosja wydaje na armię, na podboje, a ile na edukację?

(mk)

„Nase downe Zakopane"

(piosenka)



Leszek Długosz

Może byśmy pojechali,
moja Miła, znowu w góry?
Czy pamiętasz Zakopane,
który to był rok, no który?
Siedlibyśmy tak jak dawniej w tamtym świetle
Na werandzie.
Poszlibyśmy poprzez hale, wodę czystą byśmy pili,
Źródła nie zmącili.
– Ale gdzie jest ta weranda?
– I to źródło kajze?

Płynie, płynie ludzka rzeka Krupówkami, Kościeliską.
Szukam tej urody dawnej,
Biznes zakrył wszystko.
Kany się podziało nase downe Zakopane?
Kmicic, Poraj i Krupówki,
Nasze serca, dawne serca zakochane?
Nad halami wiater wieje
I co ma być, to się dzieje.
Cosik tu się pokrzywiło.
Wiater
– Wiater jakoś krzywo wieje.

II
Zakopane, Zakopane... Czego ja tu chodzę, szukam?
Może ciebie, może siebie.
Co nam dzisiaj w sercach stuka?
Gdzie się głosy zapodziały z Europejskiej?
Z dawnej ŚWARNEJ?
A tu jakiś „Burger Goral": do you wont mi w ucho wali
Pod krzywą latarnią
I owiecki miast na hali, pasie pod kawiarnią?
Płynie, płynie ludzka rzeka Krupówkami, Kościeliską...
Szukam tej urody dawnej,
– Biznes zakrył wszystko.

Kany się podziało nase downe Zakopane?
– Kmicic Poraj i Krupówki,
Nasze serca, dawne serca zakochane?
Nad halami wiater wieje i co ma być, to się dzieje.
Cosik tu się pokrzywiło.
Wiater
– Wiater jakoś krzywo wieje.

Ech, góralska nuto, tłumacz sercu tę muzykę.
– Świat jak serce, też się zmienia,
Było, było i nie wróci.
I nie wróci znika.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

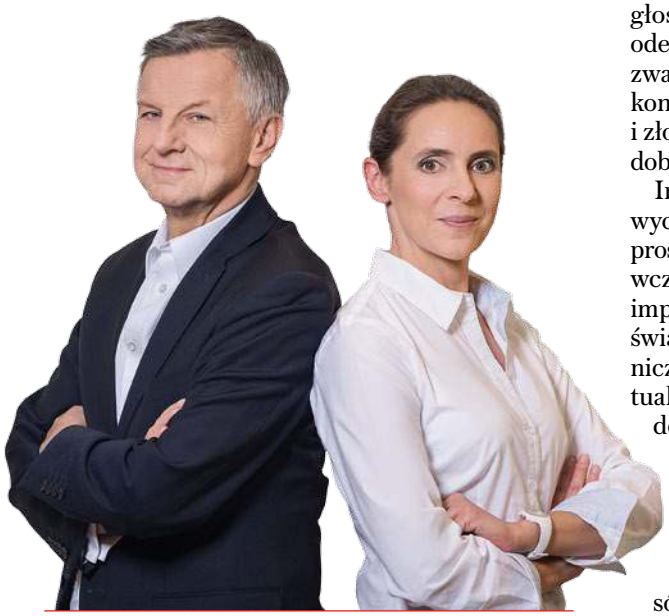
eprasa.pl 7b31e575ab

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Uderzenie zła

Na scenie koncertowej w Gdańsku uderzyło zło. Zło – bez względu na to, czy była to zbrodnia z wyrachowania, czy źródło swe miała w szaleństwie. Ale coś nie mniej strasznego odsłoniło się w Polsce w godzinach i dniach, które nastąpiły po zamordowaniu Pawła Adamowicza.

Wystarczyło przeglądać internet, w tym tzw. media społecznościowe, by mieć wprost nieznośne odczucie, że w jakimś dosłownym sensie nastąpiła wielka eksplozja zła. I nie ma większego znaczenia, że zapewne część agresywnych głosów pochodziła od płatnych trolli, że była elementem wojny hybrydowej prowadzonej z Polską. Bo fale tego zła już nas skaziły.



Zło istniało zawsze, ale nigdy wcześniej nie mogło się szerzyć z szybkością impulsów elektronicznych

ZŁO – STAŁY TOWARZYSZ CZŁOWIEKA

Od zarania ludzkość próbuje ze złem, z tym co w nas złe, zrobić dwie rzeczy: zrozumieć i powstrzymywać. Tysiącletnie dzieje człowieka uczą, jak się wydaje, że ważniejsze jest powstrzymywanie tego zła niż jego zrozumienie.

Nie próbujemy tu zbliżyć się do kwestii tajemnicy zła. To sprawa filozoficzna. Może zadanie dla badaczy mózgu. Na pewno dla teologów. Próbujemy jedynie drogą namysłu socjologicznego uchwycić mechanizmy, za pomocą których ludzkość – świadoma obecności i grozy zła – próbowała je jakoś w swym losie opanować. Próbowała. Bo w ostatnich dekadach wiele fundamentalnych spraw tak się układa, jakby dzisiejsza cywilizacja Zachodu z powstrzymywania zła już zrezygnowała, naiwnie wierząc w zbawczą moc postępu technologicznego, cywilizacyjnego.

INTERNET JAKO ANTYKULTURA

Tymczasem tak flagowy produkt postępu jak internet bardzo nadwątlił (bezpowrotnie już złamał?) wypracowane przez tysiąclecia kulturowe, często nader delikatne mechanizmy powstrzymywania zła.

Znacie pewnie powiedzenie: Dopiero internet pokazał, jak wielu idiotów jest na świecie!. Słowo „pokazał" jest tu na miejscu. Rozmaite, wyłonione podczas tysięcy lat ewolucji kulturowej mechanizmy życia społecznego (w tym nadawanie pewnym treściom statusu „tabu", tj. czegoś nieczystego, niewysławianego) powstrzymywały ludzi, zwłaszcza młodych, przed pochopnym zabieraniem głosu na pewne tematy. Jedni czuli, że nie wypada, inni się bali (nawet gdy mieli coś mądrego do powiedzenia), jeszcze innym zwyczajnie zabierano głos, gdy tylko próbowali się odezwać. Nie z wszystkiego pozwalano robić sobie żarty. A niekontrolowane wybuchy gniewu i złości powstrzymywał choćby dobry obyczaj.

Internet wiele z tych kulturowych granic chroniących ład po prostu rozmontował. W epokach wcześniejszych ci, którzy czuli impuls: podpalę, by patrzeć, jak świat płonie, mieli bardzo ograniczone środki działania. W wirtualu mogą podpalać i patrzeć do woli. Najbardziej chora kreatywność ma szansę na pozytywny odbiór. Zło istniało zawsze, ale nigdy wcześniej nie mogło się szerzyć z szybkością impulsów elektronicznych.

WOLNOŚĆ ZABIJA WOLNOŚĆ

Internet nie tylko pokazał, ilu wśród nas jest idiotów. Internet dał im przestrzeń do propagowania „nowych normalności", pozwalając na tworzenie poczucia zwykłości wokół najbardziej mrocznych ludzkich instynktów. Skoro jest tylu o podobnie dziwacznych pragnieniach, to czegóż mam się wstydzić? Tu można przeskalować wszystko. A od codzienności fake newsów, od utraty zdolności do odróżnienia prawdy od fałszu jest tylko krok do odwrócenia proporcji między dobrem a złem.

„Róbta, co chceta" – przed laty, w innym świecie (świecie wychodzenia z komunizmu), miało być uruchomieniem pozytywnych żywiołów, znakiem wolności. Ale niezależnie od intencji głoszących tę formułkę – w świecie bez reguł i granic, świecie nieprzewidywalnym – pozytywny „spontan" utracił niewinność. W świecie internetowej bezkarności „róbta, co chceta" jest kuszeniem zła. Młode umysły – niewdrożone jeszcze w kulturę jakiejś ludzkiej wspólnoty – często nie potrafią odróżnić tego, co dosłowne, od tego, czego właściwy sens można uchwycić tylko w szerszym kontekście.

Czy jesteśmy pewni, że nasza diagnoza jest stuprocentowo słuszna? Nie. Sądzimy jednak, że bez myślenia na głos o tym, jak technologia cyfrowa odkształca ludzki los, kolejnych fal zła nie powstrzymamy.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

37/0119/F | 98/0119/F

eprasa.pl 7b31e575ab



Najlepszy Bank Korporacyjny w Polsce w 2018 roku

według Global Banking and Finance Review

Reprezentujemy swoich klientów i Polskę
na **World Economic Forum w Davos**

90 lat

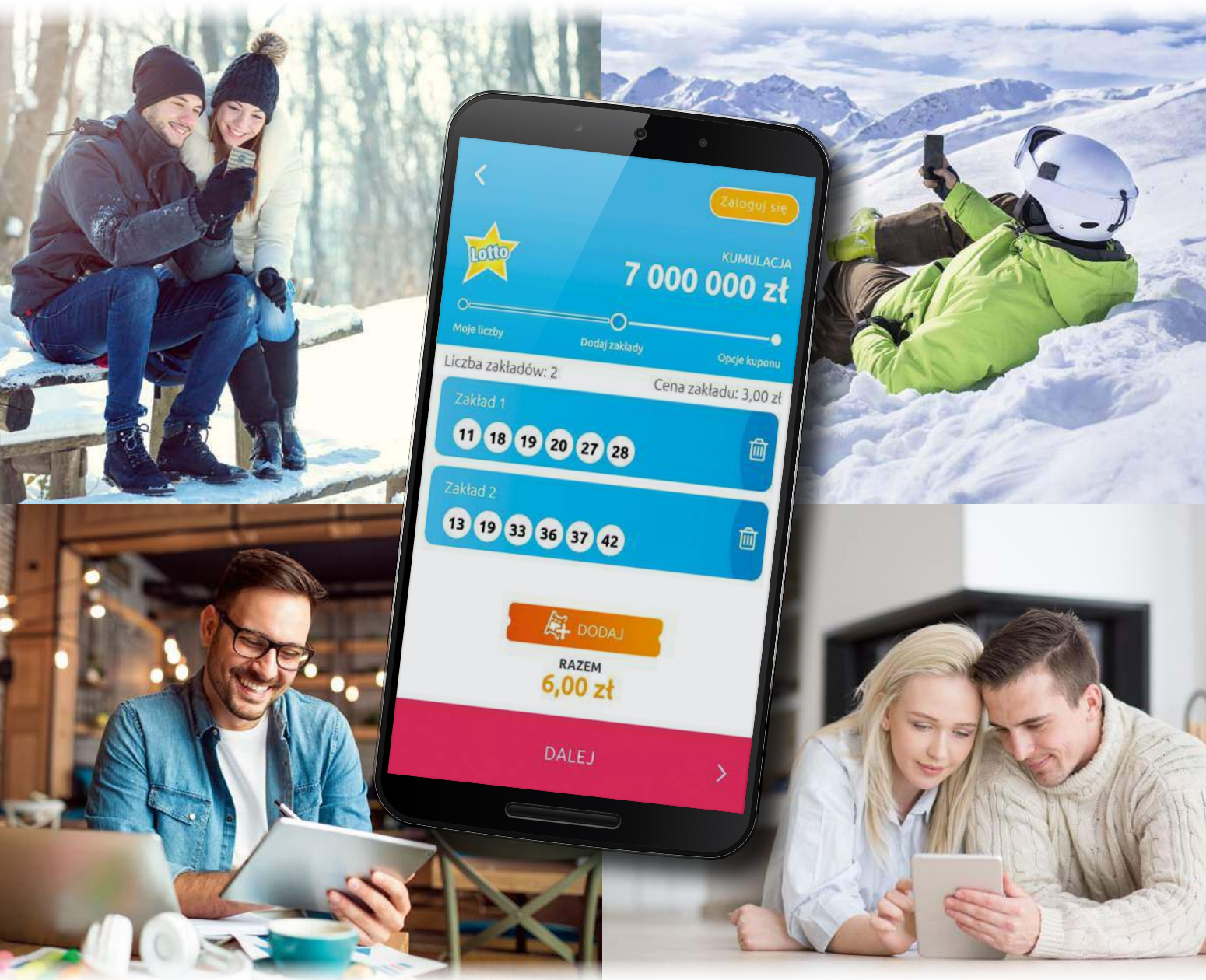
Bank Pekao

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

eprasa.pl 7d31e575ab

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz

LOTTO JEST WSZĘDZIE



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl 7b31e575ab